

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

**PARYŻ**

**Nr 10/325**

**1974**

---



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

X.Y.Z. :

**POKUSY I PRZESTROGI**

AL. ONIEGOW :

**« CARYCA I ZWIERCIADŁO »**

G. HERLING-GRUDZIŃSKI :

**z « ARCHIPELAGU » NA « KONTYNET »**

M. HIRSZOWICZ :

**ŚLADAMI MITU**

## SPIS RZECZY

X.Y.Z.:	<i>Pokusy i przestrogi</i> .....	3
WIERSZE		
Aleksander Oniegow:	„ <i>Caryca i zwierciadło</i> ” .....	52
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Juliusz Mieroszewski:	<i>Materiały do refleksji i zadumy</i> ....	65
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli (Kult 150 jednostek)</i> .....	75
SĄSIEDZI		
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Z „Archipelagu” na „Kontynent”</i> ...	84
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i> .....	88
Wiktor Sukiennicki:	<i>Kronika białoruska (Białoruskie czasopisma na Zachodzie)</i> .....	95
Karol Szwedowicz:	<i>Kronika czeska i słowacka</i> .....	98
—	<i>Wrażenia z Pragi</i> .....	103
E. Żagiell:	<i>Kronika litewska</i> .....	104
STRATY KULTURY POLSKIEJ		
Leszek Kołakowski:	<i>Na grób Marii Ossowskiej</i> .....	109
K R A J		
Maria Hirszowicz:	<i>Śladami mitu (W odpowiedzi Stefanowi Kisielewskiemu)</i> .....	114
SPRAWY I TROSKI		
Grażyna Nowak:	<i>List z Londynu</i> .....	125
Sław. Stakosz:	<i>Wizyta w ojczyźnie</i> .....	136
SPRAWY (NIE TYLKO) WYDAWNICZE		
Adam Bromberg:	„ <i>Bariera wewnętrznego sprzeciwu</i> ” ...	138
K S I A Ź K I		
A.K.:	<i>Krótko o książkach</i> .....	143
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i> ....	147
◆		
—	<i>Komunikat: Konkurs na prace historyczne</i> .....	149
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i> .....	150
◆		
Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i> .....	157
◆		
B. Krasuski, Zb. Wołkowski, E. Raczyński, J. Zubrzycki:	<i>Listy do Redakcji</i> .....	158

# KULTURA

*Szkice • Opowiadania • Sprawozdania*

PARYŻ Październik - Octobre 1974

INSTYTUT



LITERACKI

## DO PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW

### « KULTURY »

W związku z nieustannymi podwyżkami cen, jakie mają miejsce od końca ub. roku, a które w wypadku papieru i w ostatnich dniach poczty wzrosły o prawie 100 % zmuszeni jesteśmy podwyższyć prenumeratę *KULTURY* i *ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH* na rok 1975 o 20 %, to jest:

roczna prenumerata <i>Kultury</i> we Francji ....	F. 110,00;
półroczna prenumerata <i>Kultury</i> we Francji ..	F. 60,00;
roczna prenumerata <i>Kultury</i> za granicą ....	F. 120,00 (\$ 24);
półroczna prenumerata <i>Kultury</i> za granicą ..	F. 65,00 (\$ 13).

Dokładne przeliczenie na obce waluty zamieścimy na 3 stronie okładki w numerze listopadowym.

Roczna prenumerata <i>Zeszytów Historycznych</i>	F. 95,00 (\$ 20)
a dla prenumeratorów <i>Kultury</i> .....	F. 80,00 (\$ 17).



Ponadto — w związku z tak ogromną podwyżką opłat pocztowych prosimy usilnie naszych Czytelników aby przy zamawianiu książek *do dawali do należności 10 % na koszty przesyłki*, jak również dołączali do listów wymagających odpowiedzi międzynarodowe kupony pocztowe w odpowiedniej wysokości.

### REDAKCJA

### WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Zbigniew Jasiński, Bermagui South, N.S.W. (Australia, po raz trzeci) .....	F. 25,00
Jan Jaworski, Bloomington, Ind. (USA), po raz szósty .....	F. 98,00
Zamiast kwiatów na Grób <i>Najbliższego Przyjaciela</i> , naszej Kochanej <i>Maryli Ossowskiej</i> — Kali, Henryk i Smok .....	F. 120,00
Ks. Joseph Lach, Buffalo, N.Y. (USA), po raz szósty .....	F. 28,00
Tadeusz Mączyński, Chicago, Ill. (USA), zamiast kwiatów na Grób <i>Przyjaciela St. Derwińskiego</i> .....	F. 28,00
Jerzy Stankiewicz, Jerozolima — ku pamięci Grzegorza Załęskiego .....	F. 25,00
Bezimiennie z Malmö (Szwecja) .....	F. 54,00
Bezimiennie z New Yorku, po raz ósmy .....	F. 98,00
Bezimiennie z Paryża, po raz dziewiąty .....	F. 60,00
Bezimiennie z Rose Bay, N.S.W. (Australia), po raz dziewiąty .....	F. 5760,00

### DZIĘKUJEMY!

## Pokusy i przestrogi

Kiedy przed siedemdziesięciu laty Roman Dmowski pisał we wstępie do *Myśli nowoczesnego Polaka*: „Jestem Polakiem — to słowo w głębszym rozumieniu wiele znaczy” i w jasnym wywodzie formułował owe znaczenia, naród nasz nie po raz pierwszy znajdował się na jednym z tych dziejowych zakrętów, na którym uświadomienie sobie miejsca zajmowanego w świecie, rozpoznanie roli wyznaczonej w zmiennym postępie ludzkości ku swemu przeznaczeniu staje się sprawą najważniejszą, bo nie tylko kwestią przetrwania ale nade wszystko możliwości stania o swym uczestnictwie w procesie historycznym jako zbiorowości ludzi wolnych, dokonujących własnych wyborów, nie będących historią przedmiotem lecz podmiotem.

Pewny jednoznaczności słów, których trafnym doбором kierował nieomylny instynkt myśliciela posiadającego spójną wizję rzeczywistości, śmiałymi pociągnięciami pióra kreślił diagnozy chorób trapiących naród, snuł logiczne przewidywania dalszego rozwoju wydarzeń i dostrzegał wynikające z tego postulaty właściwego postępowania. Dmowskiego trapiły wątpliwości. Wychowanek ery pozytywizmu, wyrósł w szacunku dla sprawności umysłu ludzkiego, tworzącego niezachwiane prawdy naukowe. Wierzył, że rozum człowieka zgłębić potrafi nie tylko tajemnice przyrody ale i prawa rządzące społecznościami ludzkimi i z wiary tej czerpał pewność i siłę swych przekonań.

Równie pewnym możliwości udzielenia odpowiedzi na pytanie, co to znaczy być Polakiem, był Józef Piłsudski. On raczej swe budował na innych przesłankach, uznając historię, poznawaną przez uczuloną na jej prawdę duszę, za nauczycielkę życia i źródło wiedzy nie tylko o przeszłości lecz i o przyszłości narodów. Jego wizja świata była mniej optymistyczna; pamiętał, że

historia zna zbyt wiele przykładów zawodności ludzkich zamierzeń i poczynań podejmowanych z najrozsądniejszych i najlogiczniejszych założeń. Historia utwierdzała jednak Piłsudskiego w przekonaniu, że staje po stronie tych, którzy swą wolę życia dokumentują czynem. Wiedział jak zawodne bywa przewidywanie jej biegu i dociekanie jej racji, lecz wierzył, że jasne i niedwuznaczne są jej werdykty. Dla Piłsudskiego bowiem historia była nieustanną walką człowieka o swą godność, której synonimem jest wolność od przemocy, prawo do kultywowania wartości sprawdzonych i obowiązek ich obrony.

Ci dwaj wielcy wychowawcy narodu tworząc podstawy nowej świadomości politycznej umożliwili Polakom przezwyciężenie inercji duchowej i umysłowej, jaka zapanowała po załamaniu się kolejnej próby odzyskania niepodległości w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku. Klęska powstania styczniowego przytłoczyła naród grozą swego ogromu ale nade wszystko unaoczniała mu niezdatność myślenia w kategoriach, których nieprzystosowalność do nowej sytuacji historycznej — choć dla wielu oczywista — bynajmniej nie była brana pod uwagę przez wszystkie siły polityczne i społeczne, które bądź to o powstaniu decydowały, bądź też poczuły się zmuszone do udzielenia mu poparcia, gdy stało się ono faktem dokonany. Co więcej, w takich samych anachronicznych kategoriach rozumowali i ci, którzy spętani nieprzewyciężonym dziedzictwem myślowym, lub szukając wyjścia z bezwyjściowej na pozór sytuacji w pragmatycznych kalkulacjach doktryn politycznych oderwanych od historycznej rzeczywistości narodowej, przekonani, że przez sam fakt pozostawania w opozycji do opinii publicznej reprezentują idee nowe, powstaniu się przeciwstawiali a nawet w miarę swych możliwości czynnie je zwalczali.

Z perspektywy naszego czasu lepiej bodaj widzimy jak radykalnym odejściem od polskiego przedpowstańczego myślenia politycznego były systematy tworzone przez Piłsudskiego i Dmowskiego, nawet — a może, szczególnie — wtedy, gdy odwoływali się oni w swych argumentacjach do ideowych i intelektualnych postaw pokolenia powstaniowego. Do postaw tych musieli się odwoływać nie tylko dlatego, że były one istotnym elementem ich edukacji sentymentalnej i nie tylko dlatego, że w ten sposób przemawiali językiem zrozumiałym dla społeczeństwa, unikając pseudofilozoficznego, po prawdzie zaś agitacyjnego żargonu doktrynerów zarówno ugodowego wstecznicstwa jak i skrajnie rewolucyjnej utopii, lecz nade wszystko dlatego, że od zarania swej działalności świadomi byli konieczności utrzymania ciągłości rozwoju polskiej myśli politycznej. Istotą tej ciągłości była wiara w żywotność narodu, który potrafi rozprawić się ze swą przeszło-

ścią nie zrywając z nią, który zdobędzie się na najsurowszą jej ocenę lecz nigdy nie dopuści do tego, by uznana została za martwy przekaz. Wyrastały bowiem zarówno idee zaprzeczne, jak i rewolucyjne z przekonania, jeśli nawet nie zawsze dopowiadającego do końca, że historia Polski się skończyła, zaczyna się zaś czy to historia plemienia wcielonego w słowiańskie imperium czy też historia bezimiennego członka falansteru.

Możliwość pchnięcia polskiej myśli politycznej na nowe tory zawdzięczali Piłsudski i Dmowski temu w pierwszym rządzie, że rozumowania swe oparli na uznaniu nieodwracalności procesów społecznych jakie zaszły w wieku dziewiętnastym nie dopatrując się jednak w nich ani znamion totalnej katastrofy świata zachodniego ani chiliastycznej zapowiedzi utopii socjalistycznej. W ich obrazie świata, z konieczności nieostym, wskrzeszenie Polski nie mogło stać się powrotem do państwa, które byłoby świeżo pobielonym skansenem czasów bezpowrotnie minionych. Obaj, każdy na swój sposób, widzieli oczami wyobraźni państwo odrodzone, w którym zmieniony układ sił społecznych znajdzie swój wyraz w nowej strukturze gmachu wskrzeszonej ojczyzny. Przyjmując jako aksjomat trwanie narodu, nie kwestionując jego cech fundamentalnych, stwierdzali równocześnie, że uległ on przeobrażeniu, które nie naruszając materii narodowej wymagają nowych form umożliwiających temu narodowi swobodne istnienie i pełny jego rozwój.

Ich wizje, choć różne — a warto w tym miejscu zaznaczyć, że mniej różne niż późniejsze realizacje tych wizji, które były w tak znacznej mierze wynikiem poddania ich próbie konkretnych uwarunkowań historyczno-politycznych, oraz poczynań pogrobowców, obdarzonych znacznie mniejszymi talentami i słabszymi charakterami — jedną miały cechę wspólną: były mianowicie ograniczone w swych projekcjach w przyszłość statycznym widzeniem Europy jako areny działania mocarstw dziewiętnastowiecznych. Przyznać przy tym trzeba Piłsudskiemu, iż pod wieloma względami okazał się bardziej od Dmowskiego dalekowzroczny, upatrując w dojrzewającej rewolucji rosyjskiej kolejne wcielenie żywiołu skazanego na herostratesowe posłannictwo. W ostatecznym jednak wyniku obaj myśleli w kategoriach, które druga wojna światowa przekreśliła. Niemniej stworzyli oni wspólnym, uzupełniającym się wysiłkiem postać Polaka nowoczesnego, wyzbytego kompleksów, świadomego swego prawa do samodzielnego bytu narodowego i państwowego, który nie tylko potrafił zdobyć się na bezprzykładny czyn orężny w obliczu wielokrotnej przewagi wrogów lecz i zdołał w warunkach sprzysiężenia największych potęg i nieznanego dotąd ucisku, który tej zmowy był następstwem, utrzymać ciągłość bytu państwowego po dwudzie-

toletniej zaledwie rekonstrukcji, zaś w latach powojennych nie dopuścić do takiej dekompozycji narodowej i państwowej jaką przeżyliśmy w wieku osiemnastym.

Zaiste jest to osiągnięcie wielkie. Nawet skrępowana pętami równie bezmyślnej co przewrotnej cenzury powojenna historiografia krajowa, po krótkim okresie tchórzliwego oportunistu, stara się już od lat w granicach możliwości nie w pełni co prawda wykorzystywanych, przywrócić należne miejsce tym dwóm wielkim ludziom, którym przetrwanie zawdzięczamy. Najradośniejszym zaś zjawiskiem jest upowszechnienie się w umysłach młodzieży, a przynajmniej najbardziej myślących jej zbiorowisk, świadomości tego, że nad sporami, które tych mężów stanu dzieły za życia, historia stawia ich wspólny pomnik.

Wojna 1939-1945 zakończyła kolejny rozdział w historii świata, Europy i Polski. Ale wywołane przez nią wstrząsy były już tylko ostatnimi akordami finału, który zapoczątkowała pierwsza wojna światowa. Zaiste tragicznym paradoksem naszych dziejów był ten osobliwy zbieg okoliczności, zmuszający nas do umacniania niepodległości budowanej na fundamentach położonych przez Piłsudskiego i Dmowskiego, w warunkach, w których idee twórców niepodległego państwa domagały się głębokiego przetworzenia na nowe postawy. Nie mogli już tego dokonać oni sami, sterani latami walk i bezradni wobec nowej rzeczywistości, i nie stać było na to tych, którym przypadło zadanie kontynuowania ich dzieła, ludzi wśród których zabrakło jednostek ponad miarę przeciętności. To, co naród mógł zaczerpnąć z sił żywotnych zawartych w ich ideach starczyło zaledwie na przetrwanie. Nowy układ spraw wymagał nowej wizji. I wymagał jej też nowy kształt w jakim naród wyłonił się z doświadczeń wojny. Nie stać nas jednak było na tworzenie nowej wizji po tym, jak za utrzymanie się na mapie Europy zapłaciliśmy krwią przelaną na wszystkich polach bitewnych drugiej wojny światowej, hekatombami w hitlerowskich i stalinowskich katowniach, powstaniem warszawskim i wojną domową. Resztkami sił trzeba był teraz walczyć o fizyczne przetrwanie, zaś próbom wskrzeszenia świadomości narodowej bynajmniej nie sprzyjały emigracyjne swary i wymuszone czy dobrowolne kompromisy w kraju. I nie sprzyjały temu, mówiąc najogólniej, działania polskich komunistów, spadkobierców postawy targowickiej lub choćby tylko ugodowej.

Możemy jednak przeciwstawić jałowości polskiej myśli politycznej w tym okresie, lawinom frazesów, piramidom martwych druków, neronowym widowiskiem schlebającym narodowej próżności, z konieczności skromne lecz tym cenniejsze poczynania garstki ludzi w kraju i na obczyźnie, którzy pozostali wierni swym powołaniom, i których rzetelnemu trudowi zawdzięczamy

słowa, które nie zdradziły ducha języka, dzieła autentycznej wiary i twórczego umysłu, stanowiące żywe ogniwa w łańcuchu naszej tradycji i kultury. To dzięki nim właśnie możemy z nadzieją spoglądać w przyszłość, pewni że żywe jest ziarno lepszego jutra, że miłością ojczyzny zapłoną przyszłe pokolenia, które, da Bóg, znowu wydadzą ludzi wielkich.

## I

Kryzys polskiej myśli politycznej, tak wyraźnie już zarysowujący się w ostatnich latach naszego niepodległego bytu, pogłębił się w powojennym trzydziestoleciu, przybierając rozmiary zagrażające świadomości narodowej. Nie miejsce tu na gruntowną analizę tego kryzysu lub chociażby szczegółowy opis; ograniczyć się musimy do pobieżnego rzutu oka, który zapewne grzeszyć będzie jednostronnością i brakiem udokumentowanej argumentacji, spełni jednak swe zadanie, jeśli pobudzi do dyskusji lub choćby wymiany inwektyw — tak znakomicie dyskusję u nas zastępującej.

W polskim nowoczesnym myśleniu politycznym próbujemy więc wyróżnić dwie główne tendencje, które gwoli zwięzłości określimy jako „komunistyczną” i „niepodległościową”. Obie one, choć korzeniami tkwiące w rzeczywistości przedwojennej, niewiele już miały z nią wspólnego kiedy stały się postawami zajętych przez Polaków w obliczu zmian zaszłych po wojnie. W okrojonej i przesuniętej na zachód Polsce, ogołoconej z mniejszości narodowych i co ważniejsze poddanej gwałtownemu procesowi przemian społecznych, ideologie, a raczej niezborne ich i na porządku wkompiłowane wykładnie, tworzone były i rozwijane w dusznej atmosferze konwentykli tajnych i jawnych, zawsze jednak ograniczonych do grona ideologów nie konfrontujących swych spekulacji z rzeczywistością społeczną i narodową. W obu „obozach” zdawała się obowiązywać zasada nieliczenia się z faktami oraz dufne przeświadczenie, że niewygodne fakty można zmusić do podporządkowania się wymyślonym koncepcjom. Co prawda odnosiło się to tylko do faktów określających rzeczywistość rodzimą. Istniały bowiem inne, z którymi liczyć się musiano, spłacając haracz zależności ustanowionych w czasie trwania wojny. Haracz ten z upływem lat stawał się coraz cięższy i egzekwowany był przez coraz niższe agendy władzy seniorskiej. Sprawa polska, zdjęta wolą aliantów z porządku dziennego polityki międzynarodowej, przekazana została — w przekonaniu twórców nowego ładu światowego na dobre — organom pomocniczym

administracji wewnętrznych. O Polsce stworzonej w Jałcie i Poczdamie miały odtąd decydować wywiady i policje a nie czynniki polityczne. Dla Rosji sprawa polska stała się dokuczliwym problemem utrzymania względnego spokoju na nowych rubieżach imperium, w dalszej zaś perspektywie kwestią stworzenia takiego *modus vivendi*, który z czasem pozwoli już bez większych kłopotów zredukować całe to zagadnienie do rangi spraw republik związkowych. Zachód natomiast, godząc się bez najmniejszych skrępułów, a nawet z uczuciem ulgi, na usunięcie Polski z grona państw niezawisłych, co więcej przyczyniając się do tego, na tyle tylko dbał o zachowanie pozorów wierności swym dawnym zobowiązaniom, na ile to mogło być potrzebne dla utrzymania w polskim społeczeństwie napięcia umożliwiającego dokuczenie Rosji, a i to jedynie wtedy, kiedy nadarzy się po temu dogodna dla Zachodu i niezbyt niebezpieczna okazja.

Jest rzeczą w pełni oczywistą, że w ośrodkach dyspozycyjnych po obu stronach barykady zdawano sobie sprawę z tej degradacji sprawy polskiej w hierarchii problemów polityki światowej i wyciągano z tego praktyczne wnioski — na pozór diamentralnie różne, w rzeczy samej zaś podobne, gdyż wynikające z sytuacji, w jakiej znajdowała się zarówno uzależniona od aliantów emigracja polityczna i wojskowa, jak i zawisła od Rosji a obejmująca teraz władzę w kraju partia komunistyczna. Zgodnie z realistycznym rozeznaniem starano się, przynajmniej w pierwszym okresie po katastrofie, zachować takie konkretne elementy dyktowanych przez polską rację stanu przesłanek polityki, które uzasadniałyby choćby szczątkowe utrzymanie polskich instytucji politycznych i mogłyby stać się w nieokreślonej przyszłości załączkami rekonstrukcji państwa.

Obustronne jednak zależności, na których zerwanie nie stać było ani polityków przebywających na emigracji ani tych którzy znajdowali się w kraju, uniemożliwiały jawne wykładanie takich motywów działania; co więcej, zmuszały do posługiwania się retoryką dyktowaną przez te zależności, pogłębiając tym samym rozdźwięk między ośrodkami dyspozycyjnymi a opinią publiczną, wyczuwającą instynktownie, niekiedy zaś rozumiejącą jasno, że jest racjonalnym programami taktycznymi coraz mniej mającymi wspólnego ze strategicznym celem odzyskania niepodległości. Dla społeczeństwa jedyną busolą pozostawał Kościół, który nie mogąc i nie chcąc zajmować się polityką w doraźnym rozumieniu tego terminu, ograniczać się do czuwania nad substancją narodową i do ingerowania jedynie w takich wypadkach, kiedy substancja ta bywała rzeczywiście zagrożona.

Tak więc warunki ogólne nie sprzyjały inicjowaniu jakichkolwiek dalekosiężnych rozważań nad możliwymi strategiami poli-

tycznymi, uwzględniającymi zmienione miejsce i rolę jakie Polska niepodległa mogłaby zająć w świecie, którego chwilowa statyczność była tak nietrwała, że nawet ludzie najbardziej spragnieni spokoju — a nie stanowili oni bynajmniej mało znacznego odłamku naszego społeczeństwa — nie mogli liczyć na zachowanie.

## II

Okres powojenny, przez historyków najnowszych na różne dzielony podokresy, można dla naszych potrzeb najogólniej zresumować jako czas porządkowania świata zgodnie z powziętymi przez aliantów decyzjami. Proces ten nie był rzecz jasna ani prosty ani łatwy. Ostatnie miesiące wojny i pierwsze lata po jej zakończeniu zmusiły zwycięzców do istotnej korektury zarówno w ocenach globalnej sytuacji, jaka w wyniku wojny powstawała, jak i planów na przyszłość. Pojawienie się bomby atomowej jako czynnika politycznego, zagarnięcie władzy w Chinach przez komunistów — tak przykrą stanowiącą niespodziankę zarówno dla Rosji, jak i dla Ameryki — perypetie związane z demontażem kolonialnych posiadłości Francji i Anglii, wszystko to, a także i inne mniej oczywiste okoliczności, wytwarzało sytuacje nieprzewidzane, wymagające nieustannych korektur, jeśli nie dalekosiężnych to w każdym razie bliższych celów politycznych mocarstw.

Ogłoszenie „świętej zimnej wojny” nie było więc w istocie niczym innym, jak zapewnieniem sobie przez mocarstwa czasu na uporządkowanie swych spraw wewnętrznych. Doktryny „wyzwolenia narodów ujarzmionych” i *roll back*'u jeśli nawet w intencjach swych twórców miały jakieś realne aspekty, w praktyce były jedynie zasłonami dymnymi, za którymi postępował proces konsolidacji stanów posiadania powstałych w następstwie wojny. Przy cichej zgodzie Moskwy demontował Waszyngton wpływy komunistów w Europie Zachodniej i na greckim przyczółku. Przy znacznie jawniejszej zgodzie Waszyngtonu likwidowała Moskwa ostatnie zarzewie irredenty narodowej w Europie Wschodniej. Oba mocarstwa nie miały złudzeń, że taka „neutralizacja” Europy oznacza tylko przeniesienie konfliktu założonego w naturze ich wzajemnych stosunków na arenę szerszą.

Stopniowe krystalizowanie się wizji świata podzielonego między dwa mocarstwa, których chwilowa współpraca oraz potencjalny konflikt będą decydowały o losach wszystkich innych narodów, sprzyjało na polskiej arenie politycznej umocnieniu się obu wspomnianych wyżej zależności, a co za tym idzie, pogłębianiu

się izolacji społecznej krajowych i emigracyjnych ośrodków pretendujących do kierowania polską polityką. Powodowało to na pozór paradoksalne, w istocie zaś wynikające z niemożności gruntownego przemyślenia nowej sytuacji i wyciągnięcia z tych przemyśleń wniosków samodzielnych i radykalnie nowych, zmiany w postawach politycznie czynnych kręgów społeczeństwa.

Dokuczliwa obecność Rosjan w kraju — objawiająca się nie tylko w brutalnych aktach terroru policyjnego, lecz również w niemniej drastycznych próbach ingerowania we wszelkie przejawy życia politycznego, społecznego i umysłowego, często mających na celu pełną jego sowietyzację — wywoływała niemal automatyczne i bezkrytyczne opowiedzenie się krajowych kręgów niepodległościowych po stronie Ameryki, nie bacząc na postawę zajęętą przez rząd Stanów Zjednoczonych w Jałcie i Poczdamie, podczas moskiewskich przetargów o formę narzucanej krajowi administracji, bierności wobec terroru rozpętanego po wojnie przez wojska sowieckie i podporządkowane im jednostki wojskowe i policyjne lubelskie, na bezczynność w obliczu takich aktów politycznych jak „referendum”, cynicznie inscenizowane wybory, wreszcie bezceremonialną likwidację niezdominowanych przez komunistów ugrupowań politycznych w rodzaju PSL i Stronnictwa Pracy.

Te same fakty, świadczące o „zdradzie” Ameryki oraz wynikające z nich poniekąd słuszne przeświadczenie o faktycznym *désintéressement* Stanów Zjednoczonych jak i przekonanie o degradacji politycznej Wielkiej Brytanii legły na emigracji u podstaw narastających — szczególnie w wojsku — nastrojów pesymizmu i stawały się przesłankami dla różnych, mniej lub więcej sprecyzowanych pomysłów przestawienia się na współpracę — choćby taktyczną ze Związkiem Sowieckim.

W rezultacie cały ten powikłany proces popychał do pełnej identyfikacji ośrodków dyspozycyjnych emigracji z polityką amerykańską zaś administracji krajowej z polityką sowiecką. Mógł jednak już wówczas uważny obserwator dostrzec, że społeczeństwo w znakomitej swej większości zachowuje rezerwę i zapatruje się sceptycznie na wszelkie tego rodzaju wybory postaw i metod działania. Działał tu zapewne zdrowy instynkt, który kazał wystrzegać się iluzji, kategorycznie odrzucał naiwne argumenty o dobrej woli i szlachetnych intencjach w polityce, przypominał o twardych prawach nią rządzących, o jej pryncypiach głoszących, że tylko w tej mierze będziemy mogli bronić naszych interesów, w jakiej stanowić będziemy realną siłę lub choćby czynnik rzeczywistości odgrywający jakąś samodzielną rolę, a zatem mogący stawić pewne warunki i regulować swe stosunki z potencjalnymi sprzymierzeńcami na trzeźwej zasadzie do *ut des*.

Przyjęcie do wiadomości i analiza obiektywnych faktów społecznych, niezależnie od ich oceny emocjonalnej a nawet rozmowej, które w znacznej mierze warunkowały powstanie i umacnianie się tego rodzaju postawy społeczeństwa, przede wszystkim zaś wyciągnięcie wniosków z zaistniałych zmian, które spowodowały, że wyrazicielami — a w każdym razie rzecznikami wyłącznymi i reprezentatywnymi — przestały być dotychczasowe tradycyjne warstwy czy kręgi społeczne mogło umożliwić rozpoczęcie rzeczowej dyskusji nad rekonstrukcją polskiej myśli politycznej ze szczególnym wyróżnieniem jej aspektów państwowych.

Tego rodzaju działalność intelektualna musiałaby jednak zacząć się od zasadniczej krytyki obowiązujących rozeznań i poglądów, a więc od samolikwidacji i kształtowania się od nowa tych właśnie ośrodków koncepcyjnych, które pracę taką miałyby podjąć. W nowożytniej historii naszej, będącej rejestrem nieustannych zmagania o zachowanie narodowości w warunkach braku państwowości, nie znamy bodaj przykładu tego rodzaju funkcjonowania mechanizmów autokorektury, które zdają się stanowić normalny element życia politycznego państw demokratycznych. Trudno więc było spodziewać się, że spadną nam one z nieba nawet w tak wyjątkowo trudnej sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się po wojnie.

Tak więc zamiast świadomie podejmowanego likwidowania form skazanych na zagładę i tworzenia na ich miejsce form nowych, kształtowanie się ich w walce z zastanymi i przemijającymi i przetwarzanie ich w dojrzałe programy polityczne, nastąpił okres historycznie co prawda uwarunkowanego, lecz niemniej żywiołowego, likwidowania ośrodków koncepcyjnych powstałych w czasie wojny i tuż po niej. Na ich miejsce nic nie przyszło. Pustki, w której przebywa jakby w śnie hipnotycznym pogrążony naród, nie wypełnią ani szczątkowe instytucje zachowane na obczyźnie, ani w kraju administracja, nie posiadająca szerszej wizji politycznej i bynajmniej nie kwapiąca się do niej, zadowolająca się pragmatycznym, w jej przekonaniu, zarządzaniem masy upadłościowej po Gomułce, i już teraz, na półmetku, zaczynająca zapewne uzmysławiać sobie nieuchronność czekającego ją losu.

### III

Nie twierdzimy, że mogło być inaczej. Powolne wygasanie i dezaktualizacja tych postaw w obu obozach politycznych miały różny przebieg i zależne były oczywiście od naturalnych środo-

wisk, w których zachodziły. Ośrodki polityczne emigracji stały się fizycznie i dekomponowały, jakby zgodnie z jakimś dotąd nie ujętym w ścisłe ramy terminu procesem właściwym tego rodzaju formacjom. Cofnięcie uznania rządowi polskiemu na emigracji nie tylko doprowadziło do głębokich rozdzwień w łonie ugrupowań politycznych w tym rządzie reprezentowanych, lecz pozbawiło również pewnych elementów realności inicjatywy polityczne, podejmowane nawet przez te zorganizowane i formalne ośrodki emigracyjne, które zdołały zachować pewną żywotność. Utrzymała się natomiast — i nawet w jakimś stopniu wzrosła dzięki izolacji kraju przez władze komunistyczne — szczególna rola emigracji jako symbolu, a w pewnych wypadkach, rzeczywistego rzecznika opinii publicznej polskiej. Tym wyrazicielem opinii stały się przede wszystkim niektóre instytucje o charakterze kulturalnym i propagandowym, działające wytrwale i skutecznie, niezależnie od ich stopnia samodzielności. Za przykład może posłużyć tak bardzo nie lubiana przez władze krajowe, ale także w pewnych środowiskach na obczyźnie, rozgłośnia polska RWE, niezależnie od tego w jakim faktycznie stopniu jest i była kontrolowana przez instytucje amerykańskie, które powołały ją do życia i umożliwiają istnienie. Nie chodzi tu tylko o bezsporną bodaj rolę źródła informacji jaką ta radiostacja pełni, ale także, a może nade wszystko, o jej funkcję jako platformy dyskusji, czy wręcz, jak to już nie raz się zdarzało, dialogu społeczeństwa z władzami partyjnymi i rządowymi. Ta rola RWE zaświadczona została dobitnie w głośnej odpowiedzi Marii Dąbrowskiej na pretensje partii do sygnatariuszy „listu 34”. Starając się wytłumaczyć, atrakcyjność i rolę rozgłośni polskiej RWE, Dąbrowska wskazywała na prostą zależność jej popularności od marginesu swobód obywatelskich w kraju. Podkreślała, że jedynym okresem, kiedy audycje tego radia nie musiały być zagłuszane i zdawały się nie wywoływać „niepożądanych” skutków był ów niezbyt długi czas październikowy, kiedy krajowe ośrodki przekazu uzyskały pewien zakres wolności. I wydaje się nam, że możemy wierzyć zapewnieniom zespołu tego radia, kiedy stwierdza, że z przyjemnością scedowałby swe obowiązki na rzecz właściwych środków przekazu w kraju.

Rola miesięcznika *Kultura* i jego publikacji książkowych jest nieproporcjonalnie wielka w porównaniu ze znacznie przecież mniejszym niż RWE zasięgiem ich oddziaływania. Docierają one bowiem nie tylko do środowisk opiniotwórczych lecz również do ośrodków formułujących i podejmujących, w przyznawanych im granicach i zdobywanej przez nie samodzielności, decyzje polityczne. O tym świadczy wielokrotnie stwierdzony fakt żywej reakcji w wyższych eszelonach partii na ogłaszane w *Kulturze*

artykuły czy książki, znajdujące niekiedy swój wyraz w publikacjach polemicznych, ogłaszanych nie tylko w periodykach ale i w prasie codziennej. Tego rodzaju „repliki” zasługują na szczególną uwagę, gdyż świadczą nie tylko o przekonaniu władz, że inkryminowane publikacje są wyjątkowo „szkodliwe”, lecz również o posiadanych przez nie informacjach, że spotkały się ze szczególnym zainteresowaniem, a nawet życzliwym przyjęciem w kręgach znacznie wykraczających poza licencjonowany spis osób uprawnionych do czytania tych druków. Należy jednak zaznaczyć, że kampanie przeciwko *Kulturze*, w rodzaju tej jaka rozpętana została po marcu 1968 roku z okazji tzw. sprawy taterników, mają, naszym zdaniem, charakter odmienny od wspomnianych wyżej polemik i ataków, i są — jeśli wolno przypuszczać — przede wszystkim elementami rozgrywek wewnętrznych lub też serwitutami splecanymi Moskwie raz po raz dającej wyraz swemu zaniepokojeniu „liberalizmem” Warszawy. Mogą też być aspektem tej skomplikowanej gry politycznej, w której Warszawa usiłuje dać wyraz swemu krytycznemu stosunkowi do określonych tendencji czy koncepcji pojawiających się w sowieckiej polityce zagranicznej.

Znamiennym dowodem oddziaływania publikacji paryskich jest oddźwięk jaki w swoim czasie wywołała książka Czesława Miłosza „Zniewolony umysł”. Po latach, kiedy wiele zawartych w niej tez i stwierdzeń można zakwestionować, czy choćby poddać dyskusji, trudno już sobie wyobrazić wrażenie jakie wywołała pojawiając się w kraju. Nie ulega bowiem kwestii, że była skutecznym przywołaniem do rozsądku tych oszalałych intelektualistów, którzy w euforii szczyrych lub interesownych konwersji stracili nie tylko umiar ale i zdolność widzenia głębi swych upadków; niewątpliwie jednak ważniejszym jej skutkiem było przetłumaczenie na język konkretnych przykładów ważkich przemyśleń o równi pochyłej, po której staczało się nie tylko pisarskie środowisko akceptujące biernie totalistyczny marksizm w tak — z różnych przyczyn — kuszącym wydaniu sowieckim. Triumfem książki Miłosza było pokwitowanie jej istnienia, mimo urzędowego niebytu, w inaugurującym powrót do życia politycznego przemówienia Władysława Gomułki, które było zarazem próbą obrachunku z erą „stalinowską”. Użycie w tym przemówieniu słów o „zniewolonych umysłach” nie było zwykłym zwrotem retorycznym, lecz potwierdzeniem zdomowienia się definicji i zawartych w niej treści w świadomości i języku, zaś fakt, że padły te słowa w toku generalnej debaty rozgorzałej w tych krytycznych, nie tylko dla partii, dniach, dowodził znaczenia i funkcji wolnego słowa polskiego.

Nie ulega wątpliwości, że kiedy długa i trudna droga *Kul-*



tury stanie się przedmiotem badań i refleksji historyków, sądy jakie o niej będą formułowane, przynajmniej w odniesieniu do poszczególnych etapów tej drogi, a być może i tego co dałoby się określić jako ideę ułożenia stosunków polsko-rosyjskich, nie będą zapewne jednomyślne. Nikt jednak nie może wykreślić lub pominąć działalności zespołu z Maisons-Laffitte, która już dziś rysuje się nam jako tak ważny rozdział walki o zachowanie i rozwój naszej świadomości narodowej i kultury. Co więcej, w czasach, gdy dawne ośrodki emigracji politycznej schodzą z areny aktywnego działania i chwilowa pustka, jaka po nich powstaje wykorzystywana jest jako argument mający przekonać opinię publiczną o anachroniczności czy nawet szkodliwości wszelkich działań podejmowanych za granicami kraju, *Kultura* jest najlepszą na te argumenty odpowiedzią, istnieniem swym i pracą dowodząc znaczenia ośrodka emigracyjnego, który niezawisłość swą w tak dużej mierze zawdzięcza wielkiemu uczuleniu na głosy z kraju, przyznawaniu im priorytetu w imię tej oczywistej prawdy, że w ostatecznym rozrachunku, o przyszłości Polski zadecyduje świadomość i poczynania tych Polaków, którzy w ojczyźnie zmagają się z jej problemami.

## IV

Apodyktycznymi i krzywdzącymi, na bardzo dowolnych przesłankach opartymi, mogą wydać się niniejsze uwagi w odniesieniu do polskiej myśli politycznej na obczyźnie, jej stanu, ośrodków i oddziaływania. Nie stawialiśmy sobie jednak zadania i nie mamy możliwości pisania historii ani też szczegółowego opracowania, które oddałoby sprawiedliwość tak bogatemu tematowi. Pragniemy jedynie spojrzeć z punktu widzenia Polaków żyjących w kraju na rzeczywisty, naszym zdaniem, stan rzeczy — czyli innymi słowy chcemy zająć określoną postawę wobec tych przejawów tej myśli, które do kraju docierają w jakiś znaczący, choćby najbardziej ograniczony, sposób. Jeśli przyszłość dowiedzie, że w chwili gdy piszemy te słowa, poza granicami kraju działały kuźnie płodnych idei, ośrodki formułowania nowych zasad polityki polskiej, twórcze zespoły koncepcyjne, o których nie wiemy czy wiedzieć nie możemy, a które we właściwym czasie ujawnią swój wpływ na polityczne horyzonty myślowe Polaków oraz ich poczynania, wówczas bez wahania uderzymy się w piersi i przyznamy się do karygodnej pochopności. Po takim wyjaśnieniu, w pewnej mierze tłumaczącym również charakter tych notatek, powracamy do drugiego aspektu interesującego nas problemu,

a mianowicie do dróg, którymi postępowała ewolucja myśli politycznej w kraju. Ograniczamy się przy tym, do jednego tylko jej przejawu, a mianowicie do politycznej myśli komunistycznej. Nie oznacza to bynajmniej niedoceniaenia innych tendencji, które w pewnej przynajmniej mierze były teoretycznymi uzasadnieniami programów ugrupowań względnie środowisk niekomunistycznych, zarówno tych, które otrzymały licencje na jawną działalność organizacyjną, jak i tych, które trwały w formach półlegalnych, w strukturach szczytkowych lub wręcz nielegalnych. W tej mierze, w jakiej niekomunistyczne koncepcje polityczne w ogóle oddziaływały na stan świadomości i opinii publicznej w kraju, spełniały one rolę bierną, to znaczy — w najlepszym wypadku — zmuszały partię do pewnego — z reguły bardzo skromnego — liczenia się z wpływem tych środowisk lub ugrupowań na społeczeństwo i odpowiedniego modyfikowania kolejnych taktycznych motywacji poczynić partii. Nawet w stosunkach z licencjonowanymi i do głębi spenetrowanymi „stronnictwami” — komuniści nie dopuszczali do żadnego istotnego kompromisu ideologicznego lub programowego. Wynikało to nie tylko z samej natury ideologii komunistycznej, w której dogmat monopartyjności jest jedynym trwałym fundamentem zmiennych poza tym artykułów wiary, ale także z nacisku konieczności historycznych, w których program ten był przez komunistów polskich realizowany.

W rozwoju polskiego komunizmu rewolucja bolszewicka w Rosji odegrała początkowo zupełnie akcydentalną rolę z punktu widzenia ewentualnego zastosowania doktryny do rzeczywistości politycznej. Przesłanką niekwestionowaną przez żadną z tendencji i frakcji istniejących w tym ruchu już od jego zarania, było przekonanie, że każde polskie państwo komunistyczne będzie tylko etapem po drodze do „światowej republiki rad”. Zgodnie z ortodoksją marksistowską, rewolucja w poszczególnych krajach miała sens jedynie jako wstęp do rewolucji światowej.

Tego rodzaju formuła nie przewidywała, bo i przewidywać nie mogła, suwerenności państw, które znalazłyby się w orbicie rewolucji zwycięskiej, czy nawet jakiejś autonomii w ramach rewolucyjnego związku narodów. Można było, do czasu, zastanawiać się teoretycznie nad zakresem lokalnych właściwości funkcji państwa rewolucyjnego w poszczególnych regionach narodowościowych, nad zakresem kulturowania cech narodowych i podobnymi sprawami, nie można jednak było kwestionować tak oczywistej prawdy jaką była rezygnacja z anachronicznych z punktu widzenia doktryny cech samodzielności państwowej na rzecz państwa rewolucji. Problemy takie — jeśli nawet przyznawano im jakąkolwiek realność — rozważane być mogły jedynie jako *wewnętrzne* sprawy rewolucyjnego państwa. Jest rzeczą charak-

terystyczną, że wszelkie dyskusje nad „problemem narodowym” ustały faktycznie z chwilą przejęcia władzy przez bolszewików w Petersburgu i jeśli pozornie toczyły się nadal jako teoretyczne spory o sformułowanie kanonicznej doktryny państwa rewolucyjnego, nie miały już żadnego wpływu na rekonstruowaną przez bolszewików rosyjską myśl państwową, której naczelnym zadaniem było zachowanie w stanie nienaruszonym imperium, którym obecnie rządzą.

Swoisty charakter geopolityczny tego imperium uniemożliwił podjęcie jakichkolwiek prób przekształcenia go w federację czy wspólnotę narodów. Zastąpienie idei „trzeciego Rzymu”, względnie zaborczych koncepcji panslawistycznych, doktryną międzynarodowej solidarności, już nie tylko proletariatu a wszystkich warstw upośledzonych ekonomicznie i politycznie okazało się w systemie po-carskim nieskutecznym środkiem politycznego przeciwdziałania tendencjom wolnościowym wzmagającym się w poszczególnych krajach zagarniętych lub podbitych. Tak więc pierwszym realnym problemem nowej władzy centralnej stała się odbudowa imperialnej administracji, stojącej na straży całości państwa. Teoretyczne uzasadnienia, proponowane jako kolejne warianty marksistowskiego rozwiązania „kwestii narodowej”, były li-tylko motywacjami *post factum* licznych reorganizacji tej administracji kolonialnej, karnych ekspedycji, pacyfikacji i wreszcie pretekstami do rozgrywek wewnętrznych, z reguły przybierających w prowincjach imperium formy sporów o zakres dopuszczalnych uprawnień zamieszkujących je narodowości.

Polscy komuniści, jak już o tym wspominaliśmy w innym kontekście, znaleźli się w sytuacji szczególnie trudnej, ponieważ nieuchronnie roztrząsanie problemu miejsca narodu w „komunistycznym społeczeństwie” stawiało ich przed alternatywą, w której mogli wybierać pomiędzy wyznaczeniem Polsce roli jednej z republik sowieckich, przekreślając w ten sposób wszelkie możliwości oddziaływania na społeczeństwo polskie, a szukaniem jakichś nowych formuł, co z kolei Moskwa uważała za przejaw niepokorności i zapowiedź potencjalnej zdrady jej racji stanu, identyfikowanej, zgodnie z dogmatem nadrzędności interesów Rosji w światowym ruchu komunistycznym, z interesami „proletariuszy wszystkich krajów”. Likwidacja polskiej partii komunistycznej w przeddzień sojuszu z Niemcami oznaczała głębszą zmianę w polityce sowieckiej niż zwykło się dotąd uważać. Zastanawiając się w najogólniejszych zarysach nad kształtem powojennego świata, Kreml zdecydował się na ostateczne rozwiązanie „kwestii polskiej” i wyznaczył Polsce, w przypadku gdyby znalazła się w orbicie sowieckich wpływów, funkcję i rolę republiki związkowej.

## V

„Problem polski”, który wielu polityków, ale także kremlologów i historyków, skłonnych jest uważać za marginesowy w procesie kształtowania się doktryny państwowości sowieckiej i praktycznego jej stosowania w polityce zagranicznej i wewnętrznej imperium rosyjskiego odrodzonego pod szyldem Związku Sowieckiego, odegrał w okresie międzywojennym — podobnie jak odgrywał na przestrzeni ostatnich dwóch stuleci caratu — rolę pierwszorzędną. Ukrywały to skrzętnie kolejne rządy rosyjskie zarówno przed własną, jak i światową opinią publiczną, kierując się nie tylko lękiem przed wypowiedzeniem głośno tego tabu, lecz również, a kto wie czy nie głównie, przekonaniem, które praktyka polityczna zdawała się potwierdzać, że konsekwentne traktowanie sprawy polskiej jako wewnętrznego zagadnienia Rosji oraz stanowcze odrzucanie wszelkich prób innego do niej podejścia, powoduje, iż przestaje ona być atutem politycznym na forum międzynarodowym zaś na forum wewnętrznym wikła się beznadziejnie w sploty różnych aspektów dumy narodowej, uniemożliwiając wszelkiego rodzaju dysydem szukanie porozumienia z Polakami. Taktyka ta jednak, wbrew pozorom i chwilowym sukcesom, opierała się zawsze na bardzo kruchych podstawach, o czym świadczyło nieuchronne wysuwanie się na plan pierwszy całego kompleksu problemów, pośrednio lub bezpośrednio związanych z kwestią niepodległości Polski przy każdym poważniejszym kryzysie polityki wewnętrznej lub międzynarodowej Rosji.

Tak właśnie stało się, gdy osiągnięto pozornie pragmatyczne rozwiązanie kwestii polskiej w układzie z Niemcami, który, jak to się zdaje wynikać z manewrów sowieckich przy wprowadzeniu w życie postanowień tajnej klauzuli Ribbentrop-Mołotow, nie przewidywał bynajmniej w rozumieniu sowieckim rozbioru Polski, a tylko likwidację „Piemontów”, powstałych w wyniku ukształtowania się międzywojennej granicy polsko-rosyjskiej i otwarcie dwóch wariantów ostatecznego, powojennego rozstrzygnięcia sprawy samodzielnego istnienia państwa polskiego lub wchłonięcia go przez Związek Sowiecki.

Tego rodzaju taktyka przyjęta na Kremlu pociągała za sobą szereg decyzji, z których nie najmniej ważną była likwidacja polskiej partii komunistycznej, w dziedzinie zaś polityki wewnętrznej gwałtowne nasilenie walki z „narodowymi” tendencjami w aparatach partyjnych republik związkowych, kampania ideologiczna wsparta represjami policyjnymi przeciw „kosmopolitycznym” tendencjom w środowiskach ideotwórczych, scill. przeciw remanentom internacjonalistycznych elementów w aparacie kominter-

nowskim i lansowanej idei „przodującej roli” Rosjan w wielonarodowym państwie sowieckim.

Już pierwsze miesiące wojny dowiodły iluzoryczności sukcesów tej polityki. Nawet najbrutalniej realizowane przez Niemców wskazania, wynikające z teorii rasistowskich, nie mogły zahamować procesów dezintegracyjnych zachodzących nie tylko na terenach okupowanych przez wojska niemieckie ale i w oddalonych od areny działań wojennych republikach. Władze sowieckie musiały zdawać sobie sprawę, co więcej musiały posiadać dokładne informacje, o wzmożeniu się fali nienawiści do Rosjan i systemu sowieckiego, wyrażającej się niejednokrotnie nie tylko w nastrojach ludności żywiącej się absurdalnymi pogłoskami, ale i w konkretnych poczynaniach. Uważne przestudiowanie oficjalnych dokumentów wewnętrznej propagandy sowieckiej pozwoliłoby niechybnie na bardziej precyzyjne opisanie tendencji, jakie zaczęły się wyłaniać w polityce sowieckiej, dla której bardzo bolesnym ciosem było jawne już teraz fiasko polityki narodowościowej, realizowanej przez ponadnarodowościowy w założeniu, faktycznie zaś zrusyfikowany, aparat partyjny. Wojna, wymagająca maksymalnego skupienia uwagi i wysiłków na problemach doraźnych, nie sprzyjała bardziej przemyślanemu kształtowaniu podstaw nowej doktryny, zmuszając do podejmowania improwizowanych w znacznej mierze decyzji. Jesteśmy zdania, że do tego rodzaju improwizacji należy zaliczyć ideę tworzenia państw „demokracji ludowej” na terenach które, zgodnie z postanowieniami układów między mocarstwami koalicji antyniemieckiej, miały się znaleźć w orbicie wpływów sowieckich i stać się czymś w rodzaju zdemilitaryzowanej strefy na styku dwóch światów.

Koncepcja „krajów demokracji ludowej” zdawała się być wygodna dla obu stron. Pozwalała mocarstwom zachodnim uspokoić opinię publiczną, której przewidywaną reakcję na tego rodzaju podział Europy przesadnie — jak się miało potem okazać — wyolbrzymiono, a równocześnie stwarzała sytuację nie do końca wyklarowaną, umożliwiającą ewentualne prowadzenie antysowieckiej gry politycznej. Rosji natomiast ułatwiała izolację swych ziem właściwych od nowych posiadłości, na których czekały ją trudne i kłopotliwe eksperymenty, mające doprowadzić do znalezienia najwłaściwszych sposobów skutecznego ich wchłonięcia. Istnieją poważne dowody na to, że koncepcja „KDL-ów” przez długi czas pozostawała płynna, ponieważ zbyt wiele niewiadomych elementów trzeba było brać pod uwagę przy jej formułowaniu. Wydaje się jednak, że na jej ukształtowanie się wpłynęły w sposób decydujący dwa czynniki — naszym zdaniem nie dostatecznie brane pod uwagę przy analizowaniu genezy koncepcji tych pseudopaństw — a mianowicie tradycyjna, i w pewnej

mierze historycznie uzasadniona postawa Rosji wobec narodów, które w następstwie ekspansji terytorialnej komplikowały i bez tego trudną sytuację wewnętrzną imperium oraz procesy zachodzące w ośrodkach pozostałych po dekompozycji przedwojennych partii komunistycznych, z których rekrutować się miały potencjalne administracje „ludowych demokracji”.

Imperium rosyjskie powstało w wyniku podbojów dyktowanych nie tyle przez pragnienie zdobycia hegemonii politycznej jako wyrazu dynamicznych potrzeb rozwijającego się narodu, ile z konieczności zdobycia tej hegemonii jako warunku utrzymania państwa, zagrożonego stale przez tendencje rozwojowe ościennych narodów o wyższej kulturze i dojrzałszej organizacji politycznej. Upraszczać sprawę, można by powiedzieć, że Rosja rozrastała się kosztem chwilowych lub organicznych słabości tych właśnie kultur, żaden bowiem z podbojów prowadzących do trwałego powiększenia jej terytorium nie był wynikiem przewagi orężnej czy politycznej a tylko umiejętnego wykorzystania trudnej sytuacji przeciwnika, niekiedy zaś bezwolnym wręcz wkraczaniem na opuszczone miejsce. Procesowi terytorialnego rozwoju państwa rosyjskiego nie towarzyszyło przy tym umacnianie fundamentów narodowej samoistności. Do wieku XIX Rosja nie zdołała wytworzyć sobie narodowej świadomości i świadomości historycznej, a i potem nie starczyło tych cech na wytworzenie kultury narodowej, która posiadałaby jakąkolwiek atrakcyjność dla narodów podbitych i która wobec tego mogłaby uruchomić w tych narodach jakieś mechanizmy asymilacyjne. Stąd dominującą cechą rosyjskiej świadomości politycznej była jej defensywność oraz wypływające z niej kompleksy, prowadzące z kolei do maniakalnych idei w rodzaju „Trzeciego Rzymu”, panslawistycznych rojeń i wreszcie do tej głębokiej nienawiści, podszytej poczuciem mniejszej wartości w stosunku do wszystkich — nawet najbardziej zacofanych — narodów podbitych. Warto przy okazji zauważyć, że osobliwe zjawisko „powołania do życia” nowych narodowości w okresie międzywojennym, tak podziwiane przez naiwnych entuzjastów Związku Sowieckiego, tłumaczy się głównie pragnieniem stworzenia autentycznych sfer oddziaływania cywilizacyjnego. Relacje tych wszystkich, którzy zetknęli się z przedstawicielami najwyższych eszelonów administracji sowieckiej potwierdzają w pełni utrzymanie się do chwili obecnej tych kompleksów, wyrażających się w głębokim poczuciu niepewności maskowanej arogancją.

Ostrze tych kompleksów ulegało jednak stopniowi gdy można było wprowadzać na miejsce realnego kontrahenta czy przeciwnika substytut w postaci ugrupowań lub jednostek materialnie i psychicznie podporządkowanych, i dla większej pewności dopro-

wadzanych do sytuacji, w których w oczach własnych społeczeństw i narodów były one piętnowane znamieniem zdrady. Za takie rekompensacyjne zabiegi Rosjanie płacili bardzo wysoką cenę, świadomość bowiem odgrywanej roli i całkowitej zależności od faktycznego mocodawcy, skłaniała z reguły elementy te do wybierania rozwiązań zwiększających zależność, chociaż bardzo często bywało to sprzeczne z państwowymi interesami Rosji, której pole manewru zawężało się w miarę tego, jak z konieczności wynikających z obranej taktyki, obdarzała coraz większymi atrybutami realności stworzone przez siebie substytuty. Sprawa wikłała się jeszcze bardziej, gdy pomyślane jako pionki w grze elementów stawały w obliczu potrzeby godzenia woli swych mocodawców z koniecznościami wynikającymi z zetknięcia z rzeczywistością od tych mocodawców niezależną.

Te dwa czynniki powodowały, że koncepcja „demokracji ludowych” od samego początku nacechowana była prowizorycznością i nie zawierała w sobie żadnych elementów zasadniczego rozwiązania dylematów, przed którymi Związek Sowiecki stanął po zakończeniu wojny. Dominująca na Kremlu koncepcja kontynuowania polityki wewnętrznej i zagranicznej okresu międzywojennego polegającej na ścisłej izolacji państwa od świata zewnętrznego i wyczekiwania na takie powikłania, które pozwolą wykorzystać zaistniałe tam rozbieżności dla dalszego umocnienia pozycji Rosji i dla ewentualnej dalszej ekspansji, zmuszała do podjęcia kroków prowadzących do „zimnej wojny”, co z kolei oznaczało przyśpieszenie procesu wchłonięcia „demokracji ludowych”, zwiększając tym samym napięcia wewnętrzne przybierające w pierwszych latach po wojnie rozmiary zagrażające ustrojowi. System terroru wewnętrznego ściśle związany z gospodarką i jej aspektem militarnym zaczynał pękać w szwach, nastroje ludności przybierały formy biernego, i w bardzo nielicznych wypadkach, czynnego oporu. Skorumpowany wszechwładzą organów bezpieczeństwa aparat partyjny nie był już żadną przeciwwagą dla osobistej dyktatury Stalina, zaś o takiej przeciwwadze zaczynało myśleć w kręgach elity władzy, które w czasie wojny zdołały nawiązać zerwane w okresie czystek lat trzydziestych stosunki ze sferami wojskowymi.

Śmierć Stalina umożliwiła rozegranie pierwszej rundy między zwolennikami zachowania w stanie absolutnie nienaruszonym dogmatów, które były wytycznymi polityki sowieckiej od lat trzydziestych, a ich przeciwnikami, którzy co prawda nie posiadali żadnego programu pozytywnego i stanowili bardzo przypadkowy alians prominentów partyjnych różnego pochodzenia oraz różnych poglądów i możliwości, zjednoczonych jednak świadomością, że omnipotencja Berii, utrwalona w wyniku zwycięstwa

„dogmatyków”, oznaczać będzie nie tylko osobiste ich zagrożenie ale i utrzymanie anachronicznych porządków, co może doprowadzić do katastrofy zagrażającej całej strukturze imperialnej. W tej sytuacji zwycięstwo frakcji antystalinowskiej, której załącznikiem stały się wznowione kontakty wyższych dowódców wojskowych z działaczami partyjnymi wysokiego szczebla, było przesądzone. Okazało się ono jednak — zgodnie z logiką rozwijających się procesów — pierwszym zaledwie epizodem przemian, które wciąż jeszcze trwają, epizodem, który ujawnił najsłabsze i najsilniejsze ogniwa łańcucha skuwającego imperium. Wśród tych ostatnich pierwsze miejsce przypada siłom zbrojnym, których kadra dowódcza uformowana w latach wojny okazała się na tyle związana z systemem, by nie ulegać narosłym nastrojom, a przy tym dostatecznie silna, by stać na straży jego istnienia, nie zdradzając przy tym żadnych ambicji „bonapartystowskich”, co więcej, gotowe przeciw ambicjom tego rodzaju występować solidarnie.

Najsłabszymi natomiast ogniwami okazały się „demokracje ludowe”, w których ujawniły się głębokie procesy rozkładowe, wyrażające się nie tylko w wyraźnym zarysowaniu się podziałów frakcyjnych, niekoniecznie odzwierciedlających podziały zaistniałe w Moskwie, lecz co więcej świadczących wręcz o narastaniu tendencji separatystycznych, czy to w wyniku ulegania nastrojom niezuniformalizowanych jeszcze społeczeństw, czy też dowodzących istnienia pewnych ambicji usamodzielnienia się, wyrastających z nieortodoksyjnych interpretacji doktryny marksistowskiej. Punkt kulminacyjny demontażu państwa stalinowskiego, który nastąpił w połowie lat pięćdziesiątych i którego najbardziej dramatycznymi momentami były wydarzenia październikowe w roku 1956 w Polsce oraz powstanie węgierskie, zdecydował o drodze obranej przez Kreml w następnym etapie procesu. Postawa jaką świat zachodni zajął w stosunku do tych wydarzeń świadczyła dowodnie, że nikt nie ma zamiaru rewidować postanowień układów czasu wojny, nawet w obliczu pojawienia się tak ważnego nowego czynnika w polityce światowej jakim były Chiny wyraźnie już delimitujące swój zakres nie tylko podporządkowania Moskwie ale i współpracy z nią. Uspokojony w najgorszych swych obawach Związek Sowiecki zaczął formułować konkretne przesłanki koncepcji „współistnienia”, które po Suezie miało się wyrażać w kondominium ze Stanami Zjednoczonymi. Na użytek wewnętrzny powstawać zaczęła doktryna odideologizowanej polityki pragmatycznej, przybierającej w szybko po sobie następujących „odwilżach” i „przymrozkach” z wolna swój kształt tymczasowy odzwierciedlony w tzw. doktrynie Breżniewa, oznaczającej nie tylko, jak to powierzchownie przyjęto uważać, bezwa-

runkową ochronę całości terytorialnej imperium, ale także, co jest niemniej ważne, przyspieszenie procesów integracyjnych przez radykalne wyeliminowanie wszelkich istniejących jeszcze i potencjalnych ośrodków, elementów, czy załączków odśrodkowych tendencji politycznych zarówno w sferze gospodarczej, jak i duchowej.

## VI

Ten długi ekskurs w sprawę nadrzędne do ewolucji myśli politycznej polskich komunistów w okresie wojennym i powojennym niezbędny był dla wyjaśnienia tła tego procesu w minionym trzydziestoleciu. Objąwszy władzę w kraju, komuniści polscy nie mieli żadnego sprecyzowanego programu działania, jako że wszelkie dyskusje, polemiki i wyłaniające się z nich wnioski, będąc odbiciem, choćby najdalszym, kształtowanej na Kremlu polityki, sprowadzały się niemal wyłącznie do roztrząsania kwestii zastosowalności systemu sowieckiego w warunkach przejściowych, które zaistnieją w kraju do chwili wkroczenia armii sowieckiej po przejściu władzy przez aparat administracyjny, wyłoniony i przeszkolony w toku formowania wojskowych jednostek polskich na terenie Związku Sowieckiego i podporządkowanych następnie sowieckiemu dowództwu, oraz do prób ustalenia granic tej zastosowalności. Najprostszą receptą — proponowaną przez część działaczy komunistycznych skupionych wokół ośrodka reorganizującej się w Moskwie polskiej partii komunistycznej i jego jawnej ekspozytury, Związku Patriotów Polskich — zdawało się przyjęcie wariantu „siedemnastej republiki”. Już sam fakt, że tego rodzaju wariant dyskutowany był w kręgach komunistycznych, a zatem stawał się tajemnicą poliszynela, zdawał się świadczyć o tym, iż był to jedynie wymyślony przez odpowiednie organy sowieckie sposób wysondowania poglądów i nastrojów w polskim środowisku komunistycznym, o którym wiadomo było, że po wymordowaniu jego przywódców w stalinowskich więzieniach i obozach jest ono całkowicie zdezorientowane, rozbite i zdemoralizowane. Chodziło przy tym zapewne o stwierdzenie, jak dalece żywe są jeszcze w tym środowisku dawne podziały, które — jak o tym zapewne donosiły nadchodzące z Polski raporty wywiadu sowieckiego — odrodziły się w komunistycznym podziemiu. Recepty takiej nie mogły brać poważnie władze sowieckie, rozważające podówczas warianty modelu „demokracji ludowych”, tak jak nie brały poważnie, będących później stałym tematem mitotwórstwa nawróconych po październiku na liberalizm polskich stalinowców, owych bardziej „demokratycznych” rozwiązań, któ-

re rzekomo powstawały na najtajniejszych konwentyklach „zbuntowanych” polskich komunistów. W tej jednak postaci w jakiej były omawiane, wpłynęły niewątpliwie na frazeologię propagandy i taktyczne programy w rodzaju „manifestu lubelskiego”.

## VII

Objęcie władzy przez przybyłą z Moskwy ekipę na terenach zajmowanych przez armie sowieckie, zdawało się prowadzić, wbrew teozom „manifestu”, a być też może zamierzeniom ówczesnym Moskwy, do wskrzeszenia i prób realizacji koncepcji wcielenia Polski do Związku Sowieckiego. W tym kierunku popychały tak zwane fakty obiektywne. Ustanawiana administracja napotykała na jednolicie wrogą postawę społeczeństwa, które nawet do żołnierzy ubranych w mundury polskie odnosiło się z wielką nieufnością. Wydaje się również, że poza bardzo nielicznymi wtajemniczonymi na najwyższych szczeblach tej administracji, nie zdawano sobie sprawy z faktycznego układu sił w kraju, w którym „państwo podziemne” było autentycznie istniejącą i obejmującą cały teren Rzeczypospolitej w jej przedwojennych granicach władzą suwerenną, uniemożliwiającą podjęcie jakichkolwiek skutecznych prób podważania jej autorytetu. Niewiele jasności wniosło zetknięcie się z nielicznymi przecież członkami krajowego PPR — ci bowiem, w dobrze rozumianym interesie własnym — znalazłszy się w obliczu zwartej ekipy moskiewskiej, dysponującej nie tylko jednostkami wojskowymi zorganizowanymi na terenie ZSSR lecz i właściwymi kontaktami ze stacjonującymi w Polsce władzami sowieckimi, nie mieli bynajmniej zamiaru ujawniać swej słabości i znikomej roli w kraju.

Sytuację administracji wpieryw lubelskiej a potem warszawskiej komplikowało niezmiernie identyfikowanie jej z władzami sowieckimi, które od chwili wkroczenia na ziemie polskie rozpoczęły akcję deportacji i aresztowań; wkrótce zaś potem identyfikacja ta zdawała się znajdować potwierdzenie w fakcie rozpoczęcia przez formacje wojska i tworzącego się bezpieczeństwa walki z nierozwiązanymi jednostkami polskiego ruchu oporu. To niemal automatyczne przekształcanie się administracji w jednoznacznie komunistyczną władzę groziło zbyt pośpiesznym ujawnieniem jej charakteru, co z kolei mogłoby doprowadzić do nieprzewidzianych odroczeń zdesperowanego społeczeństwa, przysparzając Kremlowi kłopotów. Przedwczesne inkorporowanie zdemastrowanej przez wojnę i okupację Polski bynajmniej nie leżało w planach Stalina, zdającego sobie sprawę z trudności powojennej

rekonstrukcji, nie mówiąc już o tym, że wniosłoby niepotrzebne zgrzyty w komplikujące się stosunki z niedawnymi sojusznikami, mającymi podówczas monopol na broń atomową i wciąż jeszcze znaczne siły wojskowe w Europie.

W takiej sytuacji poparcie Gomułki, wbrew naleganiom ekipy polskich komunistów z Moskwy, którzy od pierwszej chwili dążyli go uzasadnioną i nieposkromioną nienawiścią, umożliwiło prowadzenie gry, zapewniającej przeprowadzenie w Polsce zmian nieodwracalnych przy jednoczesnym hamowaniu niewczesnych poczynań niezbyt doświadczonych funkcjonariuszy.

Gomułka, reprezentujący już w chwili dojścia do władzy w krajowym PPR „nacionalistyczne odchylenie” w ruchu komunistycznym, miał swych odpowiedników w grupie moskiewskiej. W pierwszych, zarysowujących się ledwie sporach w moskiewskim środowisku polskich komunistów o model „nowej Polski”, wyłaniał się również i taki, który zmiany nieodwracalne spowodowane wojną i okupacją pragnął wykorzystać dla zainicjowania przemian gospodarczych, społecznych i politycznych, które umożliwiłyby lansowanie nowej polityki zagranicznej i wewnętrznej w formułach najdalej odbiegających od tych jakie dotąd obowiązywały w doktrynie komunistycznej, opartych na dwóch podstawowych przesłankach, a mianowicie na konieczności reorientacji polityki polskiej w kierunku ścisłego sojuszu z Rosją Sowiecką i równocześnie stworzeniu ustrojowych i społecznych podstaw gwarantujących całkowitą od niej niezależność. Potrzeba sojuszu wynikała w tej koncepcji z analizy sytuacji geopolitycznej przyszłego odrodzonego państwa, opierającej się na założeniu, że powojenny układ sił w Europie będzie w zasadniczych rysach zmierzał do powtórzenia sytuacji przedwojennej, w której Polska miała do czynienia z dwoma potężnymi, zagrażającymi jej istnieniu sąsiadami. Postulat niezależności od Rosji był nie tylko następstwem zrozumiałych resentymentów tej grupy niedobitków, cudem ocalałej z stalinowskich rzezi, ale i przekonania, formułowanego z największą ostrożnością i oporami, że Związek Sowiecki pod rządami Stalina zdradził ideę komunizmu i rewolucji. Przekonanie to, dojrzewające nie tylko w polskich kręgach komunistycznych, miało w przyszłości stać się niedopowiadającym do końca pretekstem dla podejmowanych pod najróżnorodniejszymi pretekstami prób usamodzielnienia się partii komunistycznych. Warto przy tym zauważyć, że na rok przed śmiercią Stalin, zdając sobie sprawę z głębokiego kryzysu jaki narastał w stosunkach sowieckiej partii z partiami komunistycznymi Zachodu, z fiaska Kominformu i klęski poniesionej w Jugosławii, a także z konsekwencji polityki wobec krajów satelitarnych, które wprowadziły imperium, a nawet cały blok sowiecki w ślepią uliczkę perma-

nentnego terroru, w swym przemówieniu na XIX zjeździe partii sowieckiej wypowiedział znamienne słowa, które przedziwnie zabrzmiały w uszach wprawionych do wychwytywania najdrobniejszych niuansów deklaracji partyjnych i niemałe poruszenie, szczególnie w aparatach partyjnych „demokracji ludowych”.

Z przesłanek wyżej wymienionych zdawały się wynikać bardzo osobliwe wnioski. Miała więc polska partia komunistyczna — odbudowująca swe szeregi i w przyszłości uzyskująca możliwości działania jedynie dzięki wkroczeniu wojsk sowieckich na teren Polski — nie dopuścić do narzucenia sobie roli rządu quislingowskiego a równocześnie wykorzystać ewentualne możliwości oddziaływania na społeczeństwo dla doprowadzenia do owych „zmian nieodwracalnych”. Nie naszą jest rzeczą dociekać jak sobie wyobrażali twórcy podobnych pomysłów ich urzeczywistnienie. Ograniczamy się tylko do odtworzenia najogólniejszego treści owych postulowanych zmian. Punktem wyjścia miało być usankcjonowanie dokonanych przez Niemców ekspriopriacji w przemyśle i bankowości; niedopuszczenie do powrotu do kraju przebywającego na emigracji rządu, który uważał się za jedyną legitymistyczną kontynuację rządu II Rzeczypospolitej; wreszcie przeprowadzenie radykalnej reformy rolnej, ułatwionej przez cesję ziem wschodnich, ewentualne poszerzenie terytorium państwa na zachodzie, gdzie automatycznie przestanie istnieć niemiecka własność oraz przez wykorzystanie okrzepnięcia ruchu ludowego jako siły politycznej i społecznej.

Pierwotnym zamierzeniem, którego echa znajdujemy jeszcze w „Manifeście lubelskim”, było obwarowanie tych zmian takimi postanowieniami prawnymi i konstytucyjnymi, które uniemożliwiłyby ich wykorzystanie dla sowietyzacji kraju. Z zachowanych materiałów propagandowych armii Berlinga, a także z relacji byłych jej żołnierzy, wynika niedwuznacznie, że ta właśnie część ekipy moskiewskiej, która zdołała podporządkować sobie w pewnej mierze aparat „polityczno-wychowawczy” wojska, kładła silny nacisk na unikanie wzorów sowieckich, niekiedy posuwając się do tego, że swój program „reform” po wkroczeniu do kraju ograniczała do formułowania tego, czego zrobić nie należy, pozostawiając przyszłej decyzji społeczeństwa określenie tego, co robić należy. Zbyt uproszczone i powierzchowne byłoby tłumaczenie takiego postępowania wyłącznie względami taktycznymi, choć niewątpliwie odgrywały one wielką rolę i stanowiły skuteczny argument w „konsultacjach” z moskiewskim mocodawcą, bo przecież masa żołnierska dywizji Kościuszkowskiej i następnych — które miały być oparciem dla komunistów po powrocie do kraju, i z której trzeba było wyselekcjonować część przynajmniej przyszłego aparatu państwowego — rekrutowała się głównie z de-

portowanej ludności kresowej, dostatecznie, jak się podówczas wydawało, immunizowanej na hasła komunistyczne. Można jednak z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że sformułowania te były w znacznie większym jeszcze stopniu echem owych programowych dyskusji toczonych wśród komunistów, którzy znaleźli się w Moskwie i w wojsku.

### VIII

Jeśli przysłym historykom uda się dotrzeć do zapewne szczątkowych już materiałów archiwalnych odnoszących się do tła faktów, które kształtowały nowe formy państwowości, to zapewne badania ich poszerzą naszą wiedzę o tym okresie, pozwolą lepiej zrozumieć przebieg wydarzeń i ustalić zakres modyfikacji jakiej programy podlegały w toku realizacji, a także ustalić czynniki, które na zmiany te wpływały. Niemniej sądzimy, że już dziś można i należy pokusić się o próbę zrozumienia zarówno znanych z autopsji — jak i tych, których skutki miały dopiero po latach stać się widoczne — poczynań partii komunistycznej i administracji państwowej. Jest to tym bardziej konieczne, że bez takiego, chociażby w znacznej mierze hipotetycznego odtworzenia procesu przemian myśli politycznej polskich komunistów, trudno jest w ogóle mówić o wyjściu z impasu, w jakim znaleźliśmy się właśnie w wyniku realizacji ich koncepcji politycznych.

Okoliczności, w jakich przeprowadzona została reforma rolna przekreślały tezy zawarte w manifestie lubelskim, tymczasowa bowiem władza na terenach zajętych przez armię sowiecką — „komitet wyzwolenia” ustanowiony w Moskwie — nie tylko znalazła się w całkowitej izolacji społecznej, lecz co więcej, uważana powszechnie za władzę narzuconą i symbol nowej okupacji, budziła podejrzliwość i opór wobec wszystkich swych pociągnięć. Reforma rolna, przeprowadzana głównie przez wojsko i elementy z reguły nie cieszące się autorytetem wsi, przybierała formy znacznie radykalniejsze aniżeli przewidywał dekret i w pierwszej swej fazie pociągnęła za sobą poważne szkody ekonomiczne oraz dewastację mienia kulturalnego. Akcja uwłaszczeniowa od samego początku miała charakter polityczny a nie społeczny i traktowana była wbrew założeniom programowym oraz publicznym deklaracjom jako etap przejściowy do socjalizacji wsi. Temu właśnie jej aspektowi przypisać należy brutalny charakter ekspriopracji dawnych właścicieli ziemskich, połączony z represjami policyjnymi, doraźnymi lub niekiedy długotrwałymi, a także próby rozpoltowania wsi, co w rezultacie prowadziło do zanarchizowania sytuacji i spotęgowania nastrojów niepewności. Trudno jest dziś

ustalić bez dostępu do archiwów i bez szczegółowych badań nad dokumentami opublikowanymi, w jakiej mierze były to procesy świadomie prowokowane i kierowane przez ówczesne kierownictwo PPR, a w jakiej zaś były to tylko skutki walk frakcyjnych w tym kierownictwie i powierzenia realizacji reformy rolnej ludziom całkowicie do takiego zadania nieprzygotowanym, niemniej faktem jest, że wzajemne oddziaływanie metod przeprowadzania reformy i wywoływanych przez te metody reakcji społeczeństwa wpływało na dalszą radykalizację polityczną PKWN.

Powstanie rządu tymczasowego, w którym stanowisko wicepremiera objął Stanisław Mikołajczyk w niewielkiej mierze zmieniło sytuację. Ruch ludowy, systematycznie osłabiany dywersyjną działalnością grup dysydenckich, organizowanych przez partię komunistyczną, stał się terenem walki politycznej, która utrudniała, a nawet uniemożliwiała, skupienie uwagi na sprawie najważniejszej, jaką była konieczność tworzenia opartej na konsekwentnym programie gospodarczo-politycznym partii chłopskiej, czyli jedynej siły, która mogłaby ewentualnie być dla Moskwy alternatywnym rozmówcą w sprawach polskich. Mikołajczyk nie wyciągnął wniosków z podjętej przez siebie decyzji uczestniczenia w rządzie utworzonym zgodnie z życzeniami Kremla i przekształcił PSL ze stronnictwa ludowego w amorficzną społecznie organizację, której punkt ciężkości przesunął się wbrew logice do miasta. Opozycyjna polityka PSL-u opierała się na przekonaniu, że mocarstwa zachodnie gotowe są wystąpić realnie w obronie niezawisłości Polski, chociaż przeczyły temu fakty; operując zaś anachroniczną frazeologią, nie rozumiejąc w istocie ani sytuacji w kraju ani w ruchu komunistycznym, zajmując w stosunku do Moskwy stanowisko demonstracyjnie negatywne, a równocześnie nieustannie ustępując pod najłżejszym naciskiem kolejnych pozycji przetargowych, Polskie Stronnictwo Ludowe nie tylko traciło możliwości manewru ale nie umiało stworzyć żadnych struktur organizacyjnych lub chociażby platform ideowych, które przetrwałyby jego legalne istnienie.

Wieś, której ze względów gospodarczych i politycznych w pierwszym okresie nie straszono kolektywizacją, zaczynała właśnie asymilować pozytywne następstwa reformy rolnej, gdy kolejny zwrot w polityce partii wskrzesił widmo kołchozów i ich politycznych konsekwencji. „Walka klasowa” na wsi stała się ważkim elementem nowej fali terroru, który natrafił co prawda na skuteczny opór chłopów, nie doprowadził jednak do powstania takich form politycznego sprzeciwu, które umożliwiłyby wsi odzyskanie wpływu na sprawy państwa w zmienionej sytuacji wewnętrznej kraju. Regres polityczny wsi w porównaniu z okresem międzywojennym i okupacyjnym był oczywisty i, jak dotąd,

jest nieodwracalny. Pogłębiał go odpływ ludności wiejskiej do miast, będący nie tylko następstwem uprzemysłowienia lecz również w dużym stopniu zarządzeń administracyjnych, ekonomicznych i politycznych hamujących naturalny rozwój wsi i uniemożliwiających niezbędne dla jej rozwoju przeobrażenie. Migracja ta, wbrew twierdzeniom ekonomistów i socjologów, ma odmienny charakter niż w krajach, w których proces industrializacji był wynikiem autentycznych wymogów historycznych, jej zaś skutki niewiele mają wspólnego z przewidywaniami planujących przebudowę społeczeństwa na modłę sowiecką polityków krajowych i ich mocodawców.

Najdotkliwszą klęską poniesioną przez partię była niemożność zagospodarowania ziem zachodnich, które Polska otrzymała po Poczdamie. Główną przeszkodą był stan tymczasowości, utrzymujący się na tych terenach przede wszystkim w następstwie stacjonowania tam wielkich jednostek armii sowieckiej, których obecność mogła mieć tylko jeden sens, a mianowicie podkreślenie, że ich przynależność do Polski nie jest wcale przesądzona i to bynajmniej nie ze względu na możliwość odrodzenia się rewanżyzmu niemieckiego. Wojska sowieckie, sprawujące faktyczną administrację tych terenów, wszystkimi swymi poczynaniami i zarządzeniami zdawały się podkreślać, że są to wciąż jeszcze „ziemie niczyje”, które w każdej chwili mogą być zwrócone Niemcom, gdyby zaistniała odpowiednia dla takiego kroku koniunktura polityczna. Nie przypadkiem też z problemu ziem zachodnich usiłował Gomułka uczynić jeden z atutów politycznych w swej rozgrywce wewnątrzpartyjnej.

Powstawał więc splot przyczyn i skutków tak ściśle ze sobą powiązanych, że uniemożliwiały one jakiegokolwiek rozsądne jego rozwikłanie, prowadząc z jednej strony do coraz większej izolacji partii, realizującej swe zamierzenia przy biernym i czynnym oporze społeczeństwa, z drugiej zaś do konsekwencji tej izolacji, zmuszających do stopniowego odchodzenia od dawnych programów i coraz ściślejszego modelowania ich na wzór sowiecki. Wpływać to musiało również na politykę Kremla, który poza partią komunistyczną nie miał żadnego realnego kontrahenta w Polsce i dla którego Polska zanarchizowana i pozbawiona jakiegokolwiek zorganizowanych sił politycznych, mogących stać się ewentualnym oparciem dla manewrów politycznych Zachodu, coraz bardziej zdawała się samoredukować do roli wewnętrznego problemu sowieckiego.

Upaństwowienie przemysłu i banków przebiegało zgodnie z przewidywaniami, niespodzianką jednak chyba i dla samych komunistów była wątpliwość „sektora prywatnego” — średniej i drobnej wytwórczości oraz handlu, wynikająca nie tylko z istnie-

jących od samego początku i nasilających się z upływem czasu zarządzeń restrykcyjnych, ale i osłabienia jego bazy społecznej. To właśnie wieś politycznie i gospodarczo zorganizowana mogła pomóc okrzepnąć nowej warstwie średniej w Polsce ale brak tego oparcia spowodował jej zanik, nawet w tych dzielnicach kraju, w których zachowała ona częściowo swój stan posiadania.

Kiedy jednak próbujemy dojść do jakichś ogólniejszych sądów o tym zaczarowanym kręgu sprzeczności, w którym partia komunistyczna złobiła meandry swej polityki wewnętrznej, trudno jest pominąć milczeniem problem bardzo delikatny, wokół którego narastały latami liczne nieporozumienia i który ze względu na tragiczne asocjacje nie był nigdy rzeczowo dyskutowany. Chodzi o tak zwany problem żydowski, którego rzekomo narodowościowy aspekt umożliwiał ukrywanie i pseudonimowanie znacznie poważniejszego zagadnienia roli i grup społecznie i narodowo wyobcowanych w montowaniu totalitarnych doktryn i ich realizacji. W istocie mamy tu do czynienia z pogłosami problemu, który niewątpliwie zajmował poczesne miejsce w syndromie zagadnień politycznych i społecznych, wynikających z narodowościowego charakteru dawnej struktury ludnościowej naszego kraju. Nie miejsce tu na pobieżne chociażby omówienie różnorodnych aspektów tego problemu, wciąż jeszcze czekających na gruntowne przebadanie, głęboką analizę i obiektywny opis, pragnąc jednak zrozumieć rolę jaką komuniści żydowskiego pochodzenia odegrali w powojennej Polsce musimy cofnąć się do lat przedwojennych, kiedy pojawił się ten problem eksploatowany świadomie lub bezwiednie w najróżniejszych celach. Żydzi w Polsce, stanowiący prawie jedną dziesiątą ludności, dzielili się, ogólnie biorąc, na liczebnie przeważający odłam kultywujący swą obyczajową i nawet językową odrębność oraz na znacznie mniejszą zbiorowość, która niezależnie od deklarowanego wyznania, z tą odrębnością obyczajową zrywała. W kraju, w którym mniejszości narodowe odgrywały poważną i skomplikowaną rolę polityczną i społeczną, podział taki oznaczał konieczność dokonywania pewnych opcji, które jednak w żadnym wypadku nie wpływały na prawny status bywateli państwa. Opcja na rzecz odrębności oznaczała akceptację statusu narodowościowego z jego konsekwencjami postulowanej autonomii, realizowanej zresztą w bardzo szerokim zakresie w postaci własnego szkolnictwa, reprezentacji parlamentarnej i samorządu. Opcja natomiast na rzecz zerwania z odrębnością prowadziła nieuchronnie do całkowitego stopienia się z dominującą grupą etniczną polską, choć istniały również sporadyczne wypadki asymilowania się do innych mniejszości narodowych, głównie niemieckiej, rzadziej ukraińskiej. Zarówno naturalna chęć przystąpienia do procesu asymilacji, jak i z drugiej strony stopniowe



wykruszanie się barier odrębności w następstwie procesów cywilizacyjnych i społecznych prowadziły do wytworzenia się grupy pośredniej, najdotkliwiej odczuwającej konsekwencje sytuacji, z konieczności przejściowej. W tej właśnie grupie następowała skrajna polaryzacja, wytwarzały się dwa marginesy żydowskiej społeczności, które dawały posłuch najbardziej radykalnym sformułowaniom ideologicznym zarówno nacjonalistycznym, jak i kosmopolitycznym. Syjonizm, niezbyt popularny wśród Żydów polskich, stanowił jednak dla elementów zrywających z dotychczasową swą identycznością *narodowościową* szansę zapuszczenia nowych korzeni w zdobywanej pługiem i orężem ojczyźnie przodków, natomiast akces do kosmopolitycznych ugrupowań komunistycznych i liberalnych pogłębiał proces wyobcowania, wiodący do wynaturzeń, których uniknąć nie można było w świecie nadal uznającym i realizującym swe wartości w kategoriach narodowych. Teoretyczna ponadnarodowość komunistów, ale także i pozostających w orbicie ich wpływu liberalnych inteligentów, przekształcała się w praktyce w opcję na rzecz nowych lojalności, będących w ostatecznym rozrachunku zaprzeczeniem punktu wyjściowego ewolucji. Tragedią komunistów polskich żydowskiego pochodzenia — za którą mieli w przyszłości zapłacić tak wielką cenę — było cofnięcie się przed szczerym dokonaniem opcji narodowej, zastąpione optowaniem na rzecz pozornie nadnarodowego systemu, który — jak o tym po niewczasie się przekonali — był tylko doktryną państwową narodu bynajmniej nie zamierzającego ich adoptować. Ich częsta i spóźniona identyfikacja narodowa z żydostwem, jeśli nawet szczerą, nie upoważnia bynajmniej do traktowania sytuacji, w jakiej się znaleźli w powojennej Polsce, jako następstwa ich przynależności narodowościowej; społeczeństwo, a w tym i znakomita większość Żydów, którzy po wojnie wymigrowali do Izraela względnie pozostali w Kraju, nie uważało ich za reprezentantów mniejszości żydowskiej lecz za funkcjonariuszy sowieckich. Wyobcowanie, które dotkliwie odczuwali nawet we własnym środowisku partyjnym, nie było wynikiem żydowskiego pochodzenia lecz przyjęcia obyczaju, który nie był ani żydowski ani polski, a tylko sowiecki.

Kiedy w następstwie zbiegu historycznych przypadków znaleźli się na kluczowych i eksponowanych stanowiskach w partii rządzącej i administracji, to przyjęty względnie nabyty obyczaj, i bardziej jeszcze brak własnego obyczaju, izolował ich w społeczeństwie i tworzącym się nowym aparacie, co z kolei prowadziło do nasilenia poczucia obcości i wytworzenia węższego, bardziej wyłączonego środowiska o cechach typowo konspiracyjnych. Stawali się w ten sposób bardziej podatni na wszelkie formy nacisku ze strony sowieckiej, a równocześnie sytuacja w której się zna-

leżli sprzyjała wrodzonym skłonnościom do skrajnych spekulacji, tym groźniejszych, im bardziej podszytych momentami emocjonalnymi. Nie przypadkiem więc dziedzinami, w których konsekwencje ich działalności okazały się najdotkliwsze, były te właśnie, które zdawały się otwierać pole spekulacjom teoretycznym i w których wprowadzanie w życie wniosków z tego rodzaju „przemysłów” nie pociągało za sobą natychmiastowej konfrontacji z rzeczywistością, bądź to dlatego, że rzeczywistość można było ignorować, tworząc na własny użytek obraz modelowany przemocą, bądź też dlatego, że realizowane były w dziedzinach, w których fikcję można było utrzymać, ponieważ pozorne jej funkcjonowanie przesłaniało faktyczną skuteczność.

Tymi dziedzinami było stopniowe przekształcanie koncepcji państwa „demokracji ludowej” w specyficzną odmianę doktryny „dyktatury proletariatu” i zgodne z nią próby stworzenia struktury społecznej tego państwa oraz nowej świadomości społecznej, czyli próby radykalnego przeobrażenia kultury narodowej zarówno przez orwellowskie modelowanie historii narodu, jak i przez lansowanie nowych wzorów. Rozpatrywane w tym aspekcie dziesięciolecie od połowy lat czterdziestych do połowy lat pięćdziesiątych można uznać za okres dojrzewania i utrwalenia się dwóch grzechów głównych polskiej odmiany „demokracji ludowej”, których następstwem było powstanie państwowości bez suwerenności i których głębokie zakorzenienie się nie tylko w strukturze systemu ale i w postawie społeczeństwa uniemożliwiało dokonanie radykalnego zwrotu w chwili załamania się systemu w latach 1955-56, przekreśliło nieśmiałe próby uniezależnienia się podjęte przez Gomułkę w pierwszym okresie po przejściu władzy, obecnie zaś zdaje się popychać kraj ku rozdrożu otwierającemu chwilowo tylko dwie niebezpieczne perspektywy, obie wiodące do tego samego punktu, a mianowicie do próby zamrożenia pogrudniowej stagnacji politycznej, która musi doprowadzić do anarchizacji życia politycznego i społecznego zakończonych drastycznym stanem wojskowej półokupacji na wzór czechosłowacki, względnie konsekwentnego i całkowitego uzależnienia kraju od Rosji sowieckiej — co wcześniej czy później musi się tak samo zakończyć.

Przy realizowaniu doktryny polskiego wariantu „dyktatury proletariatu” nie brano pod uwagę, że za podobieństwami stosowanych środków terroru, kryją się zasadnicze różnice w ich historycznej genezie i że są one stosowane w różnie ukształtowanych społeczeństwach. Terror bolszewicki był autochtoniczny i stanowił jedynie kontynuację aparatów i metod, będących organicznym elementem nowożytnej państwowości rosyjskiej, powstającej od czasów Iwana Groźnego. Historyczne kształtowanie

się tej państwowości nie zwalnia nas oczywiście od obowiązku stosowania w jej ocenie kryteriów moralnych, niemniej stwierdzić musimy, że formy jakie przybierała były rodzime, nie narzucone z zewnątrz i jako takie posiadały swe korzenie społeczne umożliwiające ich bierne lub czynne akceptowanie przez naród rosyjski. Doktryna dyktatury proletariatu jako formy państwowości nie była kwestionowana przez naród rosyjski nawet w okresach najstraszliwszych represji masowych — podobnie jak niekwestionowany był przez naród niemiecki hitleryzm, czego oczywistym dowodem był brak jakiegokolwiek masowego oporu czynnego, a tego przecież nawet najdoskonalej zorganizowanym aparatem terroru wytłumaczyć nie można. Przeszczepienie tej doktryny na teren polski było niemożliwe przede wszystkim ze względu na historycznie ukształtowany charakter społeczeństwa, przekreślający zatem z założenia wszelką możliwość akceptacji systemu przez naród, nie mówiąc już o jego przyswojeniu. Wszelka więc władza opierająca się na systemie państwowym „dyktatury proletariatu” czyli dyktatury monopartii wyobcowywała ją społecznie i zmuszała w ostatecznej instancji do oparcia się o siły zewnętrzne, o czym dotkliwie przekonał się Gomułka w grudniu 1970 r.

Wybór „dyktatury proletariatu” jako modelu państwa nie był narzucony, i choć niewątpliwie presja Kremla odegrać musiała pewną rolę, można jej było w konkretnej sytuacji międzynarodowej przeciwstawić racje oparte na konkretnych przesłankach, które według wszelkiego prawdopodobieństwa zmusiłyby Moskwę do modyfikacji swych planów. Temu jednak na przeszkodzie stała wytworzona w kraju sytuacja na skutek wzajemnego oddziaływania na siebie czynników subiektywnych, do których przede wszystkim zaliczyć należy izolację społeczną grupy komunistów przybyłych ze Związku Sowieckiego, organizujących nową państwowość, i obiektywnych, wynikających z układu sił politycznych w kraju a także z obranej przez rząd emigracyjny i krajową ekspozyturę linii politycznej, kontynuowanej w gruncie rzeczy przez Mikołajczyka po jego przystąpieniu do rządu tymczasowego. Zlekceważenie przez władze emigracyjne i podziemne potencjalnych możliwości jakie kryło w sobie uznanie gomułkowskiego PPR za jedyną alternatywą do przywiezionej przez armie sowieckie administracji, zmusiło przybyłych z Rosji komunistów polskich do podjęcia się funkcji, której powinni się byli wystrzegać i której — jeśli dać wiarę ich niedawnym postanowieniom programowym — mieli zamiar się wystrzegać. Nie naszą rzeczą jest wchodzić w to, w jakiej mierze taka zmiana w programie była wynikiem rozgrywek wewnętrznych w tej grupie, w jakiej zaś była ona konsekwencją zastanej i wytwarzającej się sytuacji, faktem jest jednak niezbitym, że ujawnienie słabości PPR-u prze-

kreśliło wszelkie ewentualne szanse odegrania przez to, bądź co bądź krajowe, ugrupowanie jakiejkolwiek roli w formułowaniu nowej polityki, która wobec niemożności uzyskania jakiegokolwiek poparcia społecznego od samego początku zaczęła się wyradzać w administrowanie przy pomocy terroru. Ta polityka, której przejawem było na przykład zainicjowanie wulgarnej kampanii propagandowej przeciw Armii Krajowej, była nie tylko wynikiem dezorientacji komunistów ustalających ją ale, i coraz głębszego przeświadczenia, że z izolacji swej wyjść nie mogą.

Nie traktując naszych refleksji jako rozważań po czasie, nie pragnąc zastanawiać się nad tym, co by było, gdyby inaczej potoczyły się wypadki, w ekskursjach w przeszłość staramy się jedynie znaleźć te elementy sytuacji obecnej, które mają znaczenie dla szukania nowych rozwiązań. Zmiany jakie zaszły w sytuacji gospodarczej, społecznej i politycznej kraju dzielimy więc z konieczności na te, które uważamy za faktycznie nieodwracalne i te, które mogą i muszą być odwrócone, jeśli Polska ma kiedykolwiek odzyskać suwerenność, w tych ostatnich bowiem widzimy załążki lub objawy choroby zagrażającej nie tylko państwowemu ale i narodowemu organizmowi. Z tego punktu widzenia niewątpliwa nieodwracalność przemian jakie zaszły w gospodarce narodowej, czy w strukturze społecznej nie jest niebezpieczna, gdyż są one tylko etapami procesu, którym naród mobilizując swe siły żywotne może nadać właściwy kierunek, śmiertelne natomiast zagrożenie upatrujemy w próbach przekształcenia świadomości społecznej i narodowej, gdyż one muszą pociągnąć za sobą utratę narodowej identyfikacji i zdegradowanie nas do roli plemienia skazanego na zagładę. Dlatego też za najszkodliwszy aspekt działalności zainicjowanej przez przybyłych z Rosji komunistów uważamy próbę narzucenia modelu kultury, który miał skruszyć tradycyjny opór przeciw wszelkim formom totalizmu — w danym wypadku totalizmu sowieckiego — zmodyfikowanej wersji rosyjskiej idei imperialnej.

W tej właśnie, tak czułej dziedzinie, z której wagi komuniści polscy lepiej bodaj zdawali sobie sprawę niż ich mocodawcy, zaskoczeni zostali oni po przybyciu do kraju słabością, a nawet całkowitym *brakiem* oporu ze strony polskiej inteligencji. Zaskoczenie ustąpić miało miejsce przekonaniu o głębokiej chorobie toczonej tę rzekomą intelektualną elitą narodu, rozmaitym marksistowskim diagnozom tej choroby, uznaniu pewnych prawidłowości jej rozwoju oraz drastycznym kuracjom, nieliczne zaś stosunkowo wyjątki, odporne na „leczenie”, zdawały się jedynie potwierdzać regułę.

Jest, naszym zdaniem, rzeczą najpilniejszą napisanie takiej szczegółowej historii kultury polskiej w powojennym trzydziesto-

leciu, która ujawniłaby w pełni straszliwy proces deprawacji jednostek i środowisk, podsumowała olbrzymie straty w tym okresie poniesione i obnażyła jej smutny stan obecny, którego nie powinny przesłaniać pozorne sukcesy ani osiągnięcia — jakże w istocie kalekie.

## IX

Czymże innym jeśli nie zdradą powołania, jest postawa polskiego środowiska intelektualnego w powojennym trzydziścielciu? Odczuwamy ją szczególnie dotkliwie, ponieważ zadaniem tej właśnie warstwy jest wyjaśnianie narodowi jego praw i obowiązków, określanie miejsca wyznaczonego mu w świecie, wreszcie wytyczanie celów historycznych, dla urzeczywistnienia których powołany on został do istnienia. Naród nasz, pozbawiony swych rzeczników, skazany został na milczący bunt przeciw porządkowi narzuconemu mu przez polityków, których autorytetu nie uznaje i uznać nie może, ponieważ nie kierowali się i nie kierują racją wspólnoty. Systematycznie i podstępnie ogałacany ze swego najcenniejszego dziedzictwa — historycznej i kulturalnej przeszłości — broni się przed całkowitym upodleniem, przed degradacją moralną, społeczną i polityczną biernym oporem, który raz po raz przeradza się w rozpaczliwe zrywy, choć koszta ich rosną niepomierne w miarę jak przemoc staje się bardziej przemyślna i sprawna; zrywami, które w końcu mogą doprowadzić do kataklizmu. Nie wolno jednak potępiać tych wystąpień w imię tak czy inaczej rozumianej racji stanu lub bynajmniej nie jednoznacznych nakazów rozsądku i roztropności. Żadna bowiem społeczność ludzka nie może się ostać, jeśli nie walczy nieustannie o zachowanie swej identyczności, o wolność orzekania o sobie, o całkowitą swobodę dokonywania samodzielnych wyborów, troska zaś o te imponderabilia bytu narodowego wymaga nieustannego czuwania, wyrywania z drzemki, mogącej się zakończyć śmiertelnym letargiem.

Najbardziej bodaj znamienym dla postawy większości intelektualistów aspektem ich działania było systematyczne zacieranie granicy między ugodą a zaprzaństwem, uzasadniane przez nich bezprawnym powoływaniem się na świadomie lub z ignorancji zniekształcane postawy i działania elit umysłowych w erze rozbiorowej. Oczywiście odmienną sytuacją jaką stwarzało rozgrabienie państwa przez trzy mocarstwa ościenne, jednoznaczność obcych administracji, korzystniejsza z punktu widzenia walki o polskość struktura gospodarcza, zapewniająca pewną niezależność, oraz materialne poparcie dla poczynań patriotycznych, wreszcie

znacznie bardziej ograniczone możliwości penetrowania i zatrucia społeczeństwa czy to przez policję czy też przez istniejące podówczas środki przekazu, zdają się uchodzić uwadze ludzi, usprawiedliwiających swe działanie publiczne rzekomym przykładem pokoleń minionych. Złowieszczym lecz pouczającym będzie sporządzony kiedyś w przyszłości przez skrupulatnego historyka spis kompromitujących akcesów, zawstydzających hołdów, złowrogich deklaracji, pod którymi znalazły się nazwiska rozmaitych pretendentów do miejsca w panteonie kultury polskiej; a także hańbiących przywilejów, którymi władze — nieskłonne do szczodrości, bo gardzące potulnymi wykonawcami swych poleceń — skąpo płaciły za brak charakteru. Właśnie charakterów brakło nade wszystko. Wystąpiło to szczególnie drastycznie na jaw podczas trzech kryzysów systemu komunistycznego: w miesiącach, które upłynęły od rewolty poznańskiej do krachu administracji stalinowskiej w październiku 1956 roku; w okresie dojrzewania puczu moczarskiego w latach 1967/68 i w tygodniach buntu robotników Wybrzeża na przełomie 1970 i 1971 roku. Zanim jednak przejdziemy do tej sprawy, należy raz jeszcze cofnąć się do tła owych pseudo-kompromisów i jawnych odszczepieństw, w które minione trzydziestolecie obfitowało.

Całkowite przejęcie władzy przez „grupę moskiewską” w latach 1949-1950 zakończyło okres doraźnych, a niekiedy i bardziej dalekosiężnych, prób ratowania resztek autonomii. Proces uniformizacji „demokracji ludowych” przybrał formy, które nie pozostawiały żadnych złudzeń nawet najbardziej naiwnym zwolennikom przetrwania przy pomocy mimikry lub kosztem ideowych i organizacyjnych opcji. Los państw satelitarnych został w Moskwie przesądzony; odtąd każde słowo, każdy krok na arenie publicznej miały wydźwięk jednoznaczny, wszelkie zaś „manewry” i „taktyki” zdrowa część opinii publicznej słusznie oceniała jako zwyczajną nieuczciwość. Tak też zdawał się oceniać sytuację episkopat, przyjmując do wiadomości fakt wypowiedzenia narodowi walki w płaszczyźnie wartości podstawowych i odpowiadając na to próbą wytyczenia w miarę wyraźnych granic ustępstw, dopuszczalnych pod naciskiem zaiste bezprzykładnej przemocy. Intelektualiści — z natury rzeczy powołani do analizowania mechanizmu tej przemocy, zrozumienia metod jej działania i wyjaśnienia celów, które sobie ona stawia — mieli zadanie ułatwione, jako że doświadczenia faszystowskiego i niemieckiego oraz komunizmu sowieckiego dostarczały obfitych przesłanek, upoważniających do wyciągania właściwych wniosków. A z tych właśnie przykładów wynikało dowodnie, że między ustępowaniem przed przemocą a najbardziej choćby ograniczoną jej aprobatą istnieje przepaść nieprzekraczalna. I wynikało

także, że bezwolne ustępstwa nie gwarantują nawet osobistego bezpieczeństwa, zaś brak wszelkiego oporu przyspiesza tylko proces kapitulacji, w którym strona zwycięska nie zamierza przyznać zwyciężonym żadnych praw.

Intelektualiści polscy nie mieli na swe usprawiedliwienie tych argumentów, do których mogli się uciekać ich włosi, niemieccy i sowieccy konfratry, kiedy wskazywali na swe osamotnienie wobec społecznej aprobaty przemocy, albowiem nastroje społeczeństwa polskiego nie pozostawiały w tej sprawie żadnej wątpliwości. Rzecz jednak znamienita, że na te właśnie lata największego nasilenia sowietyzacji kraju przypadają najgłębsze upadki i najjaskrawsze apostazje tych, którym zwyczajny rozsądek zdawało się dyktować zajęcie postawy choćby wyczekującej, skoro ich nie stać było na głośne powiedzenie *non possumus*. Jakże skromnych stosunkowo wyrzeczeń wymagała taka wyczekująca postawa dowodził przykład tych nader nielicznych jednostek, które się na nią zdecydowały, wyrzeczeń sprowadzających się niemal z reguły do zrezygnowania z fałszywych laurów, wymuszonego aplauzu, żałosnych przywilejów i nędznych ochłapów ze stołu wielkorządców.

Pełną jednak miarę upadku ujawniły dopiero lata „odwilży” po śmierci Stalina.

## X

W polityce rosyjskiej „odwilże” należą do tradycyjnych metod rozładowywania napięć wewnętrznych. Ich cechą wspólną była zawsze przejściowość, różny natomiast był zakres każdorazowej liberalizacji władzy autokratycznej oraz cele, dla których manewry te stosowano. Zmieniały się one w zależności od wielu czynników, takich chociażby, jak sytuacja międzynarodowa Rosji, intrygi pałacowe, starcia koncepcji politycznych w łonie z reguły wąskiego kręgu osób, mających pewien wpływ na władzę; niemniej w historii nowożytnego państwa czynnikiem najważniejszym, którego pojawienie się stanowi cezurę w dziejach imperium, stała się opinia publiczna wyrażająca się w niemal niedostrzegalnych dla obserwatorów zewnętrznych i trudno uchwytnych nastrojach społeczeństwa. Nastroje takie musiały zapewne istnieć już od czasu, gdy szczepy zaludniające tereny przyszłego imperium zaczęły konstituować się w naród rosyjski, trzeba jednak było żmudnego i krwawego procesu kształtowania się załączkowych struktur społecznych, by przybrały one formy godne dostrzeżenia przez władzę. Ich amorficzność ułatwiała pozornie skuteczne rozprawienie się z nieortodoksyjnymi przejawami

mi nie tylko niezadowolenia z władzy lecz i jej aprobaty, w istocie jednak hamowała rozwój narodu i państwa, pogłębiała anomalie organizmu politycznego i stawała się źródłem głębokich wstrząsów, które wbrew pochopnym twierdzeniom życzliwie dla Rosji nastawionych historyków i politologów jedynie utwierdzały ją w cywilizacyjnym zacofaniu. Moment ujawnienia się tak osobliwie wyrażającej się opinii publicznej jako czynnika, z którym władca autokratyczny liczyć się musi choćby minimalnie i nigdy do tego się nie przyznając, zbiega się z wejściem Rosji do Europy za Katarzyny II. Zabór ziem polskich wprowadził w organizm państwa rosyjskiego obce ciało, które rozbiło homogeniczność masy poddanych, przez wytworzenie sytuacji, w której za rzecz dopuszczalną lub choćby do pomyślenia zaczęło uchodzić domaganie się od władcy uznania swych przyrodzonych praw przez część ludności.

Odtąd nie mógł już carat uniknąć konsekwencji tego pęknięcia monolitycznego dotąd systemu. Cykliczne ewolucje polityki wewnętrznej raz na zawsze przestały być wyłącznym następstwem przemyśleń lub kaprysów samodzierżawnego cara, lecz stały się również koniecznościami narzucanymi przez nieobecny dotąd element, który z przedmiotu rządzenia mógł się w wyniku jakiegoś kataklizmu przeobrazić w przedmiot rządów. Pod rządami Lenina a później Stalina, Rosja bolszewicka usiłowała chociażby częściowo naprawić błąd caratu, obierając izolacjonizm jako jedyną, a dostrzeżoną już wcześniej przez bardziej dalekowzrocznych polityków rosyjskich, drogę utrzymania całości imperium. Znaczyło to przede wszystkim wyzbycie się zdobyczy, których imperium nie zdołało strawić w ciągu wieku dziewiętnastego i wycofanie się z Europy. Stosunek Zachodu do Rosji sowieckiej w międzywojennym dwudziestolecu świadczył o tym, że świat współczesny gotów jest tolerować istnienie wielkiego niewolniczego imperium, co więcej uznać je za pełnoprawnego członka międzynarodowej wspólnoty a nawet udzielać mu pomocy w dziedzinie gospodarczej i cywilizacyjnej. Wbrew twierdzeniom propagandowej historiografii sowieckiej to przecież awanturnicza polityka Stalina, motywowana w równej mierze paranoicznym strachem co niepohamowaną żądzą podbojów, poczuciem niepewności i maniakałnym pragnieniem dorównania carom, doprowadziła do sytuacji, w której imperium po drugiej wojnie światowej, stało się ponownie kotłem grożącym w każdej chwili wybuchem, któremu tylko do czasu zapobiegać może wzmożony terror.

Sytuację systemu opartego na bezwzględnej centralizacji i na monopartyjności, nieuchronnie wiodącej do skupienia pełni władzy w rękach przywódcy, komplikowały nie dające się stłumić tendencje odśrodkowe w „demokracjach ludowych”. Wszelkie

próby zbilansowania owoców polityki imperialnej Stalina wskazywały na to, że wartość zdobyczy terytorialnych w Europie staje się coraz bardziej wątpliwa. Doszczętne ograbienie tych terenów w ostatniej fazie wojny i rabunkowa gospodarka w latach powojennych doprowadziły do stagnacji i ekonomicznego upadku państw satelitarnych, zaś pojawienie się nowych czynników i koncepcji w planowaniu strategicznym pozwalało kwestionować militarne znaczenie tych terenów — nie mówiąc już o tym, że morale wojsk lokalnych było nader krytycznie oceniane przez kontrwywiad sowiecki, wtedy, gdy zdobywał się na rzeczowe i względnie odpowiadające prawdzie analizy. Miał więc rację Bierut i jego komiltoni, kiedy w rozgrywce na Kremlu widzieli nie tylko walkę personalną o schedę po Stalinie lecz również starcie się koncepcji wyjścia, w którym mogły dojść do głosu tendencje postulujące bardzo daleko idące zmiany.

W takiej sytuacji najwłaściwszym, a być może jedynym wyjściem, było przyjęcie postawy wyczekującej, mimo iż groziła ona wywołaniem groźnych fermentów we własnych szeregach, narażała na podejrliwość Moskwy, w dalszym zaś planie na pretensje ze strony zwycięzców w kremlewskim pokerze, którym nie udzielono zawczasu poparcia. Równocześnie postawa taka spychała na stronę zachowawczych elementów na Kremlu, tych mianowicie, które domagały się całkowitego utrzymania dotychczasowej linii politycznej. Każdy inny wariant oznaczałby bowiem konieczność dokonania zmiany aparatu kierowniczego, a w przypadku skrajnym mogłby nawet prowadzić do znacznie dalej idących zmian. Dochodzące z Moskwy sygnały, takie jak odwołanie egzekucji lekarzy kremlewskich a później likwidacja Berii i jego najbliższych współpracowników, zapowiadająca reorganizację aparatu bezpieczeństwa, przyjęto w Warszawie z mieszanymi uczuciami. Ekipa lokalna, złożona z niedobitków aparatu partyjnego KPP, bardzo słabo, wbrew własnym mniemaniom, orientujących się w arkanach gry na szczeblu centralnym, błądziła po omacku, szukając wskazówek a może tylko wróżb w mitologii i folklorze partyjnym, usiłowała odnaleźć analogie w dawnych walkach wewnętrznych, znanych jej również tylko z drugiej ręki i szamotała się między reakcjami uczuciowymi a dyktatem tchórzliwej roztropności. Jeśli nie zdominowana, to w każdym razie zmajoryzowana przez komunistów żydowskiego pochodzenia, powitała z ulgą zapowiedź przerwania zainicjowanej w latach powojennych kampanii antysemickiej a przynajmniej złagodzenia jej na tyle, by zaistniała szansa fizycznego przetrwania, z realności bowiem niebezpieczeństwa zdawano sobie tu sprawę doskonale, szczególnie po tym, jak na początku lat pięćdziesiątych warszawskie politbiuro znalazło się w roli swoistego Judenratu, przeprowadzającego

„czystkę” elementów żydowskich w aparacie partyjnym i administracyjnym a także przygotowującego dalsze, bardziej stanowcze antyżydowskie zarządzenia. A jednak nie mogła powstrzymać nadciągającej „zmiany warty”, zapewne nigdy jednoznacznie nie sformułowana decyzja utrzymania w Polsce istniejącego stanu rzeczy bez najmniejszej zmiany, powstrzymanie się od jakichkolwiek ustępstw i równoczesnego skierowania ostrza terroru przeciw potencjalnym czy istniejącym siłom, z którymi Moskwa mogłaby rozpocząć taktyczne lub rzeczywiste pertraktacje, będące nie tyle wynikiem przemyśleń, co konieczności nieprzezwyčajnych.

Za taką siłę nie uważano bynajmniej Władysława Gomułki, którego starano się oszczędzić jedynie dlatego, ponieważ zdawano sobie sprawę, że po nim musiała przyjść kolej na jego przeciwników. Atak skoncentrowano na wsi i na Kościele. Okres ten dotąd nie doczekał się próby bodaj opisu. Wciąż jeszcze brak szczegółowego i analitycznego omówienia polityki partii w tych przełomowych latach kulminacji i załamania się systemu stalinowskiego, tak ważnych dla poznania nie tylko historii tego okresu, lecz również dojrzewania tych wszystkich procesów, które kształtowały sytuację polityczną PRL w następnych latach dwudziestu, a przecież wobec oczywistego braku dostępu do archiwów — nawet tych szczątkowych, które ocalały z całopaleń miesięcy przed- i popaździernikowych — nawet obszerna antologia tekstów ogłoszonych drukiem ułatwiłaby nie tylko skorygowanie mitów lecz stanowiłaby również ważny przyczynek do rzeczowej analizy bieżącej polityki, tak bardzo uwarunkowanej ówczesnymi wydarzeniami, decyzjami i poczynaniami.

## XI

Na te nowe poczynania zmierzające do podjęcia najgłębszych korzeni naszego bytu narodowego, środowiska intelektualne zareagowały w swej przytłaczającej większości racjonalizacjami, które miały zaważyć na ich postawie w nadchodzących latach, i usprawiedliwić, przynajmniej we własnym sumieniu, milczącą, często zaś i deklarowaną głośno, aprobatę nawet takich kroków terrorystycznych, jakich szczególnie drastycznym przykładem było aresztowanie Prymasa Polski. W głoszonych prywatnie, a z czasem, w zawołanej formie publicznie, wy tłumaczeniach bierności wobec tych oczywistych aktów bezprawia, często zaś ich aprobaty, zaczęły się natomiast pojawiać tony dotąd nieznanne, czy może tylko już zapomniane, łączące w zgodnym chórze gorli-

wych zwolenników reżymu i „katastrofistów”, którzy postępowanie swe tłumaczyli tym, że i tak wszystko jest stracone bezpowrotnie. Pojawił się oto względnie nowy argument, że „obiektywnie” i z historycznego punktu widzenia, komuniści mimo wszystkie błędy i wypaczenia dokonali i dokonują wiele dobrze, wydobywając Polskę z wiekowego zacofania i w gruncie rzeczy reprezentując myślenie światłe i postęp w przeciwieństwie do wsi i Kościoła, będących ostoją „ciemnogrodu”, twierdzami wstecznictwa i wylęgarniami nacjonalizmu. Były to argumenty nie nowe, o wiadomej proveniencji historycznej i nie tak dawno jeszcze żarliwie podchwytywane i głoszone przez niegdysiejszych liberałów i postępowców, którzy po katastrofie 1944 roku, a nawet i wcześniej, gdy tylko armia czerwona zaczęła się do Polski zbliżać, postanowili uwić sobie gniazdko na judaszowej wierzbie i doprowadzić do skutecznej izolacji nielicznych rzeczników czynnego oporu przeciw zniewalaniu umysłów, procesowi, którego byli w mniejszym stopniu ofiarami aniżeli instygatorami i narzędziami.

Dla badania późniejszych postaw polskiego środowiska intelektualnego okres ten dlatego posiada szczególne znaczenie, ponieważ pozwala zrozumieć nieuchronność tak licznych konwersji komunistycznych oraz ich uwarunkowanie przez światopoglądowy rodowód radykalizującej demoliberalnej formacji dwudziestolecia międzywojennego. Jej reprezentanci i spadkobiercy pozostali tej genealogii wierni w latach 1954-56, we wszystkich fazach drugiego okresu gomułkowskiego, by dziś jeszcze, po wielu przegranych i kapitulacjach bronić resztek straconych pozycji, w nadziei, że ostrożne kontredanse ideowe, sprytne aliansy i inne tego rodzaju manipulacje umożliwią zachowanie zdobytych pozycji w klanowo-towarzyskiej hierarchii, związanych z tym przywilejów a może nawet wyjście suchą nogą z opresji, w jakich znaleźli się na skutek kolejnych, coraz bardziej zawstydzających „kompromisów”.

Okres zamrożenia sytuacji w Polsce po śmierci Stalina nie trwał długo. Moskwa zniecierpliwiona, a może wręcz zaniepokojona tym stanem rzeczy, postanowiła przyspieszyć wymianę ekipy warszawskiej i posłużyła się w tym celu dobrze znanym chwytym oskarżenia jej o własne grzechy, tyle tylko, że tym razem nie musiała zmyślać zarzutów. Wyekspediowany za granicę funkcjonariusz ministerstwa bezpieczeństwa, od lat zaś agent sowieckiego kontrwywiadu, Świątło, zaopatrzony został w komplet dokumentów, do których — jak to podobno stwierdziło *post factum* zarządzane badanie przez jego bezpośrednich zwierzchników — nie mógł mieć dostępu, oraz dokładną wersję relacji, którą miał możliwie sprawnie dostarczyć środkom masowego przekazu.

Manewr był dobrze przemyślany i okazał się celny, nieprędko bowiem zorientowano się przeciwko komu był naprawdę wymierzony. Dopiero z perspektywy dalszych wydarzeń stało się jasne, że celem tej afery — podobnie jak później sławetnego referatu Chruszczowa — było ratowanie partii, choćby za cenę przykrych wyznań i konieczności wykreślenia z jej historii wielu „bohaterskich” kart. Był to też manewr dalekowzroczny, świadczący o tym, że faktyczni mocodawcy tego osobliwego emisariusza lepiej orientowali się w sytuacji w Polsce i możliwych kierunkach jej rozwoju niż bezpośredni jego przełożeni. W relacjach Świątły, słuchanych przez cały kraj mimo dokuczliwego zagłuszania, pojawił się w nowym wcieleniu Władysław Gomułka. Już sam fakt — że tak lekko zapomniano mu niemal wszystkie grzechy popełnione przed odsunięciem od władzy i aresztowaniem i że zaczął urastać do roli męża opatrznościowego, świadczyć mógł o tym, że nawet w oczach społeczeństwa jest on jedynym możliwym zmiennikiem ślaniającego się już na nogach garnituru. Społeczeństwo, jeśli nawet tylko instynktownie, zdawało sobie sprawę z pustki jaka wytworzyła się na polskiej scenie politycznej i lepiej od komunistów rozumiało prawdziwą naturę politycznej neutralności Kościoła. W Moskwie natomiast poprawnie oceniano możliwe zalety i mankamenty powrotu Gomułki do władzy, uwzględniając jego — ograniczony komunistycznym doktrynerstwem — „nacjonalizm” i antysowietyzm i przewidując słusznie, że bardzo szybko będzie całkowicie osamotniony, gdyż nie uda mu się złamać oporu aparatu partyjnego i państwowego, nie będzie mógł liczyć na szczupłą kadrę swych dawnych pretorianów, skutecznie już spenetrowaną przez agenturę sowiecką, i wcześniej czy później znajdzie się w konflikcie ze społeczeństwem, nie podzielającym jego poglądów.

Po enuncjacjach Świątły nie można było zwlekać z rozpoczęciem polskiej „odwilży”, zainaugurowano ją więc urzędowym podaniem do publicznej wiadomości „łamania praworządności” przez władze bezpieczeństwa, zapowiedzią ich reorganizacji oraz obietnicą przyjęcia do wiadomości istnienia społeczeństwa bynajmniej nie pochwalającego entuzjastycznie i bezkrytycznie dotychczasowej polityki partii w całości i w szczegółach. Od wdzięcznego narodu oczekiwano za to „konstruktywnej” krytyki i zwiększenia wysiłku dla umocnienia tym razem już „praworządnego” systemu komunistycznego. Na ten apel odpowiedzieli — jak o tym partia miała się już wkrótce przekonać podczas rewolty poznańskiej — jedynie intelektualiści, których ufryzowany krytycyzm sprowadzał się do skromnych (kierownictwo partii nie zdawało sobie jeszcze sprawy z jak skromnych) apelów o „socjalizm o ludzkim obliczu”, zgłaszanych zgodnie z wymogami rytuału

i nawet w najradykalniejszych sformułowaniach opatrzonych refrenem „Wołamy partią”. Nie była to krytyka, na której robotnicy Poznania i całej Polski mogliby budować program konkretnych postulatów.

Model krytyki, który dojrzał w różnych zrewoltowanych środowiskach w latach polskiej „odwilży” wyrastał z głęboko zakorzenionej w liberalnym i racjonalistycznym myśleniu pogardy dla historii i tradycji, z intelektualnej pychy formacji, która swą niepewność społeczną, swe poczucie oderwania od gleby rodymej, kompleksy wywołane żądzą władzy i sukcesu doraźnego, jedyne, przy tym sposobie myślenia, realnego dowodu skuteczności wszelkiego działania, wyładowywała w kreowaniu utopii żerujących na stanach rozprzężenia, jakie z reguły towarzyszą wszelkim przemianom dziejowym. Ta właśnie formacja płodziła w czasach nowożytnych legiony ideologów „racjonalnych” i dowolnych systemów inżynierii społecznej i narodowej, chwalców „rozumnej” przemocy, makiewelskiego praktycyzmu politycznego, piewców celów uswięcających środki, tych wszystkich „myślicieli i twórców”, którzy swymi talentami lub sprytem wspierali opętańcze idee demonicznych pretendentów do władzy nad ludźmi, tylko po to, by w miarę tego jak zaślepione masy dawały się uwieść tym „ideom” stoczyć się do roli najprymitywniejszych propagatorów terroru, który w końcu ich samych pożerał. Czymże jednak były gilotyny, więzienia, twierdze, plutony egzekucyjne i wreszcie hitlerowskie i stalinowskie obozy śmierci w porównaniu z ceną, którą przyszło się płacić tym, których oszczędził los lub tyran, tylko po to, by okryli się hańbą wierności strażnikom swych więzień, lub żeby płacili podłym milczeniem za prawo do fizycznego przetrwania. Jakże głębokie następowały w toku tych procesów przemiany charakterologiczne, że uniemożliwiały otrząśnięcie się z letargu, dotarcie do źródeł błędów, skoro skłaniały do upartego tarasowania drogi do ich naprawy!

## XII

Szczególnie żalony był upadek przedstawicieli tej formacji u nas, gdzie wystarczyło przecież zastanowić się nad racjami oporu społeczeństwa, odmawiającego uznania autentyczności władzy narzuconej, oporu, którego nie złamał ani terror ani agitacja, ani przekupstwo. Najbardziej zaś symptomatycznym wyrazem tej odmowy było niemal jednomyślne przyznanie przez cały naród godności interrexa Prymasowi Polski.

Ta polityczna pozycja Prymasa Polski, do której nigdy nie

dążył, ale której nie mógł odtrącić kiedy złożona została na Jego barki przez naród, nie była nigdy kwestionowana przez partię, wręcz przeciwnie, była potwierdzana na każdym wirażu jej meandrycznego lawirowania między pragnieniem utrzymania się przy władzy a gniewem społeczeństwa. Tylko rozwazde Prymasa i zaufaniu jakim Go darzy naród zawdzięczamy wyjście z impasów, w które kraj raz po raz spychała awanturnicza polityka administracji. Posłuszny swej funkcji interrexa Prymas chronił kraj przed anarchią, powściągał namiętności, nie dopuszczał do przedwczesnych poczynań, nigdy jednak nie udzielał aprobaty systemowi, którego grzechem przyrodzonym była tymczasowość a celem ostatecznym przełamanie tej tymczasowości w jedyny dlań możliwy sposób, to jest przez przekreślenie bytu narodowego Polaków. Przykładu Prymasa Polski tak zrozumiałego dla całego narodu, zdawali się nie dostrzegać ludzie, którzy z racji swego powołania, swych umiejętności i zawodów powinni byli wspierać Go swą postawą.

Bunt robotników Poznania, stłumiony w bezprzykładnie krwawy sposób, uprzytomnił wszystkim ludziom myślącym, że dla pretendentów do roli elity umysłowej narodu jedynym sposobem zawrócenia ze zgubnej drogi, na której się znaleźli, jest podjęcie rzetelnej i konsekwentnej analizy sytuacji, zainicjowanie krytyki nie kierującej się „racjami stanu” i względami na osobiste korzyści, jednoznaczne nazwanie grzechu pierworodnego systemu — a mianowicie jego obcości duchowej, jego narzuconej natury, jego sprzeczności z charakterem narodu i celami, dla których realizacji naród został powołany. Społeczeństwo nasze, nie potrzebujące przecież legitymować się ze swej tolerancji, z pewnością uznałoby prawo komunistów do głoszenia koncepcji leczenia swej doktryny, prawo marksistów do rewidowania jej, nie mogło natomiast uznać tchórzliwych wykrętów ludzi, którzy tylko gwoli utrzymania swych wątpliwych skądinąd autorytetów wspierali radą i aprobatą publiczną, uczestnictwem niewymuszonym i wykrętnymi motywacjami tej partycypacji system, którego przesłanek i celów nie uznawali. Dalszy rozwój wypadków miał dowieść, że społeczeństwo zlekceważyło ich syrenie śpiewy i trwało w oporze.

Dlatego więc tyle uwagi poświęcamy roli tej elity umysłowej, które zresztą niejednokrotnie, ustami swych bardziej przedsiębiorczych rzeczników, ogłaszała wszem wobec o końcu swej misji? Dlatego, iż uważamy, że rola ta bynajmniej nie skończyła się a tylko sprzeniewierzenie się jej wpłynęło na opóźnienie odrodzenia polskiej myśli politycznej, w przyszłości zaś, jeżeli nie dojrzą na czas postawy programotwórcze, może doprowadzić do niebezpiecznego pogłębienia się kryzysu, który naród nasz

przeżywa i szkód niepowetowanych w kolejnych nadchodzących erupcjach tego kryzysu, którym przecież ani przemysłowość ani terror administracji zapobiec nie może. To prawda, że uczciwa postawa elity intelektualnej w latach 1954-56 nie zaważyłaby na doraźnym kształtowaniu się kryzysu październikowego, uczciwość bowiem wykluczałaby posługiwanie się demagogią i prowokowanie przedwczesnych aktów dokonanych, umożliwiłaby jednak jaśniejsze sprecyzowanie podziałów światopoglądowych zdarłaby pozory totalnej akceptacji systemu przez naród i co najważniejsze, ustanowiłaby punkt wyjściowy dla długofalowych przemysłów, których owocem mogłyby być sprecyzowane programy polskiej polityki. Trudno przewidzieć w jakiej mierze tego rodzaju ruch umysłowy wpłynąłby na kierunki i metody rządów popaździernikowych, można jednak uznać za prawdopodobne, że zmusiłaby Gomułkę do większej ostrożności a nawet mogłyby stać się przesłanką dla ewolucji systemu władzy. Należy też przypuszczać, że uchroniłyby kraj od machinacji w rodzaju spisku „moczarskiego” lub przynajmniej od tych jego konsekwencji, które bynajmniej nie są przewyżnione i stanowią załazek czy podglebie dalszych prób wciągnięcia społeczeństwa w pułapkę policyjnego totalizmu. Oczywiście skutkiem bankructwa postawy zajętej przez elitę umysłową już w pierwszych latach „odwilży” było zepchnięcie jej na margines społeczny w latach 1968-69, doszczętne jej rozgromienie, któremu społeczeństwo przyglądało się biernie nie poczuwając się do żadnych z nią związków, i wreszcie utrata autorytetu nawet w tych kręgach młodzieży, które podatne na jej wpływy, sformułowały swój protest „marcowy” w terminach tak obcych wszystkiemu co nurtowało naród, że nie mogły nawet liczyć na czysto odruchowy protest przeciwko bezprawiu policji oraz bezwzględnemu likwidowaniu resztek samodzielności instytucji i organizacji akademickich. Punktem kulminacyjnym tej dezintegracji środowisk intelektualnych i dowodem definitywnej ich samokompromitacji było milczenie, jakim one zareagowały na masakrę robotników Wyrbeża.

### XIII

Ten niechlubny epizod naszego życia umysłowego uważamy za zakończony. Nie rehabilitują go ani sporadyczne akty odwagi ani jednostki i szczupłe grona ludzi, którzy nie ulegli pokusom łatwego przetrwania. Pozostawił on po sobie szkody jeszcze niewymierne, których naprawienie wymagać będzie umysłów nieskażonych jadami myślenia uległego, nie zniewolonych amoral-

nymi ideologiami materialistycznego pragmatyzmu, nie zaczadzo-nych oparami filozofii rozpaczy i niewiary. Od takich umysłów zależeć będzie przewyżnienie programowej bezideowości jaką pragną nam narzucić prorocy orwellowskiej utopii, nie bacząc na naukę historii, która dowodzi, iż jest to praca syzyfowa; nie zważając na to, że można ją doprowadzić do końca jedynie drogą fizycznej likwidacji milionów ludzi i rozpętanem nowej wędrówki ludów. Od tego, czy takie umysły niezatrute się znajdują, zależeć też będzie czy naród doprowadzony do ostateczności nie przybiegnie w chwili rozpaczy do samobójczej broni powstania czy też uporczywie i rozważnie przygotowuje się do zrzucenia pęt przemocy.

Wierzmy, że umysłów takich Polsce nie zabraknie. Skuteczność jednak ich działania zależna będzie nie tylko od tego, jak sobie poradzą z przeszkodami jakie nastrecza — szczególnie w naszych warunkach — zrozumienie przeszłości, rozrachunek z nią i wyciągnięcie z niej wniosków konstruktywnych, ale i od tego czy cały naród przyjdzie im z pomocą, udzieli moralnego przyzwolenia, otoczy ich ojcowską opieką i wesprze w chwili potrzeby. Pierwszym więc zadaniem jakie staje przed tymi, którzy zechcą walkę o wolną myśl polską podjąć będzie przywrócenie wartości słowu zakłamanemu i zdewaluowanemu przez targowicę trzydziestolecia. Ośmielamy się twierdzić wbrew Poecie, że słowo nigdy myślom nie kłamie. Jeśli brzmi fałszywie, to znaczy, że myśl którą wyraża jest fałszywa. Jeśli jest kalekie, to dlatego, że myśl którą ma przekazać jest kaleka. Jeśli nie ma w nim jasności, to znaczy, że nie było jej w myśli wypowiedzianej.

Swą wolność, prawdę i urodę odzyska słowo polskie tylko w ogniu zaciekłych lecz rycerskich walk — niedarmo tych walk najbardziej się obawia władza, tłumiąca je butem cenzury. Wolność słowa nie spada z nieba i nie jest nagrodą za bierne i potulne wyczekiwanie. Trzeba ją zdobywać piędź po piędzi, nie bacząc na koszty, a każdy skrawek ziemi zdobytej uprawiać niezwłocznie, by z plonów czerpać nowe siły. W zmaganiach o nią nie ma miejsca na kompromisy, ale też nie ma miejsca na zaślepienie, życiodajnym bowiem źródłem, z którego czerpie słowo polskie swe siły żywotne jest tolerancja i poszanowanie przeciwnika, byle on chciał szanować reguły walki. Słowem wolnym, w zmaganiach tych zdobytym, trafią myśli nowe do serc i rozumów społeczeństwa. W słowie wolnym wskrzeszone będzie polska myśl polityczna, od której zależy przyszłość narodu.

Odrodzenie tej myśli tylko wtedy będzie możliwe, jeśli wyzwoli się ona z traktowania polityki jako celu samego w sobie. Wszelkie próby jej odnowy zacząć się muszą od udzielenia odpowiedzi na podstawowe pytanie o sens narodowego bytu, o



powołanie narodu i o drogi prowadzące do celów przed narodem stojących. Dochodzące do głosu pokolenia Polaków muszą dać swoją odpowiedź na pytanie o sens narodowego istnienia, tylko wtedy bowiem będą mogły rozważać formy w jakich to istnienie powinno przebiegać. Czyż nie było główną przyczyną upadku polskiej myśli politycznej to właśnie, że ci, którzy byli powołani do jej formułowania, i ci, którzy mieli stać na straży jej rzetelności, to właśnie zasadnicze pytanie usiłowali pomijać, ograniczając się do szukania sposobów doraźnego przetrwania i zdradzając w ten sposób nie tylko swą zbiorowość ale i siebie samych, kiedy przyrodzone prawo człowieka do podejmowania decyzji cedowali na rzecz przypadku albo przemocy.

Jesteśmy przekonani, że odrodzona polska myśl polityczna opierać się będzie na afirmacji wartości, których wyrazicielem i obrońcą był nasz naród na przestrzeni tysiąclecia swojego istnienia.

#### XIV

Czasy obecne zdają się nie sprzyjać nadziejom na odrodzenie polskiej myśli politycznej, której celem byłoby odzyskanie suwerenności jako koniecznej formy bytu narodowego i państwowego, chroniącej naród przed rozkładem moralnym i utratą swej tożsamości zaś państwo przed marazmem i dekompozycją, jesteśmy bowiem świadkami finalizowania wysiłków zmierzających do uroczystego potwierdzenia podziału świata, dokonanego jeszcze w czasie trwania drugiej wojny światowej przez dwa supermocarstwa, które przyznały sobie rolę współgospodarzy podzielonego globu. Po trzydziestu latach przetargów, próby sił, walki dyplomatycznej i peryferyjnych wojen służących korekturze pewnych niedociągnięć i uściśleniu pewnych niejasności w układzie ogólnym, Ameryka i Rosja pragną utrwalić swe kondominium oparte na równowadze strachu przy pomocy systemu gwarancji, który umożliwi utrzymanie tej równowagi bez uszczerbku dla wojskowych *establishment*ów obu mocarstw, a równocześnie umocni ich kontrolę nad swoimi strefami wpływów i pogłębi zależność tych stref od metropolii. *Status quo* — eufemistyczny termin określający prowizoryczny w założeniu stan rzeczy, istniejący po zakończeniu działań wojennych ale nie zatwierdzony w żadnym traktacie pokojowym — otrzymałby w ten sposób pewne znamiona trwałości, jako że byłby wyrazem dążenia obu supermocarstw do utrzymania za wszelką cenę ładu światowego, który równocześnie powstrzymałby obu partnerów od wzajemnego

wtrącania się w swoje sprawy wewnętrzne i przesuwania w nieokreśloną przyszłość ostateczne starcie o hegemonię globalną.

W chwili kiedy piszemy te słowa nieuchronne wydaje się zakończenie Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie po myśli Stanów Zjednoczonych i Rosji Sowieckiej a także osiągnięcie dalszego porozumienia w ramach rozmów wiedeńskich. Ocena tych sukcesów „pokoju polityki” obu supermocarstw musi być jednoznaczna z punktu widzenia podzielonej Europy, względnie w jednoznaczny sposób charakteryzuje postawę oceniającego. Nie chcemy jednak wdawać się w roztrząsanie kwalifikacji moralnych i politycznych tej polityki, jako że byłoby to jedynie retorycznym uzasadnieniem naszego przekonania o krótkowzroczności polityków, sterujących ku takim czysto gabinetowym aktom i o krótkotrwałości przedsięwzięć w tych aktach stypulowanych. Ani uroczysta deklaracja szefów państw w Helsinkach, ani powołane przez tę konferencję organy stałe, ani wreszcie jakiegokolwiek porozumienia w sprawie pułapu zbrojeń i tym podobnych problemów militarnych nie mogą utrwalić *status quo*, ponieważ stan taki w rzeczywistości już nie istnieje, przedłużanie zaś fikcji może jedynie doprowadzić do gwałtownych erupcji zapoczątkowujących reakcję łańcuchową, której opanować już nikt nie będzie w stanie.

Naszym zdaniem problem Europy musi być rozpatrywany w dwóch płaszczyznach, które zależnie od poglądu na świat można traktować jako ze sobą związane, względnie jako całkowicie od siebie niezależne. Pierwszą jest płaszczyzna niewątpliwie eurocentryczna, w niej bowiem historia ludzkości myślna jest jako proces realizacji ideałów chrześcijańskich, które z chwilą ustanowienia Stolicy Piotrowej promieniują na cały świat właśnie z Europy i na tym kontynencie poddawane są najważniejszym próbom. W historii narodów europejskich, w wytwarzanych przez te narody kulturach, strukturach społecznych i politycznych widzielibyśmy wówczas obraz przełamywania się ludzkich myśli i poczynań, przepuszczonych przez pryzmat chrześcijaństwa, zaś w skomplikowanej i zmiennej kalejdoskopicznej mozaice całości dostrzegalibyśmy możliwości odczytania słusznych lub niesłusznych rozumień i interpretacji Objawienia, przyjętego jako podstawa ludzkiego działania.

W drugiej czysto historycznej płaszczyźnie problem Europy sprowadzałby się do zbadania trwałości tych niewątpliwie głębokich podziałów światopoglądowych, jakie powstały w wyniku historycznego rozwoju narodów europejskich, inaczej mówiąc odnalezienia źródeł postaw narodowych i analizę ich zasadności w świetle sprecyzowanych systemów i hierarchii wartości.

Niezależnie od tego, czy potraktujemy obie te płaszczyzny

jako organicznie ze sobą związane, czy też wybierzemy tylko drugą, niechybnie musimy dojść do wniosku, że żaden naród europejski — czy to dlatego iż wierzy w swoją misję, czy też dlatego, że zbyt wysoko ceni swą historycznie ukształtowaną indywidualność — nie może przystać na ograniczanie swego prawa do stanowienia o sobie, a tego przecież domagają się w gruncie rzeczy supermocarstwa w swoich koncepcjach stref wpływów, oba bowiem, jedno w mniej, drugie w bardziej drastyczny sposób, pragną narzucić narodom, nad którymi sprawują „pieczę”, swą wizję świata. Pozostawiając na uboczu genealogie tych wizji, dzielące je różnice i cele ostateczne, którym mają służyć, dla potrzeb naszego wywodu stwierdzimy jedynie, że wspólną ich cechą jest unicestwienie jednostkowego bytu ludzkiego i roztopianie go w totalnej zbiorowości. Przeciw tym wizjom Europa będzie walczyć do upadłego i ten właśnie fakt przesądza o zawodności wszelkiej „koegzystencji”, która z nim liczyć się nie będzie.

Ze zrozumiałych powodów ograniczamy się w tym miejscu do rozpatrywania tego problemu z polskiego punktu widzenia, niemniej jesteśmy przekonani, że zasługuje on na baczniejszą niż dotąd uwagę i to z wielu powodów. Polska jest nie tylko największym z państw satelickich, ale i tym, które posiada najstarsze tradycje polityczne i państwowe oraz największe doświadczenie zarówno jeśli idzie o podtrzymywanie ich w okresach utraty niepodległości, jak i użytkowania tych tradycji w walce o odzyskanie wolności. Polska myśl niepodległościowa czerpie siły z nienaruszonego w tej wspólnocie przekonania o misji narodu, broniącego swej hierarchii wartości wspólnych kulturze chrześcijańskiej, wypaczonej natomiast przez procesy historyczne, które ukształtowały państwowość obu jej sąsiadów. Niefortunne przez swój ironiczny wydźwięk sformułowanie tej misji jako „obrotowego przedmurza chrześcijaństwa” jest niezmiernie trafne, jak tego szczególnie dobitnie dowodzą doświadczenia ostatnich lat trzydziestu. Pojęcie „przedmurza”, oczyszczone z wszelkich konotacji agresywnych, odzyskało w tym okresie swą właściwą treść, zgodną z tradycyjnym polskim myśleniem politycznym, którego podstawową zasadą była tolerancja i poszanowanie prawa ludzi do stanowienia o sobie. Stworzenie po wojnie państwa polskiego pozbawionego suwerenności doprowadziło jedynie do pogłębienia się poczucia zagrożenia bytu narodowego, a tego poczucia zagrożenia nie można usunąć przez najdalej idące ustępstwa na rzecz „specyfiki” narodowej i najbardziej intensywne podnoszenie standartu życiowego. Wszelkie zresztą kroki w tym kierunku są z góry skazane na niepowodzenia właśnie na skutek powszechnego przeświadczenia o jałowości wszelkich rzetelnie konstruktywnych i dalekosiężnych wysiłków, które wobec

braku suwerenności nie mogą zaowocować. Wzmogło się to poczucie niepewności z chwilą powołania do życia Niemieckiej Republiki Demokratycznej, w której słusznie polska opinia publiczna widzi nie tylko bazę wojsk sowieckich, oskrzydających Polskę, ale również nie mniej groźną wylegarnię potencjalnego odrodzenia imperializmu niemieckiego. W Europie, skutecznie podzielonej na amerykańską i sowiecką strefy wpływów, Niemcy podzielone muszą stać się głównym czynnikiem uniemożliwiającym integrację Europy, a z czasem pretendentem do roli hegmona, takim bowiem dążeniom, jeśli nawet chwilowo uspijonym, przywróci wigor nie dające się uspić i domagające się realizacji poczucie jedności całych Niemiec.

Kamieniem węgielnym odrodzonej myśli politycznej polskiej będzie sprawa walki o niepodległość, o zdobycie suwerenności dla istniejącego państwa. Na sformułowania, w jakich ta myśl się wyrazi, w niezwykle doniosłej mierze wpłynie postawa ośrodków politycznych w Związku Sowieckim; zarówno jeśli idzie o trzeźwą ocenę roszczeń narodu polskiego do suwerenności, jak i uświadomienie sobie zagrożenia całości państwa rosyjskiego wynikającego i potęgującego się czy to na skutek niedostrzegania istnienia tych roszczeń, czy też lekceważenia ich w przeświadczeniu że zawsze będzie je można stłumić, nie naruszając jakże kruchej struktury pokoju europejskiego i światowego. Odrodzenie myśli politycznej oznacza w Polsce wcielenie się jej w cały wachlarz programów i odpowiadającą mu różnorodność form organizacyjnych. Procesu tego nie uda się powstrzymać, o czym uczy historia; naiwnością byłoby przypuszczać, że można będzie zapobiec jego rozrastaniu się do takich rozmiarów, które przy obecnie kształtującym się obrazie Europy uniemożliwiłyby jego likwidację na oczach biernego świata. W dalekowzrocznie rozumianym interesie Rosji leży zrozumienie tych konieczności i przewyciężenie aporii myślenia imperialnego, które Związek Sowiecki, mimo pewnych prób przełamania, przejął jednak w całości po grabarzach imperium carskiego.

W dobrze bowiem rozumianym interesie Polski niepodległej będzie leżało ustanowienie i utrzymanie dobrosąsiedzkich stosunków z wschodnim sąsiadem, opartych na aprobacie społecznej, możliwej jedynie po całkowitym wyrugowaniu tych wszystkich elementów w stosunkach polsko-rosyjskich, które były w przeszłości i nadal jeszcze są źródłem antagonizmów i nieporozumień. Uświadomienie sobie przez sowieckie ośrodki polityczne faktu istnienia bariery duchowej między dwoma odmiennymi sposobami widzenia miejsca człowieka w świecie, tym, który uniemożliwia Polakom godzenie się na jakiegokolwiek ograniczenie ich prawa do samodzielnego decydowania o własnym losie oraz tym,

który utrudnia politykom sowieckim godzenie się z pluralizmem światopoglądowym, jak też wyciągnięcie z tego faktu właściwych wniosków, jest jedynym sposobem wyjścia ze ślepej uliczki obecnych stosunków polsko-sowieckich. Jeśli troska o utrzymanie pokoju jest rzeczywiście myślą przewodnią polityki sowieckiej, wówczas nie może ona nie dojść do oczywistej konkluzji, że jedynym sposobem utrwalenia pokoju na naszym kontynencie jest przywrócenie suwerenności państwom, które znalazły się w jej strefie wpływów. Jest rzeczą zrozumiałą, że polityków sowieckich straszy widmo zjednoczonej Europy podejmującej „krucjatę” przeciwko komunistycznej Rosji, i tych obaw nie wolno lekceważyć. Skoro jednak przyjmujemy, że przewyżczenie tendencji hegemonicznych Ameryki i Rosji przez zmuszanie tych mocarstw do zmiany ich koncepcji strategii politycznej, może — a nawet musi — doprowadzić do powstania zjednoczonej i zintegrowanej Europy, a naszym zdaniem jest to proces nieuchronny — wówczas staje się rzeczą oczywistą, że tylko Polska suwerenna i silna może stać się tym czynnikiem w zjednoczonej Europie, który będzie skutecznie powstrzymywał wszelkie ewentualne zapędy do wtrącania się w sprawę wewnętrzne Rosji i jakiegokolwiek zakusy na jej istnienie.

Trwałym następstwem zmian geopolitycznych, jakie nastąpiły w wyniku drugiej wojny światowej, było powstanie w Polsce państwa narodowo jednorodnego, co niewątpliwie wpłynęło na przekreślenie w świadomości naszego społeczeństwa realności i sensowności wszelkich koncepcji czynnego angażowania się w sprawę naszego wschodniego sąsiada — choć były one aktualne i w pewnej mierze uzasadnione w przeszłości, kiedy problem mniejszości narodowych stwarzał poważne dylematy, których nie można było pomijać przy planowaniu obronności kraju i całości jego granic. *Taka zmiana w postawie społeczeństwa nie oznacza i nie może oznaczać braku zainteresowania dla przemian, jakie niewątpliwie będą zachodziły w państwie o tak skomplikowanej strukturze wewnętrznej, tyle tylko, że zainteresowanie tymi kwestiami sprowadzone zostanie do właściwych dla stosunków między dwoma suwerennymi państwami proporcji.*

Ośrodki polityczne w Związku Sowieckim muszą uprzytomnić sobie, że podtrzymywanie za wszelką cenę obecnego układu rzeczy, w którym administracja mimo trzydziestoletnich starań nie zdołała uzyskać aprobaty społeczeństwa, nie tylko pogłębia animozje polsko-rosyjskie, ale co więcej, zmusza tę właśnie, kreowaną i wspieraną przez Kreml władzę krajową do cichego solidaryzowania się z niechętną wobec Rosji postawą społeczeństwa, do pogłębienia historycznych antagonizmów, do podsycania tego swoistego „wallenrodyzmu”, który nie znajdując ujść konstruktywnych i jawnych, nihilizuje naród i w ostatecznym wyniku

musi doprowadzić do tego rodzaju nieobliczalnych ekscesów, jakim była np. nieudana fronda moczarowska.

Jesteśmy zdania, że tylko w niepodległej Polsce znajdzie Związek Sowiecki sojusznika, który będzie gwarantem pokoju. Oczywiście tej tezy nie skłania nas jednak do naiwnych złudzeń i bynajmniej nie uważamy, że takie rozumienie wspólnego interesu obu naszych państw łatwo uzyska sobie prawo obywatelstwa w sowieckiej myśli politycznej, lub też — że z chwilą, gdy wreszcie zrodzą się jakieś konkretne koncepcje zmiany stosunku do Polski i będą poważnie rozważaną ewentualnością, można ją będzie łatwo realizować. Dlatego też wszelkie programy jakie w ramach odradzania się polskiej myśli politycznej powstaną, będą musiały kłaść szczególny nacisk na konieczność stwarzania takich faktów dokonanych, które zmuszą nie tylko koła kierownicze w Rosji Sowieckiej ale i społeczeństwo sowieckie do dostrzeżenia i zrozumienia tego podstawowego problemu.

Programy takie, zrodzone z suwerennych przemyśleń, realistycznych ocen, rzeczowego rozpoznania stanu moralnego i fizycznego narodu, z poddania skrupulatnej analizie potrzeb społeczeństwa i z rzetelnej próby wytyczenia jego dróg rozwojowych, a nade wszystko z głębokiego zamyślenia się nad sensem naszego narodowego istnienia, będą z natury rzeczy formułowane przez przyszele czy nawet już kształtujące się elity umysłowe. To mając na uwadze tak wiele miejsca poświęciliśmy próbie oceny ich funkcjonowania w ostatnich dziesięcioleciach. Zdajemy sobie sprawę z pobieżności naszych konstatacji i opisów, lecz raz jeszcze powtarzamy, że uwagi niniejsze nie roszczą sobie pretensji do roli wstępnych chociażby przemyśleń lecz służyc mają jedynie zaznaczeniu możliwości formułowania nowych sądów i hipotez, nowych idei i koncepcji, które winny stać się przedmiotem żarliwych sporów i dyskusji.

X.Y.Z.

## Wiersze

Aleksander ONIEGOW

### « Caryca i zwierciadło »

Przed lustrem wdzięczy się caryca,  
własna uroda ją zachwyca,  
to gęstych brwi unosi chaszczę,  
to swych podbródków sześć pogłaszcze,  
to delikatnym ruchem dłoni  
poprawi bujnych włosów sploty,  
to w głąz swych niezgłębionej toni  
zatopi wzor pefen tęsknoty,  
to znów rozchyli ust pąkowie  
i ticho — „kak krasywa” — powie.  
Da, kak krasywa i mogucza!  
Zadumy ją ogarnia tucza,  
bo pojąć trudno wprost gdzie sięga  
jej władza, wpływy i potęga!  
Bezkresny step i Gimałaje,  
wostoczne i zapadne kraje,  
rozlewny Don i rwistyj Terek  
archipelagrów dlinnyj szereg,  
jej Białe są i Czarne morza,  
południa żar, polarna zorza,  
którą wynalazł Łomonosow,  
by oświetlała carski tron  
i w której blasku wielki Soso  
milionom podejrzanych osób  
zgotował zasłużony zgon.  
A liczne ludy — to jej raby;  
i Kazach na umyśle słaby  
i gnuśny Rus i Gruzin dumny,

milkliwy Żmudzin, Polak szumny,  
Ormiaszka chytry, Tunguz dziki  
Bułgar i Węgier, Prus i Czech —  
Wyliczać by tu długo, ech!  
Wszystko carycy niewolniki!  
Wielkie jest carstwo Leonidy,  
mimo, że wciąż w nim mącą Żydy!

Właściwie już ideał bliski:  
tak wszystkich trzyma się za pyski  
w ogromnym tym Koncłagrze Mira,  
że gdyby ożył Piotr Wielikij  
zdumienia wydałby okrzyki,  
daje Jekatierina — zdzira  
z francuska by skazała, że  
„Quel diable! Je suis enchantée!”  
A jeśli ktoś zbyt głośno piśnie,  
że twarda ręka zbyt go ciśnie,  
gdy się zbuntuje czy rozplacze,  
to zaraz się zjawiają wracze  
i za te krzyki, fochy, dąsy  
biorą go na elektrowstrząsy.

I znów zatapia w szkle zierkała  
Caryca osowiały wzrok,  
bo się jej głowa skotłowała  
czerez tych myśli kipiatok.  
Szczęściem pod ręką stakan stoi,  
z ożywczych czerpią usta zdroi  
stuprocentowy blisko płyn —  
ach, jak rozgrzewa! ach, jak pali!  
Spirit, a eto znaczyt duch,  
jeszcze króciutki wydech — chuch!  
i dusza płyniet już po fali  
i już na wszystko naplewat’!  
ach swołocz! bydło! wory! bladzie!  
Im tolko nużen knut i pałka!  
Im tolko nużna tiurma! kat!  
A ja? Ja jestem liberałka,  
bezumno liublju ja Zapad!  
Te ich gorody, magazyny!  
Gdzie u nas pójdziesz w magazin?  
te ich ulice, limuzyny!  
Niet u nas takich limuzyn!

W Paryżu, w Łuksemburżskim Sadzie  
 kakie dziewczuszki, kakie bladzie!  
 A sztuki kakie, kakie sztuki,  
 wot zaszła tuda w restaran,  
 brasiła żeton w awtomat  
 i wot, wytrysnął zeń fontann  
 i cudne się rozległy zwuki!  
 Wot Jewropa, wot kultura!  
 A u nas czto? Wsio dzicz i dzicz,  
 przez tysiąc lat ich batem ćwicz  
 i szto dumajesz, że wyćwiczysz  
 z tej durnoj, tupoj, tiomnoj dziczy?

Caryca szybko w dłonie klaszcze —  
 mgnowienno zjawia się służaszczyni —  
 siwyj pałkownik KGB,  
 ruki po szwam i pierś wypręża,  
 wiernopoddanczy wzrok wyteża,  
 by poznać szto władczyni chce  
 „Durak, nalewaj, stakan pustyj!  
 Rozpylaj w krąg odiekołon,  
 bo wozduch tiazkij. Tiepier won!”  
 I znowu rubinowe usta  
 Wchłaniają życiodajne żary,  
 I oto jak są zmienne gusty,  
 jak zmienne są nastroje caryc!  
 Zwężają się szerokie głaza  
 już w nich nie płonie blesk ałmaza  
 tylko pogarda, złość i mrok.  
 „Imperialisty — szepcze — gady!  
 Uśmiechy ślą a knują zdrady!  
 Razkryj im sierdce, otwórz duszę,  
 a oni w krik, że Żydków duszę!  
 Protestacyjne ślą bumagi,  
 że Jakubowski wszedł do Pragi!  
 Kowarnyj i mierzawyj Zapad!  
 Niech by się wreszcie k czortu zapadł!  
 A gdyby tak, kak radzi Greczko  
 zbombardirowat' ich troszczeko?  
 A potem dziełat' im ura!!!  
 Wot, pohulałyby Kazaki!!  
 Ten Greczko, czto on tak się pcha?  
 Kto on właściwie? Kto to taki?  
 czto u mych stóp tak skuczyt on?  
 „Barinia” — prosit — daj prikaz!”

A chytrość bijet jemu z gład,  
 chce wpełznąć gad na carskij tron!

„Nu jeszcze jeden stakan Zachar!  
 a potem czaj, konfiet i sachar.  
 Nic nie rozjaśnia tak jak wódka!  
 a żyzi eto głupaja szotka!  
 Kto eto skazał? Lermontow!  
 Obrazawanna ja głęboko!  
 i intelektualne oko  
 zagłębia się w zwierciadła toń.  
 Caryca nowe ma widzenie,  
 że jest nie tylko piękna, dumna,  
 lecz nade wszystko dobra, umna  
 i nieszczęśliwa jest szalenie.  
 Zewsząd ją otaczają płazy,  
 miełkije ludzie, prosto — karty!  
 dworaków przypochebny tłum,  
 a za oczami — knują spiski!  
 Czuzen im gornych myśli szum!  
 Czuzen im jarkie genia błyski!  
 Im tolko w głowie — wódka, żopa,  
 a mnie się marzy wsia Jewropa!  
 Wy dury! wory! wy sobaki!  
 Znajecie ile tam bogactwa?  
 Nie strwonisz go przez pięćset liet  
 nawet takiego jak tu władztwa!  
 Skolko tam dworców, ermitaży,  
 Kakije tam prekrasne Kremla!  
 A wy — by wsio to spalić, zżarzyć,  
 a wy — by wsio to zrawniat' z ziemloj!  
 Wsio by chotieła rozjebat'  
 odna z drugoj — głupaja swinia!  
 A czto to nużna nam pustynia?  
 Wiedź pustyn' u nas oczeń mnogo!  
 Nam nużno kuszat', nużno brat',  
 Nu sprasziwaju was, od kogo?  
 Niet, niet, kowarnyj mój Andriej,  
 dumajesz, chitryj ty kak źmiej?  
 Kuda chitrieje Leonida!  
 Niszczyc swą zdobycz — kakij smysł?  
 Zdieś subtelnieszy nużen zmysł,  
 Zdieś tolko moj się urok przyda!  
 Atomnych nielzia nam kartaczy,  
 Zdieś nada tolko oduraczyć!

Duraczyć — to specjalność caryc,  
 to jest po prostu nie do wiary,  
 jakie miewają tu pomysły,  
 jakie odnoszą tu sukcesy  
 i jakie łapią się umysły  
 na niewybredne ich karesy!  
 Tę trudną sztukę duraczenia  
 na szczyty wzniosła od niechcienia  
 Jekatierina Wielikaja.  
 Ach, jak te twarde lizała stopy  
 Kwiat oświeconej Europy,  
 Jak na wyścigi cała zgraja  
 Wolterów, Russów, Diderotów,  
 z poważną miną, bez wymiotów  
 na cześć jej układała ody —  
 patronki nauk i swobody,  
 gdy ta dusiła twardą ręką  
 każdą myśl wolną, a narody  
 za kark chwytała tak jak koszkę  
 i przenosiła na wschód troszkę.  
 Gdy to wcielenie humanizma  
 humanitarnie niesłuchanie  
 stłumiło chłopów swych powstanie  
 (wot, kak gumanno — myśli głowa  
 na pal wbitego Pugaczowa),  
 kiedy zesłała Radiszczewa  
 i Polszy sjeła kawał spory  
 tłum postępowców ją opiewał,  
 wielbiły liberalne chory.  
 Wot krasawica! wot mistrzyni!  
 Nie ważno czto, ważno kto czyni!  
 A Soso? Kacie czudne wasy,  
 pod wąsem pykał sobie z trubki,  
 a że się wokół słały trupki,  
 czy kto powiedział na to co,  
 były z powodu tego dasy?  
 Chwalił go Wells i Bernard Shaw  
 a daze słynnyj Russeł łord,  
 raził jewo tot całyj mord?  
 te łagry, tiumry, kaźniesz? — Niet!  
 Mołodiec Soso! Wot kokiet!

Bo nic nie wzrusza tak Zachodu  
 jak szum frazesów o wolności,  
 mozesz pół świata zakuć w dyby,

strzelać w tył głowy, łamać kości,  
 ale bredź przy tym o ludzkości,  
 o Lepszym Jutrze, Wielkim Świecie,  
 a wyjdiesz na tym znakomicie!  
 Wot Gitler, kakoj to durak!  
 On się przechwalał zbrodnią swoją,  
 a mudriec to by zdiełał tak:  
 nu, czto, że zdzieś konclagry stoją?  
 nu, czto, że dymią krematoria?  
 taż w nich przetapia się historia  
 niewoli topią się okowy  
 powstaje sprawiedliwszy świat  
 rodzi się typ człowieka nowy!  
 I czto, nie miałby wtedy on  
 gumannych w krąg apołogietów,  
 co pieliby, kak on jest miły,  
 a kakij kapitalizm zgniły?  
 Wsadzać na czapku główkę trupią,  
 O Boże moj! kak eto głupio!  
 Na czarne — białe mówić nada,  
 bo to przemawia do Zapada!  
 na knuty kaźnie i tortury,  
 że to gumanne manikiury!  
 Nada ich przekonywać mudro,  
 że wojna — mir, że chlew to źródło,  
 że okupacja — wyzwolenie,  
 a będą cieszyć się szalenie!  
 A kiedy zwolna, po troszeczk  
 w tej dialektyce się wyćwiczą,  
 to moją staną się zdobyczą —  
 poniał mienia, ty jołop Greczko?

Oślabła troszku od tych dum...  
 Ja chaczu wzmocnić się lekuchno!  
 Snowa to było nie naliło!  
 Takich to tolko walić w ryło  
 I, wot smatriet' czy równo puchną!  
 Zachar! gdzie ty się podział, czort!  
 Już ja ci zerwę te pagony!  
 W żołdaty proste pójdziesz won!  
 Nie widzisz swołocz? Stakan pustyj!  
 Nalewaj durny!... Jeszczo raz!  
 ty chyba sowsiem nie masz gład,  
 a w miasto lic u tiebia — żopa!  
 no chwatit, chwatit już, paszoł!

Czto to zmutiła się zierkała  
tak czysta zawsze tafla szklana?  
Może zbyt mocno ja chuchała,  
a może ja niemnożko pjana?  
Nu, wsio rawno!

Czto by chotieła?...  
Może tancować?... może pisać?...  
Może kakije igrowyje dzieła?...  
Niet, ja'b chatieła całowat'!  
Całować, ale tak szaleńczo,  
jak czynią to władczynię Wschodu,  
gdy wargi pieszczą się i dręczą,  
gdy pożar bucha wśród lodu,  
gdy dusza duszy się powierza,  
z najgłębszych tajni się spowiada,  
a tutaj nagle kły wyszczerza  
nienawiść dzika, podła zdrada,  
gdy wśród upojnych oszołomień  
trzeźwości migną błyskawice,  
gdy nagle w lód się zmienia płomień,  
kochanka wierna zaś w carycę!

Da, da, prekrasno ja skazała!  
W tym smysł jest i istina cała  
Bo nad upojne wszystkie trunki,  
nad koka-kołę, wew-kliko  
O ileż upojniejsze są  
Słynne carycy pocałunki!  
Pomniu, jak prijechał w Moskwu  
De Gaulle, sklierotik i starik  
i ja jewo pocałowała,  
on potom prosto dostał tik,  
ach, on formalno popał w trans,  
on przestał bredzić o belle France  
i tolko skuczał u mych stóp:  
Ach, Leonide, ty mienia lub,  
dla ciebie cały Zapad broszę,  
tolko mnie jeszcze całuj, proszę!  
A potom Pompidou, a Brandt,  
a nawet chitryj, mielkij frant,  
poet iz Polszy — Iwaszkiewicz,  
gdy tolko pili ust mych miód,  
wołali, że to istny cud,  
kto go nie zaznał, ten nic nie wie.  
Nagle goryczy kropla spada,

wypełzła myśl ohydna: Sadat! —  
zimny egipski pederasta!  
podstępna, jadowita żmija,  
jak on się w moje wargi wpijał,  
jak on udawał podniecenie  
a ruki wsadzał mi w kieszenie!  
A kiedy wszystko wyjął — złodziej! —  
pokazał drzwi na Bliskim Wschodzie.  
Ech, job jewo! płaz bez znaczenia!  
Bo wszystko się na dobre zmienia  
i oto nagle Tricky-Dicky  
potężny władca Ameryki  
który pół świata ma u stóp  
po pocałunkach w Waszyngtonie  
miłością dziką ku mnie płonie  
i zaraz chciałby zawrzeć ślub!

Przyjeżdża tu profiesor w swaty,  
chotia jewrej — charoszyj paręń  
czelowiek umnyj i bogatyj,  
no fiksa ma na punkcie baryń.  
Zachodzim w um z Podgornym Kolą  
i trudno się nadziwić nam  
czto ciągnie go do naszych dam,  
przecież to barachło i chłam!  
Możet tam oni takie wołają?  
Da, czelawiek eto zagadka!  
Profiesor mówił umno, gładko  
i mnie logiczno wywiódł tak,  
że dożen dojść do skutku brak!  
Bo choć zamieszki są w Senacie  
o jakiś skandał w Watergacie,  
że założyli gdzieś podsłuchy,  
a wyszły z nich śmierdzące dmuchy —  
nie tak kak u nas; ja słuszaju  
dokładnie, co się dzieje w kraju —  
no Dick i ichnie KGB,  
FBI — znaczyt, stłumią je!  
Ach, profiesor — ja mu przerwała —  
pal sześć tą waszą Amerykę!  
Ty opowiadaj mi o Dickie,  
kak ja go dawno nie widziela!  
Czto on diefajet, Dick moj miłyj,  
Ach mów! bo zdat' już nie mam siły!

Naliwaj stakan! po bierieg!  
Nie wodka! Koniak! extra sec!

Ach, Dick! kagda tiebia ujrzała,  
zabiło serdce: wot, to on!  
Ja kak diewuszka młada drżała  
A w gołowie mi krow huczała,  
Kak samyj wielkij Kremla dzwon!

Ja skrywat' dłużej już nie stanu —  
bezumno jestem zakochana  
w twych głazach, ustach, bliesku lic!  
na liubow' nie poradzisz nic!  
Pamiętasz, kak my zapatrzeni  
Naprotiw siebia siuda szli,  
z ułybkaj ty, ja wzniosłszy brwi?  
Ach, Dick, dla siebie my stworzeni  
Ach, Dick, ach, miłyj moj, My dear  
nasz budiet cefyj ziemskij mir.

Ach Dick! nasz przysły sławnyj brak,  
to jest nie tolko brak z miłości,  
to jest z rassudka toże brak,  
to budiet szczastie dla ludzkości!  
Gdy obie zejda się półkule,  
będziemy mieć już całą pulę!  
będziemy mieć już całą własť  
i każdy będzie musiał paść  
przed taką parą na kolana!  
Czy to Moskwa, czy to Fłorida,  
Czy Łondon to, czy Mozambik —  
wszędzie władajet Leonida  
wszędzie władajet Tricky Dick!  
To budiet naszej własť szlagier,  
że zmieni świat w ogromnyj łagier.  
Rabotat' budut kornie raby,  
skończą się strejki i rozruchy,  
gdzie stąpisz wszędzie są podsłuchy  
gdzie spojrzysz wszędzie widzisz kraty.  
Patrz jak korzystnie świat się zmienia  
Niegry bieleją z przerażenia  
A Żydki zamykają domy  
bo przeczuwają już pogromy.  
Butne dotychczas kongresmieny  
pokornie pójda tiepier w plieny!

egipski pedryl aż się spłaszczy!  
ja budu szczała mu do paszczy  
i tak szutiła! Nu, Anwar!  
Wied' u was na pustynie żar,  
ja tiepier tobie go ugaszę!  
Nie lzia mi było dmuchać w kaszę!  
Ach, Dick! kak czudnyj budiet mir!  
Wieczne wiesielje! wiecznyj pir!  
Parady, bale i ochota!  
Ja budu bezprestanno pjana  
i wieczno w tobie zakochana!

I czy pod wpływem górnych dum  
zmieszało się carycy w głowie,  
czy koniak z wódką po połowie  
wywołał tam zbyt wielki szum,  
czy, że się już do reszty schłała,  
dość że powoli z pufa wstała,  
lekuchno przy tym się zachwiała  
i jakby jej się zmaćił zmysł,  
zaczęła robić, co? — strip tease!

Szerokim, posuwistym gestem  
odrzuca suknie swoje — won!  
powoli, dumnie i z szelestem  
padają w buduaru ką  
jej halki, majtki, biustonosze —  
i oto naga stoi — proszę! —  
tak jak stworzyła ją natura,  
białego mięsa wielka góra,  
którą sapiący oddech wzdyma!  
Któż widok ten opisać zdoła —  
Fiedin, Simonow, Szołochow?  
Ach, któż w ogóle go wytrzyma!  
Caryca pręży się, przegina,  
załotnie mizdrzy się przed lustrem,  
widać jak pycha ją rozdyma,  
że jest tak strasznie pięknym bóstwem!  
pławi po prostu się w zachwycie,  
to uśmiech śle, to stroi dąsy,  
to nagle rusza w skoczne płąsy,  
to głowę swą na ramię skłania  
i spod zmrużonych powiek skrycie  
się obserwując, szepce: Łania!  
A potem „oczy czarne” nuci



i o liliowym Niegrze śpiewa,  
 potem jej płakać się zachciewa  
 i chciałyby to wszystko rzucić!  
 Lecz tak jak przyszła chandra — znika,  
 więc znowu śmieje się i fika,  
 a że jej jeszcze tego mało,  
 pyta się, patrząc w lustra głąb:  
 Skażi lubime mnie zierkało,  
 jest' li na świecie krasawica,  
 która ma czudniejsze ciało,  
 która ma piękniejsze lica?  
 Skażi, skażi, choć znam odpowiedź —  
 ty mnie na pewno powiesz! niet!

Lecz oto nagle, cóż się dzieje?  
 Zwierciadło chmurzy się, mętnieje,  
 to mgłą zachodzi, to się wzdyma,  
 zda się, że lada chwila trzaśnie,  
 że zmian tych wszystkich nie wytrzyma,  
 że się rozprysnie, a tu właśnie  
 się rozpogadza tafla szklana —  
 no Boże moj! Kakaja zmiana!  
 czo tam słuczyło się, na Boga!  
 W zierkale siedzit obiecjana,  
 użasna, żółta jak cytryna!  
 podstępne skośnyje głąza,  
 a kakaja obmierża mina!  
 Pomiłuj Boh! toż to nie ja!  
 To Frankiensztejn ili King-Kong!  
 a etot strasznyj, żółtyj kłęb,  
 co się tam za nią roi w tyle  
 i leziet na mnie, skąd ich tyle!  
 Skażi, skażi, ach, mnie zierkało:  
 jest' li eto to małpa Mao?  
 etot kitajskij gad nad gady,  
 co mi obsrywa ambasady,  
 katoryj chce mi odbić Dicka  
 i w carstwo moje chyłkiem wnika  
 straszną gotując mi zagładę?

A w lustrze dudni groźny głos:  
 Da, eto jest caryca Mao,  
 która piękniejsza jest od ciebie,  
 na smoku wjedzie w twoje carstwo

i wsio tak w pył i proch rozjebie,  
 że się rozpadnie gosudarstwo!

Carycy straszne: a!! a!! a!!  
 zatrzęsło tak murami Kremla,  
 że zda się: wali się Moskwa  
 że zda się: wokół pęka ziemia!  
 Już w pogotowiu stoją pułki  
 już nabijają się armaty  
 marszały mają blade twarze,  
 korytarzami biegną straż,  
 trzymając w rękach automaty!  
 Padają jedne drzwi: trach! trach!  
 padają drugie, trzecie, czwarte!  
 Ach wszędzie tu się czai strach!  
 ach, wszędzie tu się czai zdrada!  
 Do buduaru wreszcie wpada  
 mładyj praporszczyk KGB.  
 Na ziemi wije się caryca  
 a przy tym wstyd powiedzieć: goła!  
 Oburącz się za głowę trzyma  
 i ach, jak ona strasznie woła  
 wskazując palcem w głąb zierkała:  
 Zabierzcie stąd tę żółtą małpę,  
 czto by mnie ona nie skuszała!  
 Lecz tafla szklana — zimna gładka.  
 Już się zbrodniomysł łęgnie w mózgu:  
 Praporszczyk myśli: to wariatka!  
 to przecież tylko kawał szkła,  
 a może schlałaś jak świńja?

Tymczasem w buduaru drzwiach  
 gromadzą się wierni poddani  
 i niczego poniat' nie mogą:  
 Czyżby tak najjaśniejszej Pani  
 ruski zaszkodzić mógł samogon?  
 Toż takij miała wielkij spust,  
 toż taki miała twardyj łob  
 i nagle takie bieszeństwo,  
 i takij krik, alarm, zajob?



Bo nie rozumie prosty lud  
 nigdy potężnej duszy władcy,

dlatego musi świszczyć knut  
i muszą dręczyć go oprawcy!

Gdy car prorocze ma widzenia,  
zawsze to spłyci cham i łyk,  
dlatego muszą być więzienia,  
zsyłka i łagier, kat i stryk!

Dla ludu — oto wsio rawno  
czy car, czy chan jest jego katem,  
bo lud to swołocz i gawno —  
Batem go, batem! batem! batem!

*Aleksander ONIEGOW*

## Archiwum polityczne

### Materiały do refleksji i zadumy

W niespełna 30 lat od zakończenia pierwszej wojny światowej wybuchła druga wojna światowa. Bomby atomowe zrzucone na dwa miasta japońskie nadawały tej wojnie charakter wojny, która zakończyć miała wszystkie wojny.

Zarówno po pierwszej jak i po drugiej wojnie światowej — mimo zniszczeń materialnych i olbrzymiego upustu krwi — nie depresja i frustracja lecz prężna, dynamiczna nadzieja ożywiała ludzi. To ta nadzieja lepszego, pełniejszego życia spowodowała, że miasta i przemysły odbudowano w błyskawicznym tempie a w Niemczech i w Japonii — które poniosły totalną klęskę — zakwitł bogactwem i dobrobytem „cud gospodarczy”.

Lecz dziś, w 30 lat od zakończenia drugiej wojny światowej, przeżywamy trzecią wojnę światową. Nie mam na myśli tzw. „małych wojen”, których mieliśmy całą serię. Te lokalne konflikty toczyły się z dala od Europy, w Wietnamie, na Środkowym Wschodzie, w Indiach a ostatnio na Cyprze. Mam natomiast na myśli bomby, które wybuchają niemal każdego dnia w Londynie, w Paryżu, w Brukseli czy w miastach włoskich. Mam na myśli akty terroru, których nie tyle widownią co sceną stał się świat zachodni. Nadzieja, która ożywiała pierwsze lata powojenne zgasła, a jej miejsce zajęła frustracja. Lecz kto i przeciwko komu toczy ową podziemną trzecią wojnę światową?

Jeżeli wyłączymy terrorystów arabskich, którzy swój konflikt z Izraelem starają się rozegrać na scenie międzynarodowej — to należy stwierdzić, że tę podziemną trzecią wojnę światową w Europie, w obu Amerykach i w Japonii — prowadzimy nie przeciwko Sowieckiej Rosji ale wyłącznie sami przeciwko sobie. Nawet w Anglii, gdzie tradycja wydaje się nie do naruszenia — mówi się ostatnio o „prywatnych armiach”, które miałyby bronić porządku i prawa, gdyby zaszła tego potrzeba. Mówiąc o owych „prywatnych armiach” nikt nie ma na myśli obrony przed de-

santem sowieckim, tylko każdy ma na myśli obronę przed niebezpieczeństwem z wewnątrz.

Odnosi się wrażenie, że system demokracji parlamentarnej nie jest w stanie objąć narastających przemian i dać owym przemianom wyrazu w konkretnych reformach. Pisałem na tych łamach o niebezpieczeństwach grożących socjalizmowi w chwili jego zwycięstwa.

Związki zawodowe miały na celu obronę interesów robotniczych i stanowiły „grupę nacisku” zarówno w stosunku do rządów konserwatywnych jak i socjalistycznych. W dyskusjach na temat nowej roli związków zawodowych wysuwa się często pytanie: kto rządzi Anglią — parlament czy związki zawodowe?

Nie wszyscy demokratyczni socjaliści zdają sobie sprawę z faktu, że związki zawodowe nie mogą rządzić, ponieważ gdyby przejęły częściowo funkcje rządu przestałyby być związkami zawodowymi. Z chwilą gdyby TUC (Kongres Związków Zawodowych) stał się częścią składową rządu — trzeba by powołać do życia nowe związki zawodowe, które służyłyby wyłącznie i bez reszty obronie interesów robotniczych. Rząd bowiem — szczególnie w państwach socjalistycznych z wielkim sektorem gospodarki upaństwowionej — jest największym i najpotężniejszym pracodawcą i siłą faktu reprezentuje interesy pracodawcy a nie robotnika. Do perfekcji ów stan rzeczy doprowadzono w państwach komunistycznych przekształcając związki zawodowe w „transmisję rządu”, który jest jedynym pracodawcą i kapitalistą. W takiej sytuacji związki zawodowe zamiast bronić robotnika bronią kapitalisty.

Demokratyczny socjalizm nie polega na tym, że związki zawodowe przejmują funkcje rządu. Demokratyczny socjalizm polega natomiast na tym, że pomiędzy związkami zawodowymi a rządem konfrontacje zastępuje współpraca oparta o kompromis i negocjacje. Lecz pogląd, że interesy robotników są zawsze i bez wyjątku zbieżne z interesami rządu demokratyczno-socjalistycznego — jest naiwną utopią. Interesy pracodawców i pracobiorców w żadnym ustroju nie są zbieżne i dlatego w każdym ustroju niezbędne są w pełni niezależne związki zawodowe, które nie są ani rządem ani „transmisjami” rządu.

Prawdziwy socjalizm może złagodzić i w części zharmonizować interesy pracodawców i robotników — lecz wyjąwszy wojnę lub inną powszechną katastrofę — sprowadzanie interesów wszystkich grup społecznych do jednego bezkonfliktowego mianownika — byłoby możliwe tylko na drodze przemocy sankcjonującej krzywdę.

Do nadrzędnego interesu państwa odwołują się zawsze ci, którzy głoszą, że co jest dobre dla Forda — dobre jest i dla Ameryki. Nie jest pewne czy wszystko co jest dobre dla Forda dobre jest dla Ameryki — a jeszcze mniej pewne jest czy to, co jest dobre dla Forda, dobre jest dla robotników. Identyfikowanie interesów państwa z indywidualnym, egoistycznym interesem określonej firmy, grupy czy klasy społecznej — jest zarówno

przyczyną jak i skutkiem konfliktowego charakteru społeczeństw ludzkich.

Trzy zjawiska pozornie nie związane ze sobą wpływają wybitnie na kształtowanie współczesnego klimatu politycznego, społecznego i gospodarczego, klimatu, który powoduje pierwszy raz w dziejach frustrację w skali światowej.

Narody satelickie mają konkretne powody do frustracji. Lecz słuchając audycji radiowych, przez wiele godzin każdego dnia, muszę stwierdzić, że klimat frustracji i katastrofizmu obejmuje dziś całą Europę Zachodnią i Amerykę. Oczekuje się od lat kryzysu, bankructwa, upadku cywilizacji i demokracji. Równocześnie ludziom na Zachodzie nigdy się tak dobrze nie powodziło jak obecnie. Zapewniają nas kilkanaście razy dziennie w radio i w telewizji, że Anglia jest na skraju przepaści, bankructwa i chaosu. Lecz Brytyjczycy jedzą i piją, tak jak nigdy dotąd nie jedli i nie pili, miliony wyjeżdżają na urlopy za granicę, samochodów i telewizorów jest coraz więcej, nie mniejszość lecz poważna większość ludzi pracy dobrze zarabia, każdy miesiąc przynosi nową falę podwyżek płac — tak, że dobrobyt w gruncie rzeczy upowszechnia się z każdym miesiącem. Wydaje mi się, że nigdy dotąd w dziejach Zachodniej Europy — tak wielu nie powodziło się tak dobrze i równocześnie nigdy dotąd poczucie frustracji i katastrofizmu nie było tak powszechne.

Pierwszą przyczyną powyższego stanu rzeczy jest dewaluacja słowa pisanego i mówionego. Nikt nie bierze na serio słów polityków, ekonomistów, ekspertów. Środki masowego przekazu wyprodukowały inflację kryzysów. Słyszymy każdego dnia o kryzysie Watergate, o kryzysie na Cyprze, na Środkowym Wschodzie, w Wietnamie, w Brukseli, w NATO — oczywiście słyszymy o kryzysie we wszystkich gałęziach przemysłu, mówimy o kryzysie energetycznym, o kryzysie wywołanym zanieczyszczeniem przemysłowym powietrza, wody i ziemi a gdy powyższe tematy zostaną wyczerpane mówimy o kryzysie monetarnym, o kryzysie na giełdzie itd., itp. Jak to się więc dzieje, że przeżywając kilkadziesiąt kryzysów we wszystkich dziedzinach życia społecznego i gospodarczego — utrzymujemy równocześnie wysoką stopę życiową, a miliony samochodów krążących dniem i nocą po autostradach zachodniego świata zdają się wskazywać, że ropa naftowa nigdy nie płynęła obficie jak obecnie, gdy przeżywamy super-kryzys energetyczny.

Inflacja kryzysów prawdziwych i urojonych powoduje zjawisko, które nazwałbym indyferentyzmem informacyjnym. Ludzie słuchają potoków katastroficznych analiz i przepowiedni jak fantastycznego reportażu z innej planety.

Drugi punkt, na którym chciałbym skupić uwagę Czytelnika, dotyczy powolności myślenia. Owa zawrotna szybkość komunikacji nie dotyczy ludzkiego mózgu. Komputery wykonują skomplikowane obliczenia i analizy w czasie kilku sekund — człowiek podróżuje po przestrzeniach ziemi z szybkością dwukrotnie większą niż szybkość fali głosowej — lecz mózg ludzki pracuje rów-

nie wolno dziś jak dwa tysiące lat temu. Owa błyskawiczna i stale wzrastająca szybkość tak w zbieraniu jak i w przekazywaniu informacji w połączeniu z szybkością przenoszenia ludzi z kontynentu na kontynent powoduje, że ludzie zajmujący kluczowe stanowiska muszą podejmować niepomiernie więcej niż dawniej decyzji w niepomiernie krótszym czasie, mając do dyspozycji ten sam powolny mózg, którym posługiwali się ich pradiadawie w epoce dylizansu. W konsekwencji, niebezpieczeństwo płynące z wadliwie powziętych decyzji jest dziś proporcjonalnie większe niż dawniej. Bombardowanie mózgu ludzkiego rosnącą masą informacji oraz mylne przypuszczenie, że mózg ludzki w każdym następnym pokoleniu może być w tym samym stopniu sprawniejszy co komputery, których sprawność rośnie w olśniewającym tempie w każdej następnej dekadzie — wydaje mi się jednym z głównych źródeł frustracji. Powyższy stan można by nazwać „wyobcowaniem technologicznym” — przez co należy rozumieć fakt, że choć panujemy nad naszą technologią — rośnie przepaść pomiędzy możliwościami maszyn, które tworzymy — a możliwościami ludzkiego mózgu. Stale przybierająca na sile „epidemia” zawałów serca u mężczyzn, a ostatnio i u kobiet w wieku „menadżerskim”, tj. pomiędzy 45 a 55 rokiem życia — jest spowodowana napięciem i przeciążeniem mózgu i systemu nerwowego. Byłoby interesujące wiedzieć — czego prawdopodobnie nigdy się nie dowiemy — w jakim stopniu obecny światowy kryzys gospodarczy spowodowany jest obiektywnymi przyczynami, jak np. głodem paliw energetycznych, a w jakim procencie jest rezultatem rosnącej sumy błędnych decyzji pobieranych przez przeciążone, pracujące powoli ludzkie mózgi na szczeblach kierowniczych.

Wreszcie jako punkt trzeci i najważniejszy w analizie przyczyn frustracji należałoby wymienić problem moralny.

B. prezydent Nixon musiał odejść ponieważ stracił poparcie nie tylko swojej własnej partii lecz również swego gabinetu z dr. Kissingerem włącznie. Nixon kłamał, przekupywał, zmierzał do bezprawnego zatuszowania skandalu Watergate — lecz twierdził do końca, że działał w interesie Stanów Zjednoczonych. Najwyraźniej ujął to Ehrlichman, jeden z najbliższych jego współpracowników, który oświadczył, że są sytuacje kiedy moralność prywatna ustąpić musi przed moralnością wyższego rzędu, która reprezentuje interes publiczny.

Pomijając fakt, że zwolennicy „moralności wyższego rządu” nieodmiennie identyfikują swoje osobiste ambicje, egoizm i chciwość z interesem państwowym — przyjęcie zasady „moralności wyższego rządu” byłoby równoznaczne z akceptacją reguły, że cel uświęca środki — co tak w teorii jak i praktyce oznaczałoby negację wszelkiej moralności. Przyjęcie zasady „nadrzędnej moralności” likwiduje podstawową różnicę pomiędzy wolnym światem a komunizmem, ponieważ reguła, że cel uświęca środki jest do pogodzenia z totalizmem lecz jest w jawnej sprzeczności z demokracją.

Oczywiście wszędzie — nie wyłączając Anglii — zdarzają się przekupstwa. Bywało nawet, że minister kłamał premierowi i parlamentowi (afery Profumo) lecz żaden z tych panów, którzy zostali przykładnie ukarani, nie powoływał się na „moralność wyższego rządu”.

Nawet ci, którzy odrzucają religię i moralność płynącą z nakazów religijnych, nawet ci, którzy głoszą, że polityka nie ma i nigdy nie miała nic wspólnego z moralnością — w wyniku obiektywnej analizy muszą przecież dojść do wniosku, że demokracja nie może obejść się bez moralności. Obrona słabszego przed wyzyskiem i przemocą silniejszego dyktowana jest nie nakazami ekonomicznymi lecz nakazami moralnymi. Zasada, że wszyscy obywatele są równi w obliczu prawa i że każda grupa społeczna bez względu na jej zamożność, kolor skóry i religię posiada prawo do reprezentacji — wypływa z poczucia moralnego a nie z interesu ekonomicznego.

Choć zabrzmi to patetycznie — można rzeczowo stwierdzić, że stopień autentycznej demokracji jest wprost proporcjonalny do stopnia rozwoju poczucia moralnego danego społeczeństwa. Z powyższych przyczyn, każde działanie gwałcące podstawowe zasady moralne jest w istocie rzeczą antyspołeczne a tym samym antydemokratyczne.

W jednym z poprzednich artykułów przedstawiłem podobieństwa pomiędzy Chrześcijaństwem a demokratycznym socjalizmem. Kościół zapatrzony w wizję Chrześcijaństwa państwowego — przeoczył tę analogię i w rezultacie na przełomie wieków XIX i XX — utracił w znacznym procencie klasę robotniczą na rzecz świeckiego socjalizmu.

W XIX wieku nie Marks lecz kościół powinien był stanąć twarzą i bezkompromisowo w obronie dzieci i nieletnich pracujących w kopalniach i w przemyśle. Od Freuda wiemy, że „kompleks wina” manifestuje się często w dziwacznych przejawach. W jakim stopniu naiwna watykańska *Ostpolitik* wypływa z watykańskiego „kompleksu wina” w stosunku do klasy robotniczej?

Po ustąpieniu Nixona znaczna część prasy zachodniego świata z polską prasą emigracyjną włącznie — oceniała bilans jego polityki zagranicznej jako niezmiernie dodatni.

„Watergate” nie jest przedmiotem moich rozważań w tym artykule chciałyby jednak zwrócić uwagę Czytelnika na pewne charakterystyczne szczegóły, które mogły ująć jego uwagi. *The Guardian*, który dysponuje sztabem wytrawnych korespondentów w Waszyngtonie — doniósł w dniu 12 sierpnia bież. roku: że ustąpienie Nixona wymusiło czterech najbliższych jego współpracowników. W grę wchodziło dwóch jego doradców prawnych James St. Clair i Fred Buzhard oraz gen. Alexander Haig i Dr Henry Kissinger. Wszyscy czterej zagrozili, że jeżeli prezydent nie ustąpi, podadzą się natychmiast do dymisji i ujawnią

powody dla których złożyli swoje urzędy. Taśma magnetofonowa z dnia 23 czerwca stanowiła niezbity dowód, że Nixon zarządził tuszowanie afery Watergate szóstego dnia po dokonaniu włamania i przez dwa lata kłamał w czasie wszystkich konferencji prasowych i licznych wystąpień telewizyjnych. Lecz co najważniejsze okłamywał również tak swoich obu osobistych prawników jak i generała Haig'a i dr. Kissingera.

Nas w tej chwili interesuje tylko osoba dr. Kissingera w tym dramacie. Kiedyś zauważyłem na tych łamach, że nagły kryzys obnaża nawet najbardziej skrytych ludzi i umożliwia zrozumienie mechaniki ich postępowania lepiej niż obserwowanie ich przez tysiące tzw. „codziennych” dni.

Według *The Guardian* — dr Kissinger argumentował, że Nixon musi ustąpić, ponieważ przedłużający się kryzys prezydencki może zagrozić pozycji Breżniewa, który zaangażował całą swoją polityczną pozycję w dialogu z Nixonem. Prezydent winien ustąpić, by ratować swoje własne dzieło tj. politykę „odprężenia”. Breżniew — by przetrwać kryzys musi natychmiast otrzymać zapewnienie od nowego prezydenta, że polityka *détente* na jotę nie uległa zmianie. Natomiast proces sądowy i skazanie prezydenta byłoby nie tylko kompromitacją Nixona lecz również pociągnęłoby za sobą bankructwo *détente*, którego Breżniew politycznie by nie przeżył.

Powyższy argument okazał się decydujący, ponieważ Nixon pragnie przejść do historii nie jako prezydent, który podał się do dymisji — lecz jako twórca „odprężenia” i fundator pokoju dla następnych pokoleń.

Amerykański sekretarz stanu wykazywał czynną troskę i aktywnie zabiegał, by utrzymać w siodle sowieckiego satrapę, który wygnął Sołżenicyna. A przecież Sołżenicyn reprezentuje te wartości, których Kissinger, jako główny sternik polityki Zachodu — powinien bronić przed Breżniewem. Jak wiemy, Breżniew jest owych wartości nieprzejeźdanym wrogiem. Z drugiej strony trudno jest przyjąć pogląd, że Kissinger tego nie rozumie. Obecny Sekretarz Stanu jest uchodzącą z hitlerowskich Niemiec i został kilkakrotnie pobity przez hitlerowskie bojówki gdy jako chłopiec wracał ze szkoły do domu. Kissinger bardzo głęboko przeżył dramat drugiej wojny światowej a zwłaszcza zagładę milionów Żydów. Czy „Archipelag Gułag” nie przypomina mu hitlerowskich obozów koncentracyjnych? Czy historia nie wykpiła bezліtośnie wszystkich, którzy szukali „odprężenia” z Hitlerem? I czy Historia nie wykazała, że istnieje organiczny związek pomiędzy polityką wewnętrzną i zagraniczną? Jeżeli ktoś wyznaje zasadę, że cel uświęca wszystkie środki w polityce wewnętrznej — uznać należy za pewne, że tę samą zasadę stosować będzie również w polityce zagranicznej. Kissinger historyk — niewątpliwie rozumie to doskonale. Więc gdzie należy szukać klucza do jego rozumowania?

Wydaje mi się, że operatywnym słowem w tym problemie jest termin „pokój”. Dlaczego *Détente*? „Odprężenie” za każdą

cenę, ponieważ „odprężenie” nie ma alternatywy. Likwidacja *détente* oznaczałaby politykę konfrontacji, która każdej chwili przekształcić by się mogła w otwarty konflikt i wojnę. W porównaniu ze światową wojną atomową „Archipelag Gułag” to *Kindergarten*.

Tylko w ramach *détente* jest możliwe rozgrywać małe wojny bez wywołania światowego konfliktu zbrojnego. Kissinger sądzi, że gdyby Ameryka i Rosja wprowadziły politykę konfrontacji — każda mała wojna stanowiłaby zagrożenie dla pokoju świata. Jeżeli więc — mówiąc obrazowo — ceną za pokój jest popieranie Breżniewa a nie Sołżenicyna — powyższą cenę należy zapłacić, ponieważ nie ma innej alternatywy, względnie alternatywa jest tak przerażająca, że nie można nawet brać jej pod uwagę.

W moim przekonaniu *détente* nie zmniejsza ani nie zwiększa prawdopodobieństwa wojny. Dopóki Ameryka posiadać będzie możliwość atomowego odwetu — wojna rosyjsko-amerykańska jest maksymalnie nieprawdopodobna bez względu na losy polityki „odprężenia”. Nie konferencje na szczycie i wspólne fotografie Breżniewa z Nixonem, ale amerykański arsenał atomowy gwarantuje pokój.

Prof. Zbigniew Brzeziński z Columbia University w artykule pt. „Deceptive Structure of Peace” (*Foreign Policy*, Nr 14/1974) — oraz w artykule w *The New Leader* (sierpień 1974) — podobnie jak autorzy znakomitej pracy pt. „Detente: An Evaluation” (*Survey* No. 2/3 1974) — wykazali ponad wszelką wątpliwość, że polityka „odprężenia” sprowadza się do ratowania i podtrzymywania systemu sowieckiego. Sowiety nie muszą przeprowadzać żadnych reform czy liberalizacji, by unowocześnić swoją gospodarkę i swój model społeczny — ponieważ pomoc amerykańska sprawia, że stalinizm można utrzymywać bez reform, bez liberalizacji — w najczystszej totalitarnej formie.

Autorzy powyżej cytowanych prac przytaczają w tej sprawie dziesiątki przykładów. Z tej przerażającej galerii wybieram jeden, który wydaje się bardzo charakterystyczny.

Komputery, wysoko zaawansowana technologia elektroniczna — stanowią poważną bolączkę w systemie sowieckim. Liczne katastrofy wewnętrznych sowieckich linii lotniczych — zatajane przed opinią w Rosji i zagranicą — wskazują na prymitywizm komputerowej kontroli lotniczej. Lecz — jak wynika z informacji prof. Brzezińskiego — amerykański „Departament of Commerce” podjął wysiłki mające na celu unowocześnienie sowieckiego systemu kontroli sieci lotniczej. Amerykańskie komputery i technologiczny *know how* umożliwią Sowietom zorganizowanie sprawnie funkcjonującego „mostu lotniczego” powiedzmy na granicę chińską.

Jestem pewien, że polskiego Czytelnika — w przeciwieństwie do Amerykanów — nie ma powodu przekonywać, że *détente* jest polityką jednostronnych ustępstw ze strony Zachodu na rzecz Sowietów. Myślę natomiast, że dla polskiego Czytelnika interesu-

jąca może być próba odpowiedzi na pytanie dlaczego Amerykanie to robią?

Najczęściej spotykaną odpowiedzią na powyższe pytanie jest następująca: Amerykanie w większości są ignorantami w sprawach rosyjskich i dlatego ich politykę w stosunku do Sowietów jakże często cechuje naiwność. Coś w tym jest — niemniej termin „naiwny” nie pasuje do Kissingera. Doktor Henry Kissinger może mieć różne wady, ale naiwny na pewno nie jest.

Na krótko przed ustąpieniem z Białego Domu Nixon oświadczył, że „nie możemy mieszać się w wewnętrzne sprawy Sowietów (emigracja Żydów) — ponieważ nie chcielibyśmy, by ktokolwiek mieszał się w wewnętrzne sprawy Ameryki”.

Choć od zarania dziejów potężne państwa mieszały się zawsze w wewnętrzne sprawy państw słabszych — zasada nie-interferencji — choć powszechnie gwałcona — cieszy się międzynarodową *respectability*. Cały nasz problem z Rosją polegał i polega nadal na tym, że Rosjanie gwałcą powyższą zasadę w stosunku do nas.

Lecz najbardziej wzniosła zasada, która nie dopuszcza wyjątków — staje się niewykonalna, a często zgubna.

Wyobraźmy sobie dla przykładu, że w NRF pojawia się skrajnie prawicowy przywódca. Powstają paramilitarne organizacje, nowa partia umundurowana i zdyscyplinowana głosi totalizm i odwet, a demokracji w Niemczech grozi całkowita zagłada. Niemcy drą w strzepy wszystkie układy międzynarodowe i zbroją się atomowo.

Czy w powyżej naszkicowanej sytuacji należałoby wbrew niedawnym doświadczeniom historycznym trwać przy zasadzie „nie mieszać się w wewnętrzne sprawy” europejskiego mocarstwa? Osobiście jestem przekonany, że zarówno Rosja jak i Ameryka, zarówno Francja jak i Anglia nie dopuściłyby do powstania nowego faszystowskiego reżymu w Niemczech. Niemcy mają prawo żyć w spokoju i wolności bez interferencji z zewnątrz, lecz nie mają prawa po raz trzeci podpalać świata.

W gruncie rzeczy nie ma powodu sięgać po przykłady hipotetyczne, można bowiem zilustrować problem przykładem realnym.

Nie jestem zwolennikiem teorii, która głosi, że pod każdym łóżkiem w Anglii czy we Francji ukrywa się szpieg sowiecki. Nie można jednak zaprzeczyć, że Sowiety starają się infiltrować wszystkie instytucje i organizacje na Zachodzie. Sowiety nie kryją przed nikim, że *détente* w ich rozumieniu nie osłabia, lecz przeciwnie zaostrza walkę klasową w skali światowej. Celem tej walki — co również nie jest tajemnicą — jest obalenie nie tylko kapitalizmu lecz również ustrojów mieszanych — ponieważ wszystko co nie jest sowieckim komunizmem jest formacją burżuazyjną, którą należy zlikwidować.

Nie wierzę, by ludzie typu Breżniewa czy Kosygina byli ideowcami. Nie wierzę, by ich postępowanie było motywowane służbą dla wyższej sprawy. Breżniew jest pragmatykiem i imperialistą, który identyfikuje interesy Sowietów z interesem Rosji. Po jed-

nej stronie Rosja graniczy z wrogimi Chinami a po drugiej stronie z Zachodem, którego historyczna tradycja i struktura stanowią antytezę sowietyzmu.

Kreml uważał, że miniaturowa liberalizacja Dubczeka zagraża Sowietom — a coś dopiero mówić o wielkich demokracjach Zachodu. Sowiety infiltrują zachodnie organizacje i instytucje, dostarczają broni grupom terrorystycznym — nie w imię rewolucyjnych haseł tylko w imię tej samej polityki w imię której zgnetli liberalizację Dubczeka. Zachód zagraża Rosji nie militarnie lecz jako antyteza sowietyzmu, jako główna i centralna wylęgarnia wszystkich prądów i koncepcji wolnościowych, które zawsze i od początku stanowiły zagrożenie dla imperializmu rosyjskiego we wszystkich jego formach.

Sowiety realizując swoją politykę bezpieczeństwa usiłują nam narzucić sowietyzm. Sowietyzm nie polega wyłącznie na „dyktaturze proletariatu”, kołchozach, łagrach itp. Sowietyzm polega przede wszystkim na zdławieniu prawdy. Prawda stanowi istotę wolności. W Sowietach prawdą jest tylko to co za prawdę podaje Wielki Brat, wszystko inne jest fałszem. „Odprężenie” z Sowietami można osiągnąć tylko za częściową akceptację tej zasady. Politycy sowieccy i prasa sowiecka nigdy nie taili, że sabotują „odprężenie” ci, którzy bronią Sacharowa czy Sołżenicyna, którzy krytykują postępowanie władz sowieckich. Na to by kupić „odprężenie” z Sowietami nie musimy przekształcać naszych ustrojów na Zachodzie w systemy komunistyczne. Musimy natomiast przyjąć zasadę, że w sprawach imperialnej polityki Rosji prawdą jest tylko to co głosi Kreml. Przyjęcie tej postawy jest jedynym sprawdzianem życzliwego nastawienia w stosunku do Związku Sowieckiego.

Wydaje mi się, że Kissinger a przed nim Nixon — nie zdają sobie sprawy, że w ustroju demokratycznym nie jest rzeczą możliwą operowanie dwoma skalami oceny. Fakt, że 70 a może 80 % wykształconych Rosjan myśli inaczej niż Breżniew jest bez znaczenia — bo w Sowietach liczy się nie opinia społeczna tylko linia polityczna ustalana przez politbiuro. Lecz na Zachodzie liczy się przede wszystkim opinia społeczna — opinia wyborcy. Gdyby Nixon miał za sobą większość opinii społecznej urzędowałaby do dziś w Białym Domu.

Powołam się jeszcze raz na Sołżenicyna, który symbolizuje cały problem. Z jednej strony mamy świeżo w pamięci liczne fotografie w prasie i filmy w telewizji przedstawiające Nixona i Breżniewa w kordialnym nastroju w Moskwie i w Camp David. Z drugiej strony pamiętamy szczerze, serdeczne, entuzjastyczne przyjęcie jakie zgotowały Sołżenicynowi prasa, radio i telewizja zachodnia. W walce Breżniew kontra Sołżenicyn — nikt nie mógł mieć najmniejszej wątpliwości po czyjej stronie opowiada się opinia społeczna na Zachodzie.

Gdyby Sołżenicyn był tancerzem lub modernistycznym malarzem — sprawa miałaby inny charakter. Można by powiedzieć, że „król” wyrzucił niewygodnego „błazna”, jak to się wielokrot-

tnie zdarzało na przestrzeni wieków. Lecz Sołżenicyn stanął przed nami ze swym monumentalnym „Archipelagiem Gułag” jako analityk i oskarżyciel systemu sowieckiego — przy czym swój akt oskarżenia oparł na zachodniej i chrześcijańskiej skali moralnych wartości. Ironia sytuacji polega na tym, że Sołżenicyn budując swe oskarżenie w oparciu o nasze normy wartości — dokonał tego, co my winniśmy byli dokonać zamiast fraternizować się z Breżniewem i uprawiać „odprężenie” za każdą cenę.

Pisałem już na tych łamach kilkakrotnie, że oba super-mocarstwa nie mają właściwie polityk wewnętrznych w staroświeckim tego słowa znaczeniu — ponieważ wszystko co dzieje się w Rosji czy w Ameryce dotyczy całego świata. Wszystko jest polityką wewnętrzną z polityką *détente* włącznie. Pozorne sukcesy, deklaracje, spotkania na szczycie — to wszystko ma sens pod warunkiem, że można ową *détente* zdyskontować na wewnętrznym rynku amerykańskim.

Polska prasa emigracyjna bilans zagranicznej polityki „ery Nixona” oceniła niemal entuzjastycznie. Jednak w mojej opinii poza albumem fotografii Nixona z Breżniewem — polityka amerykańska w stosunku do Sowietów nie może się poszczycić żadnym sukcesem. Wojnę w Wietnamie Amerykanie przegrali i ta przegrana zrodziła pragnienie pozornego sukcesu. Gdyby Amerykanie wojnę w Wietnamie wygrali, nie byłoby potrzeby *détente* — nie byłoby potrzeby tłumaczyć wyborcom w Ameryce, że sukcesy „personalnej dyplomacji” ważniejsze są od obiektywnych faktów. W całej południowo-wschodniej Azji Amerykanie są w odwrocie. Tak reklamowana „personalna dyplomacja” Kissingera na Środkowym Wschodzie nie uchroniła wolnego świata przed klęską spowodowaną arabską polityką naftową. Ani w Grecji ani na Cyprze Amerykanie — jak dotąd — nie mogą również pochwalić się żadnym osiągnięciem.

Wojnę w Wietnamie należało skończyć, ponieważ Amerykanie nie byli w stanie tej wojny wygrać, tym bardziej, że znaczny procent społeczeństwa amerykańskiego kwestionował moralne założenia i metody tej wojny. Nie należało jednak „personalnej dyplomacji” Kissingera przedstawiać jako namiastkę zwycięstwa.

Rosjanie rozbudowują swoje zbrojenia na lądzie, na morzach i w powietrzu — niemniej, zwolennicy „odprężenia” usiłują nas przekonać, że dzięki polityce *détente* nic nam nie zagraża. Amerykanie usiłują wmówić w siebie, że tak jak „wygrali” w Wietnamie, podobnie — dzięki *détente* — nie mogą przegrać z Sowiecami.

Kissinger wierzy, że można zachować pokój poprzez przedłużenie „równowagi sił” i dlatego nie należy pogarszać wewnętrznej sytuacji reżymu sowieckiego, ponieważ ów reżym — choć może nam być antypatyczny — stanowi podstawowy element systemu równowagi sił. Sołżenicyn i Sacharow (i wszystko co ci ludzie reprezentują) — nie stanowią elementu równowagi sił lecz przeciwnie, zagrażają równowadze sił i polityce *détente*.

W rzeczywistości jednak *balance of power* nigdy nie jest syste-

mem tylko płynną i zmienną sytuacją. W obecnym okresie *balance of power* umożliwiła Sowietom rozbudowę ich potencjału militarnego w klimacie politycznego i moralnego moratorium stworzonego przez *détente*.

Lecz zawsze jawi się super-kwestia: jaka jest alternatywa? Należy stwierdzić otwarcie, że nie ma przed nami dobrej alternatywy. Jednak polityka energicznego powstrzymywania imperializmu Sowietów oraz kategoryczna odmowa kompromisu w sprawach zasad, na których zbudowana jest nasza chrześcijańska cywilizacja — tego typu alternatywa wydaje mi się daleko bardziej godna miana *Realpolitik* niż „odprężenie”, które w gruncie rzeczy jest odgrzaną i zawsze katastrofalną polityką *appeasement*.

Juliusz MIEROSZEWSKI

## Widziane z Brukseli

### KULT 150 JEDNOSTEK

„Kto, zdaniem Waszej Wysokości, zdolny jest wziąć Rangun?”, zapytano premiera.

„Lord Combermere”, odpowiedział bez wahania książe Wellington... Rzecz działa się na posiedzeniu rządu Wielkiej Brytanii w czasach rozkwitu imperium i chodziło o pewien epizod w aplikowaniu XIX-wiecznej wersji doktryny Breżniewa.

„Ależ Wasza Wysokość raczy chyba tkwić w błędzie, wykrzyknęli ministrowie. Wydawało nam się przecież, iż Wasza Wysokość raczy uważać Lorda Combermere za zupełnego wariata...”

„Tak, istotnie, to jest zupełny wariat, ale tylko on zdolny jest zdobyć Rangun...”

Żeby strawestować innego sławnego Anglika, nigdy jeszcze nikomu w tak wielkim skrócie nie udało się wyrazić trafniej istoty pojęcia „przywódca” i „przywództwo”. Do niedawna jeszcze żadna myśl nie była mi bardziej wstrętna niż zamiar wglębiania się w treść tego pojęcia. Poznałem bliżej dwie jego odmiany: *führerprinzip* i *kult licznosci* i mam zupełnie dosyć. Tym bardziej więc teraz, kiedy odczuwam nareszcie rozkosze życia bez przywódców, niepokojąco jawią mi się symptomy wyraźnego podniecenia u zachodnich politologów, socjologów i innych podejrzanych intelektualistów problemem przywództwa, zwanego na zachodzie *leadership*'em.

Z przywództwem jest jak z chorobami wenerycznymi. Nie wiadomo co to jest, tak długo dopóki się go na własnej skórze nie odczuło. To byłby pogląd pragmatyczny. Naukowo biorąc, definicje mogą być różne. Np. *Wielka Encyklopedia PWN* poucza

nas, że przywódca to taki „członek grupy społecznej, który dzięki specyficznym cechom osobowości narzuca innym członkom tej grupy swoje poglądy i przekonania, inicjuje, kieruje i zespala działalność grupy. Przywódca może działać na zasadzie dobrowolnego uznania swego autorytetu przez innych... lub też na zasadzie wyraźnej tendencji do dominowania, autorytatywności i przejmowania inicjatywy, niekiedy przez wzbudzanie lęku, wykorzystanie bierności i nieumiejętności podejmowania rywalizacji przez innych członków grupy...”.

*Oni to lubią...*

Czytelnikom *Kultury* nie trzeba wyjaśniać, dlaczego polska encyklopedia tak ostry akcent kładzie nie na „dobrowolność”, ale akurat na „tendencje do dominowania przez wzbudzanie lęku”. Definicje zrodzone z innych natchnień mają mniej dramatyczne akcenty i są mniej ambitne. Dla amerykańskiego profesora nazwiskiem Masotti, „przywództwo to taka rzecz, o której nie wiadomo, że jest niezbędna, aż do chwili kiedy jej zabraknie”. Harry Truman, znakomity prezydent, ale mało wyrafinowany (na szczęście dla USA) myśliciel określił to bardziej przystępnie. „*Leadership* — powiedział on — to zdolność nakłonienia ludzi do robienia czegoś, czego nie chcą i przekonanie ich, że oni to lubią”. Inaczej tę samą myśl wyraził Barney Frank: „Wielki przywódca to człowiek zdolny do przekonania innych ludzi, że ich interes polega na czymś zupełnie innym, niż im się do tej pory wydawało...”.

Czytelników bardziej zainteresowanych tematem odsyłam do źródła, jak np. „Elita władzy” Right Mills’a, lub „Dzieła Zebrane” Stalina, w kwestii roli jednostki w historii oraz rozprawy na temat błędów i wypaczeń tej samej jednostki. Cały dorobek tego okresu można by oddać słowami pewnego mędrca Wschodu, który stwierdził, że wielki przywódca to człowiek, który wysnuwa trafne wnioski z bogatego doświadczenia, które to doświadczenie zdobywa się wyłącznie poprzez stosowanie w praktyce fałszywych wniosków. Mimo, iż moje trafne wnioski zrodziły się z bogatego doświadczenia, zebranego poprzez stosowanie w praktyce mojego życia bardzo fałszywych wniosków i mimo, iż w myśl tej definicji powinienem być bardzo dobrym przywódcą, nie miałem do tej pory zamiaru narzucać się światu „na zasadzie dobrowolnego uznania autorytetu”, ani, broń Boże, „wzbudzania lęku”. Dopiero kiedy zapłakałem nad szeroko rozlaną wodą bredni, spowodowaną tzw. kryzysem *leadership'u*, postanowiłem przystąpić do akcji.

*Nowy szantaż: autorytet w kryzysie*

Otóż jest prawdą, że w tzw. wolnym świecie zmienia się stonkowo często garnitur ludzi sprawujących władzę. Jest to

tutaj sprawa normalna, więcej, jest to zjawisko pożądane i higieniczne. Pewien amerykański myśliciel zapytany o sprawę Watergate w kontekście rozważań o *leadership'ie* przytomnie odpowiedział: „Ameryka nie potrzebuje dziś przywódców charyzmatycznych\*, tylko przywódców uczciwych...”. Nie jest to może pogląd ambitny, ale rozszerzając to pojęcie, jakiś rodzaj prze-myślanego systemu zmiany przywódców (demokracja, powiedział Churchill, to fatalny system, ale nikt jeszcze nie wymyślił lepszego), to jedyna gwarancja, że świnia czy idiota demokratycznie wybrany *leader'em*, może zostać z tego *leadership'u* w skuteczny sposób odwołany.

Oczywiście, może być wprost przeciwnie. Jakikolwiek byłoby jednak wahania historii w tej kwestii, nic w dzisiejszym świecie nie świadczy o tym, aby w większym, niż np. przed 10 czy 15 laty, stopniu potrzebował on przywódców lub też aby ludzkość za nimi w specjalny sposób tęskniła. Nie wiadomo więc dlaczego najbardziej naturalne zmiany w państwach EWG, gdzie trzeba było odnowić dyrekcję bo przedsiębiorstwo szło do bankructwa, albo odejście Goldy Meir, która nie mogła sprostać zadaniu, nie mówią już o tym, że ma prawo do wypoczynku, albo odejście Nixona który pogwałcił konstytucję, dlaczego więc, powtarzam, naturalne zjawiska zużycia władzy i słabości ludzi, nazywają się teraz kryzysem autorytetu.

To nie takie proste. Wiadomo przecież, że jak kryzys, to wraczący naukowcy i rodzi się tzw. literatura przedmiotu. Otóż ponieważ każdy autorytet musi co jakiś czas zachwiać się, upaść, zawalić, obalić, skartłowaciec, zdegenerować się, ulec patynie czasu, wyblaknąć, nie wytrzymać ciosu historii, zdegradować, zdegradować, wytrzeć, zatrzeć, dotrzeć, zobrzydlawiec, zostać zakwestionowanym itd., więc literatura ta, zamiast po prostu powiedzieć, że — jak to wykazały kryzys naftowy, wojna na Cyprze, klęska nadprodukcji i klęska głodu, Watergate, inwazja Czechosłowacji, zasmrodzone miasta i zatrute rzeki, wyrzucenie Sołżenicyna i pucz w Chile — XX-wiecznym światem nie można rządzić za pomocą, głupich, nacjonalistycznych, XIX-wiecznych metod i wewnątrz XIX-wiecznych instytucji, więc ta literatura zamiast tego woła, że „to jest kryzys autorytetów”. Wszyscy wtedy wstrzymują oddech i szukają przywódcy.

*15 minut sławy*

Otóż, nowych przywódców nie ma i być nie może, z wyjątkiem naturalnie obszarów, gdzie to „na zasadzie wzbudzania lęku” wyjątkownie... Nie można być przywódcą skrojonym według nauko-

\* Według Kopalińskiego, charyzmat to przejaw łaski boskiej, lub w socjologii — szczególne właściwości przypisywane jednostce, rodzące jej autorytet u innych.



wych wzorów w warunkach, kiedy do najrozmaitszych środków zabijania prezydentów doszła np. śmierć z powodu prasy.

Można było od biedy być przywódcą jeszcze we Francji, gdzie prezydent umiera z niewiadomych powodów, nie można być przywódcą w USA, gdzie cały naród dowiaduje się natychmiast, że szef ma sraczkę, a tygodniki drukują analizę jego moczu. Dlatego nawiasem tylko mówiąc, fotografia Forda wskakującego do basenu nikogo nie razi, natomiast zdjęcie Giscarda czy Chiraca w tej samej pozie i w majtkach kąpielowych (Tarzany przy tym to oni nie są) jest po prostu śmieszne. Breżniew np. o tym wie i dlatego tylko zachodni czytelnik mógł oglądać przywódcę sowieckiego wyluwającego szampana, całującego dłoń Madame Brandt czy wskakującego w ramiona kowboja w San Clemente. Widz w ZSSR miał prawo tylko do jowiszowych póz i marsowej miny swego przywódcy.

Można było być przywódcą, kiedy rządziło się w tajemniczych gabinetach, wysyłało rozkazy przez umyślnych, kiedy cień władcy przesłaniał niebo chociaż on sam miał tylko 160 cm a ręce mu drżały przy nalewaniu wódki. Nie można być przywódcą kiedy makijaż i użębie kandydata decydują o wyborze prezydenta i kiedy już po wyborze nie można rządzić inaczej niż przez telewizję, chyba, że się wybierze definicję encyklopedii warszawskiej odnośnie „tendencji do wzbudzania lęku...”.

„Dzięki TV każdy będzie przez 15 minut sławny...”, powiedział ktoś. Nie powiedział jednak, że „tylko” przez 15 minut. To dotyczy także przywódców. Obywatel po 15 minutach przekręci gałkę, „nudzisz pan”, powie i koniec z charyzmą. Przed kilku laty rządził nami pewien facet w kalesonach ze sznurkami, ale nikt o tym nie wiedział i wszyscy drżeli ze strachu. Niech się dziś Ford pokaże z otwartym rozporkiem przed 100 milionami widzów i kolejny prezydent USA będzie się musiał podać do dymisji.

To po pierwsze. Po drugie zaś, być przywódcą to żaden interes, chyba, że i tak jest się Rockefellerem. W polityce zachodniej odbywa się w coraz większym stopniu selekcja ujemna. Najzdolniejsi, najbardziej przedsiębiorczy, samodzielni, itp. więcej z polityki do *bussines'u*, czyli tam po prostu, gdzie ich zdolności szybko i bez pudła obracają się w forszę. Są szanowani, nikt na nich psów nie wiesza i mogą chodzić na dziewczynki. A gdzie rozkosz rządzenia, upojenie władzą, pytają państwo. To są żarty a my bądźmy poważni. Czy można porównać władzę dyrektora General Motors, IBM, Shell'a ze śmieszną posadą premiera Belgii, Holandii czy Luksemburga, a nawet Francji, nie mówiąc już o Włoszech czy Anglii, i nie wspominając nawet o ministrach spraw zagranicznych tych krajów. Pewien teoretyk *leadership'u* obliczył, że proporcjonalnie biorąc w USA powinno dziś żyć „około 850 Jeffersonów i Madisonów”. Ale się ich nie doszukał. No, pewnie. Jefferson czy Madison byłiby dziś (i na pewno są), dyrektorami Boeinga czy Chase Manhattan Bank, albo inżynierami kierującymi przemysłem atomowym czy kosmicznym.

### Pod wodzą KMS

Oczywiście, nauka nie poddaje się bez walki, nie chce zrezygnować z *leadership'u* i charyzmy. Stąd bardzo zabawne wyniki bardzo poważnych inicjatyw. Znakomity tygodnik amerykański *Time* też wpadł w tę zasadzkę. Wymazał, jak zwykle świetnie z zawodowego punktu widzenia, ogromny, kolorowy *suplement*, gdzie, poza rozważaniami teoretycznymi (skąd zresztą zaczerpnąłem co smakowitsze cytaty) dwa działy zasługują na naszą uwagę, jako charakterystyczne dla wysokiego stopnia ogłupienia, jakie w przedmiocie *leadership'u* trafiają najświetlejsze nawet głowy.

Otóż *Time* zwrócił się do szeregu wybitnych myślicieli o zdanie na temat *leadership'u* jako takiego i *leader'ów* jako takich. Każdy z zapytanych ma, naturalnie, swój punkt odniesienia. P. Agnelli, właściciel zakładów FIAT wymienił jako przywódcę szacha perskiego, właściciela nafty, niezbędnej dla Fiata. Mortimer Adler, filozof amerykański wymienia Peryklesa, Churchilla i prawie cały poczet prezydentów USA. P. Barzini pisarz włoski, nie mógł nie wspomnieć o Cezarze, Lorenzo de Medici i Cavour. Dla amerykańskiego generała Bradley'a prawdziwym przywódcą był gen. Marshall. Inny generał, Gavin, wahał się między Mahometem, Jezusem, Leninem i Mao, ale wybrał ostatecznie Kennedy'ego. Pedagog amerykański Alexander Heard wymienił jednym tchem Luther Kinga, Hitlera, Ghandiego i Nehru. Historyk niemiecki Golo Mann przypomniał Roosevelta i Adenauera. Psychoanalityk amerykański Masserman — Pasteura, Salka, Konfucjusza, Ghandiego, Aleksandra Wielkiego, Jezusa i Buddę. Francuski filozof i publicysta Revel tłumaczy nam, że wielki przywódca, to człowiek, który ma oryginalne idee i potrafi narzucić je społeczeństwu. Idee te mogą być jednak wspaniałe albo okropne, przy czym przedstawicielem pierwszego typu przywódcy jest Epikur, a drugiego — Hitler. Raymond Aron, socjolog francuski odświeżył pamięć o Dżingis-Chanie i Fryderyku II pruskim, a historyk angielski Toynbee — o cesarzu chińskim Kao Tsu i cesarzu rzymskim Augustie.

O mnie *Time* niestety zapomniał i nie zapytał mnie o zdanie. Wybór nie byłby zresztą łatwy, bo panowie z ankiety *Time'u* wyczerpali większość stron z drugiej części małego Larousse'a, ale chciałem depeszować z własnej inicjatywy i wymienić jako przywódców Kisielewskiego, Mrożka i Słonimskiego, pod których kierownictwem życie na tym świecie byłoby równie beznadziejne, ale znacznie weselsze i inteligentniejsze, kiedy wzrok mój padł na wypowiedź prof. Marshalla McLuhana. Nie wszystkie jego nauki trafiały mi w przeszłości do przekonania, tym razem jednak musiałem skapitulować. McLuhan ma rację, jego wybór jest bardzo trafny nawet od mojego.

McLuhan wymienił mianowicie tylko jedną postać ale jaką! Chodzi o niesłusznie zapomnianego Siegfrieda Giedion'a szwajcarskiego teoretyka architektury. Jego podstawowa praca „Me-

chanisation Takes Command" (1948) jest studium instynktu śmierci u nowoczesnego człowieka, ze specjalnym uwzględnieniem sfery mechanizacji pakowania mięsa i pieczywa. Najbardziej — jak uzasadnia swój wybór McLuhan — emocjonującym momentem w życiu tego przywódcy było odkrycie amerykańskiego modelu fotela fryzjerskiego...

#### Cztery gwiazdy wschodu

Drugi dział *Time*'u zasługujący na naszą skupioną uwagę to 150 małych portretów, format: dowód osobisty, przekazujących nam twarze osób mogących pretendować w przyszłości do roli przywódczej w swych krajach. Jedyną wspólną cechą tej kolekcji potencjalnych *führer*'ów jest wiek poniżej 45 lat. Podstawowym kryterium selekcji był ich „*civic or social impact*”, co należałoby chyba przetłumaczyć jako „siła oddziaływania politycznego i społecznego”.

Mniejsza o wybór, nie mogłoby być dobrego wyboru, albowiem nie istnieją żadne poważne kryteria selekcji w tej dziedzinie. Niektóre z wielkich postaci historycznych odkrywały swe talenty przywódcze po ukończeniu 45 lat, inni okazywali się kretynami znacznie szybciej, od razu, za młodu, co zresztą nie przeszkadzało im rządzić, z charyzmą lub bez.

Próba *Time*'u nie zasługiwałaby więc na uwagę, gdyby nie była znamienna dla pewnego zjawiska politycznego, które istniało i dawniej, ale dziś nabiera wprost chorobliwych cech. Chodzi tu o całkowite i pogardliwe lekceważenie przez Zachód ludzkiego i intelektualnego kapitału społeczeństw wschodnich. Miałem już w poprzednim numerze okazję do wykazania, jak dalece skurczyło się na Zachodzie pojęcie Europy. Kiedy, może państwo pamiętając, władza pułkowników greckich popełniła samobójstwo przez ucyprzenie się, Zachód wykrzyknął: „No, to jeszcze zejdzie Franco i cała Europa będzie demokratyczna”. Takie stwierdzenie oznacza albo-albo. Albo, że na Wschodzie dawno już zwyciężyła prawdziwa demokracja, albo że Zachód ma kraje wschodnie głęboko w dupie.

Przepraszam za dwuznacznik, ale pogarda dla wszystkiego co na Wschodzie zakłócać może spokojny sen zachodnich burżujów a przede wszystkim tzw. lewicy, pogarda zresztą samobójcza dla Zachodu, który likwiduje w ten sposób ostatnie nadzieje u ludzi, zdolnych ewentualnie, w razie co, do nawiązania jakiegoś sensownego dialogu z resztą świata, jest także, a jakże, obecna, w ankiecie *Time*'u.

Na 150 przyszłych *leader*'ów świata, tylko czterech *Time* odkrył na Wschodzie. Oczywiście, *Time* jest za mądry aby strzelić taką brednię bez próby wytłumaczenia. Píše więc, że ubóstwo drużyny wschodnio-europejskich kandydatów do *leadership*'u wynika „ze specjalnego charakteru przywództwa w totalitarnych krajach”. No i co z tego? Czy, mimo tego „specjalnego charak-

teru” rzeczywiście było niemożliwe odnaleźć w Polsce, Rosji czy Czechosłowacji inteligentnych rektorów, inżynierów, pisarzy, menagerów, poniżej 45 lat odpowiadających mniej więcej tym samym kryteriom, które zastosowane zostały przy selekcji pozostałych 146 osób?

Ale najgorsze dopiero idzie. Należy bowiem przyjrzeć się kto według selekcjonerów *Time*'u godzien jest wejść ze wschodu w poczet proroków jutra. Oto oni.

Nr 66: *Abel Aganbegdzan*, 42 lata, ekonomista, dyrektor Instytutu Ekonomii Przemysłowej w Nowosybirsku. Znak szczególny charyzmy: odznaczony orderem Lenina. Powinien wywrzeć wybitny wpływ na skomputeryzowanie metod prognozy ekonomicznej i na kształtowanie się długofalowego planowania w ZSSR.

Nr 87: *Dżerman Gwiszani*, 45 lat, zastępca przewodniczącego Komitetu Nauki i Techniki ZSSR. Znak szczególny charyzmy: zięć Kosygina i długoletni staż na wysokim stanowisku w KGB.

Nr 102: *Walentyna Tiereszkowa*, 37 lat, pierwsza kobieta w kosmosie. Znak szczególny charyzmy: Tiereszkowa jest według *Time*'u *fantastic martinet*, to znaczy po prostu, po kaprałsku, służbista, i to ją predystynuje do stanowiska w KC lub w rządzie.

Nr 94: *Stefan Olszowski*, 42 lata, polski minister spraw zagranicznych. Znak szczególny charyzmy: jedyny facet z kapeluszem w rękę na zdjęciach *Time*'u. Tygodnik tłumaczy, że Olszowski, jako protegowany Moczara, został przez Gierka usunięty z sekretariatu KC po nieudanym puczu w 1971 roku i mianowany ministrem spraw zagranicznych, to znaczy na stanowisko pozbawione politycznego znaczenia. Niemniej, píše przewidujący *Time*, Olszowski utrzymał miejsce w Politbiurze i powinien na nowo wejść między gwiazdy.

#### Trzecia strona medalu

Przypuśćmy na chwilę, że ktoś chciałby poważnie potraktować ankietę *Time*'u i np. inspirować się nią przy wyborze taktyki politycznej czy kontaktów, przy podejmowaniu decyzji. Co dobrego może wyjść z tej pułapki? Nic, ale na szczęście nikt tego nie potraktuje poważnie. Z dwóch rzeczy jedna. Albo *Time* powinien był — tak jak to zrobił w odniesieniu do Grecji — nie wymieniać nikogo, a więc milczeć, a nie dawać światu za przykład charyzmy zza Elby KGB-owski staż Gwiszaniego czy prowincjonalny oportunizm Olszowskiego. Albo mógł pójść po linii najtrudniejszej i postarać się odnaleźć w ZSSR, Polsce, Rumunii czy Czechosłowacji ludzi bardziej reprezentatywnych dla tradycji, myślenia, aspiracji, nastrojów i siły oddziaływania — to znaczy posiadających te cechy, które mają wszystkie pozostałe 146 osoby, wybrane przez *Time*, a nie takie, których

charyzma polega na wydarzeniach w Gdańsku czy spokrewnieniu z premierem.

Pierwsza wersja zakładałaby przyznanie się do ignorancji i eliminowałaby z kręgu rozważań *Time*'u połowę cywilizowanego świata. Ale byłaby uczciwa. Druga wersja wymagałaby inteligencji, wysiłku, pieniędzy. Ale byłaby odważna.

*Time* wybrał trzecią wersję. Najgorszą, bo żadną. Nieważne, „Time Building” w Nowym Jorku się od tego nie zawali. Ważne natomiast z czego to wynika.

Otóż wydaje mi się, że Zachód nie jest po prostu w stanie zrozumieć totalitarnej władzy, np. opadu po aferze Watergate. Ameryka ciągle jeszcze sądzi, że prasa sowiecka nie pisała o skandalu Watergate, albowiem nie chciała zaszkodzić Nixonowi, którego Breżniew uważał za najdogodniejszego partnera do podziału świata. W istocie jednak, nawet jeżeli w tej kondominialnej interpretacji jest coś z prawdy, to dyskrekcja wschodnia na temat Watergate wynikała przede wszystkim z tego, iż nie można otwarcie powiedzieć w ZSSR, że przywódca tej klasy i tej charyzmy co Nixon, który „dzięki specyficznym cechom osobowości narzucił innym swoje poglądy, działając na zasadzie dobrowolnej czy na zasadzie strachu”, został wyrzucony z posady przez dwóch młodych reporterów i jednego odważnego redaktora naczelnego.

To się nie mieści w głowie, tak się wobec przywódcy nie postępuje. Kula, trucizna, zamach na Kremlu, 300.000 żołnierzy Paktu Warszawskiego, rewolta dokerów, to co innego, ale gazety?! Stąd, a nie tylko z głupoty czy na polecenie Biura Prasy KC, wschodnia propaganda doszukiwała się w Watergate tajnych spiskowych nici, intryg syjonistycznych, kompleksu wojskowo-przemysłowego, masonów, maoistów. Nikt przytomny w Moskwie nie mógł się bowiem zgodzić z ideą, że prezydent najpotężniejszego państwa na świecie, mający do dyspozycji CIA, FBI, wojsko, itd. został zmuszony do dymisji przez opinię publiczną tylko dlatego, że pogwałcił konstytucję.

To nie jest żaden powód do dymisji, z takich powodów prawdziwi przywódcy nie odchodzą. Jeżeli bowiem pominąć zmiany przywódców wynikłe z zejścia ostatecznego, to, jak dotąd, wschód wypraktykował trzy sposoby. Pierwszy, to zwyczajny pucz pałacowy, tak jak to było z Chruszczowem, który wrócił z urlopu, aby dowiedzieć się, że się źle czuje i że jest stary. Drugi sposób, to gniew mas. Padają wtedy ofiary, policja strzela, jak w Poznaniu czy Gdańsku, rząd grozi obcinaniem rąk i zlikwidowaniem siatki dywersyjnej, ale w końcu szef wylatuje, jak Gomułka, na którego można zwalić całą odpowiedzialność, reszta zostaje u stołu i prowadzi dzieło aż do następnego gniewu. Trzeci sposób to bratnia interwencja z zewnątrz. Budapeszt 56, Praga 68, komentarze zbyteczne. Jest co prawda jeszcze sposób czwarty, kiedy to Dubczek zastąpił Novotnego, ale nie przypuszczam aby któryś z charyzmatycznych przywódców na Wschodzie chciał jeszcze z niego skorzystać.

### Marsjanie w KGB

Otwierając swój dodatek specjalny *Time* cytuje wypowiedź pewnego dziennikarza nazwiskiem Brower, który zauważył, że gdyby dziś wylądowali Marsjanie i poprosili przechodnia: „Zaprowadź nas do twego przywódcy”, to mieszkaniec ziemi nie wiedziałby dokąd gości skierować.

Nieprawda. Marsjanie nie głupi, nikogo by o nic nie pytali. Kupiliby *Time* i kierując się amerykańskim rozpoznaniem, zwróciliby się do Gwinszanego. Od razu byłoby po krzyku.

Zostaliby na Łubiance. Z *Time*'m w rękę.

BRUKSELCZYK

Pisane 3 września 1974

## POLSKA KSIĘGARNIA ORBIS

Przedstawicielstwo *KULTURY* i INSTYTUTU LITERACKIEGO  
na Wielką Brytanię.

Wykonujemy zamówienia pocztowe na wszystkie książki polskie,  
angielskie i rosyjskie.

Zawsze na składzie duży wybór książek.

Prosimy o odwiedzenie naszego sklepu podczas pobytu w Londynie.

Katalogi książek i polskich płyt gramofonowych wysyłamy na żądanie.

W dziale antykwarycznym posiadamy szereg wyczerpanych tytułów  
Instytutu Literackiego.

ORBIS BOOKS (LONDON) LIMITED,  
66, KENWAY ROAD, LONDON, S.W.5. ORD. — ENGLAND.  
Tel.: 370-2210.

## Sąsiedzi

### Z «Archipelagu» na «Kontynent»

ROZMOWA Z W. E. MAKSIMOWEM

— Władimir Emelianowicz, porozmawiajmy o kwartalniku którego pan jest redaktorem. Może najpierw informacje elementarne: siedziba redakcji, objętość, wydawca, mutacje obcojęzyczne...

— Na siedzibę redakcji przewidujemy chwilowo Londyn, nie wykluczone jednak że zmieni się to w przyszłości. *Kontinent* będzie kwartalnikiem. Miałbym ochotę i tu dorzucić słowo „chwilowo”, naszą ambicją jest przejść po pewnym czasie na miesięcznik. Objętość: od 350 do 450 stron. Używa pan słusznie, mówiąc o wydaniach obcojęzycznych, określenia „mutacje”. Planujemy cztery: angielską, niemiecką, francuską i włoską. Mutacje w tym sensie, że każda będzie miała do własnej dyspozycji „lokalnej” trzecią część numeru. Pozostałe dwie trzecie będą powtórzeniem rosyjskiego oryginału kwartalnika, ale też nie zawsze. Może się na przykład zdarzyć, że jakiś utwór czy esej nieznanый czytelnikowi rosyjskiemu jest już dostępny w języku danej mutacji; w takim wypadku redaktor odpowiedzialny za nią pominie go lub zastąpi czymś innym, korzystając z naszych sugestii i propozycji. Zresztą tylko mutacja niemiecka wychodzić będzie co kwartał, równocześnie z oryginałem rosyjskim; trzy pozostałe dwa razy do roku. Wydawcą całości jest stara firma niemiecka *Ullstein-Propyleen*.

— Czy pan wie, że koncern prasowo-wydawniczy Ullsteina był niegdyś, przed dojściem Hitlera do władzy, czymś w rodzaju azylu dla komunistów i *poputczików* niemieckich? Pisze o tym

w swoich pamiętnikach Koestler, również wyścigowiec z dawnej ullsteinowskiej stajni.

— Nie wiedziałem. To dla mnie nowość, dość zabawna nowość. W każdym razie *Propylee* kupił Springer, on więc w praktyce jest naszym wydawcą. Żeby skończyć z techniczną stroną imprezy: istnieje tendencja zaczepienia poszczególnych mutacji o wydawców „lokalnych”; we Francji interesuje się *Kontynentem* Gallimard, we Włoszech Mondadori.

— Jaki jest udział Sołżenicyna w *Kontynencie*?

— Ogromny. To on wymyślił dla pisma nazwę. Mimo że zagrzebany po uszy we własnym pisarstwie, bardzo uważnie śledzi naszą pracę redakcyjną. Jestem z nim w stałym kontakcie, osobistym lub telefonicznym. Ustaliliśmy jako zasadę, że w każdym numerze *Kontynentu* czytelnicy znajdą *ineditum* Sołżenicyna. Poza tym otworzy nam część przynajmniej swojego bogatego archiwum; w drugim numerze damy niezmiernie ciekawe dokumenty i stenogramy z dni rewolucji, nigdzie i nigdy dotąd nieogłoszone drukiem.

— Uderza brak w Komitecie redakcyjnym takich nazwisk jak Czalidze czy Jaurès Miedwiediew. Czym to tłumaczyć? Niechętnym stosunkiem do postawy religijnej pana i Sołżenicyna? Formacja Czalidze-Miedwiediew (nazwijmy ją tak dla skrót) zdaje się odwoływać do Sacharowa, jakby przeciwstawiając go Sołżenicynowi, zwłaszcza od chwili gdy zareagował polemicznie na sołżenicynowski *List do przywódców sowieckich*. Z drugiej strony, Sacharow jest przecież członkiem komitetu redakcyjnego *Kontynentu*.

— Właśnie. Najlepszy dowód, że linia podziału przebiega inaczej; i że postawa religijna nie ma tu nic do rzeczy. Ujmę sprawę krótko, i naturalnie z konieczności ją upraszczając, bo istotę różnicy może jedynie unaocznic numer po numerze bardziej drobiazgowo nasza działalność. Według formacji Czalidze-Miedwiediew ustrój nie jest w zasadzie zły, wymaga natomiast pewnych poprawek. W naszym przekonaniu nic poza fundamentalnymi przeobrażeniami nie zmieni sytuacji i nie usunie zła, które tkwi w głębi samego ustroju. Sacharow jest z nami. W drugim numerze ukaże się jego powitanie kwartalnika.

— Lada dzień wyląduje na szwajcarskiej ziemi Niekrasow. Liczycie na jego współpracę, albo może nawet na jego doszlusowanie do *Kontynentu*?

— Niekrasow podziwia Sołżenicyna, ja jestem z nim w przyjaźni i cenię go wysoko jako pisarza. Ale nie potrafię jeszcze powiedzieć co postanowi po spotkaniach z nami.

— W Komitecie redakcyjnym jest paru przedstawicieli sta-

rej emigracji rosyjskiej. Zastanawiam się jakim okiem spojrzę na *Kontynent* Nabokow...

— Dość prawdopodobne, że życzliwym. Znamienny był jego artykuł w obronie Bukowskiego na łamach londyńskiego *Observer'a*. Na mój list odpowiedział w sposób zachęcający, zobacz się z nim wkrótce.

— *Ruskoje zarubieże* ma kilka *tolstych żurnalow*: paryski *Wiestnik*, nowojorski *Nowyj Żurnat*, londyński *Nowyj Kołokoł*, frankfurckie *Grani*. Nie przesłoni ich teraz *Kontynent*?

— Zależy nam na pluralizmie czasopiśmiennictwa rosyjskiego na obczyźnie. Każde z wymienionych przez pana czasopism ma swoje miejsce i spełnia swoją rolę, nie widzę zatem powodu do obaw że *Kontynent* zepchnie je w cień. Siłą rzeczy nasz kwartalnik będzie w znacznej mierze przyciągał rękopisy z ZSSR, zamierzamy też — jak pan dobrze wie — drukować teksty pisarzy z krajów Europy Środkowo-Wschodniej i, od czasu do czasu, ważniejsze teksty pisarzy zachodnich. Ja sam, nie chcąc jako redaktor obciążać zbyt pismami własnymi niedrukowanymi utworami, obiecuję sobie niektóre z nich ogłosić gdzie indziej.

— Stosunki z monachijską radiostacją *Swaboda*?

— Żadnych.

— W Komitecie redakcyjnym, prócz Rosjan oraz pisarzy i publicystów zachodnich, są trzej Polacy, jeden Jugosłowianin i jeden Czech. Ale nie wolno zapominać co w roku 1970 pisał podziemny kijowski *Wisnyk*, oskarżając *Kronikę bieżących wydarzeń* o „uzurpowanie sobie pozycji ponadnarodowej i wszechzwiązkowej”. Niech pan posłucha: „Odnosi się wrażenie, że członkowie rosyjskich grup opozycyjnych dążą co prawda do radykalnych zmian w wielu dziedzinach życia publicznego, lecz jeśli idzie o kwestię narodowościową pragną w takiej czy innej formie zachowania *status quo*”. Nieżyjący już pisarz węgierski Tibor Szamuely tak skomentował to gorzkie oświadczenie Ukraińców: „I tu docieramy do zgubnej słabości Ruchu Praw Obywatelskich. Jego adherenci są i liberałami i Rosjanami. Stają śmiało w obronie prawa Żydów do emigracji i prawa Tatarów do powrotu na Krym, i na tym koniec ich zaangażowania w problemy narodowościowe. Ani jedno ani drugie żądanie nie podważa w niczym *status quo*”. Nieobecność, powiedzmy, Ukraińców czy Bałtów w Komitecie może narazić *Kontynent* na podobne postrzeżenia.

— Byłyby to podejrzenia skierowane pod niewłaściwym adresem. Jeżeli w Komitecie redakcyjnym nie ma Ukraińca czy Ukraińców, to wyłącznie dlatego że nie udało nam się jeszcze trafić do odpowiednich osób. Komitet jest otwarty, będzie rozszerzany i uzupełniany w miarę rozwoju pisma. Nie mówię na wiatr:

nawiązaliśmy niedawno kontakt ze znanym pisarzem litewskim Merasem, któremu pozwolono wyemigrować z Kowna; począwszy od drugiego numeru, będzie w Komitecie reprezentował prowizorycznie wszystkich Bałtów. Inny przykład. W pierwszym numerze drukujemy fragment wspomnień kardynała Mindszenty; czulibyśmy się zaszczytzeni, gdyby na stronicach *Kontynentu* zechciał wystąpić kardynał Slipyj.

— Docieramy do Polaków...

— Przerwę panu wspomnieniem. W roku 1960 przyszedł do mnie w Moskwie oficer KGB. Usiadł i z punktu groźnym tonem na ty: „Słuchaj, Maksimow, zjawi się u ciebie wysłannik polskiego miesięcznika w Paryżu *Kultura*. Radzę ci jak ojciec synowi: nie pakuj się w to”. Nie zjawił się żaden „wysłannik”, ale dowiedziałem się w ten sposób o istnieniu *Kultury* paryskiej...

— Teraz ja panu przerwę. W roku 1960 wyszedł pierwszy rosyjski numer *Kultury*. Bardzo możliwe, że jemu zawdzięczał pan wizytę.

— Tak, możliwe. W każdym razie, dowiedziawszy się o istnieniu *Kultury*, zacząłem o nią rozpytywać przyjaciół. Kilku słyszało, i dobrze. Ktoś miał na krótko w ręku numer, nie pamiętam już: polski czy rosyjski. Sporo ludzi w Moskwie czyta po polsku. Mnie się w poszukiwaniach nie powiodło: nie widziałem w ZSSR ani pierwszego, ani drugiego numeru rosyjskiego *Kultury*. Pozwolono mi z Moskwy wyjechać w lutym tego roku, w dniu banicji Sołżenicyna. Wyjechałem z jednym gwoździem w głowie: założyć pismo. Napisałem do Sołżenicyna. Odpisał listem, w którym było między innymi takie zdanie: *Ja dumaju, Wam objazatielno nada swiazatsia s poliakami iz „Kultury”, s emigraciej wengierskiej i czeskiej...* Wybrałem się do Maisons-Laffitte, poznałem Giedroycia. Resztę pan zna.

— Materiały polskie w *Kontynencie*?

— Wie pan o nich równie dobrze jak ja, skoro razem z Giedroyciem i Czapskim należy pan do komitetu redakcyjnego. Ale rozumiem, że jest to pytanie na użytek czytelnika. W pierwszym numerze ukaże się przysłany z Warszawy do *Kultury* artykuł o *Liście do przywódców sowieckich* Sołżenicyna. Do drugiego dostałem przed chwilą końcowy rozdział pierwszego tomu historii marksizmu Kołakowskiego. Podzielamy całkowicie — mówię to też na użytek czytelnika — stanowisko *Kultury* i chcielibyśmy drukować jak najwięcej materiałów polskich. Interesują nas nie tylko artykuły, eseje, opowiadania i wiersze (dodam w nawiasie że Brodskij, członek naszego komitetu redakcyjnego, znakomicie tłumaczy poezję polską): rozmiary *Kontynentu* są tak pokaźne, że można również myśleć, tradycyjnym wzorem rosyjskich *tolstych żurnalow*, o powieściach. Moi polscy

przyjaciele i znajomi bardzo pochlebnie wyrażają się o *Cudownej melinie* Orłosa...

— Z pana wypowiedzi w *Encounter* i w *Le Point* widzę, że zaczął pan powoli, i często nie bez przykrego zdziwienia a nawet rozczarowania, eksplorację zachodniego świata intelektualnego.

— Widzi pan, to jest tak. Rozmawiam z kimś i mimochodem wtrącam, że zbliżyłem się do pewnego środowiska. Rzadka mina, grymas niesmaku: za mało na lewo. I nie wie biedaczek, że w tym środowisku tak samo wybrzydzą się na niego. Z początku znosiłem to cierpliwie, ale ostatnio wybuchnąłem: zdecyduję się nareszcie *кто із вас левіеје*. Cała ta licytacja lewicowości odbywa się pod znakiem antyfaszyzmu, pomijając na ogół równanie proste dla mnie, pisarza rosyjskiego świeżo przybyłego z Moskwy: komunizm to faszyzm.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

## W sowieckiej prasie

Wszyscy Europejczycy odwiedzający Stany Zjednoczone, a później piszący o swoich podróżach, koniecznie chcą „odkrywać” nowy świat. Sowietcy podróżnicy nie stanowią tu wyjątku. Z tą tylko różnicą, że do Ameryki jadą wyłącznie ludzie zaufani i dlatego wszyscy oni, na każdym poszczególnym etapie widzą jedno i to samo: robią — jakby to można było powiedzieć — kolektywne odkrycia. W latach 30-tych „odkrywali” amerykańską rzeczowość, technikę, „serwis”; w czasie wojny — naiwny, ale uczciwy naród, bezgranicznie kochający Sowiety i jego wodza „Uncle Joe” (dziennikarzy sowieckich specjalnie rozczulało, że właśnie Amerykanie tak familiarnie nazywają wielkiego i mądrego wodza). Po wojnie pisano tylko o McCarthym, o bezrobociu w USA, i o apologetach zimnej wojny.

Zapoznawszy się bieżącą produkcją sowieckich podróżników po Stanach Zjednoczonych, z pewnym zdumieniem stwierdziłem, że dzisiaj piszą oni głównie o Zbigniewie Brzezińskim. W swoim czasie znanego aktora filmowego, Erica von Stroheima, reklamowano jako „człowieka którego lubicie nienawidzić”. Sowietcy dziennikarze uwielbiają nienawidzić Zbigniewa Brzezińskiego.

Czołowy dziennikarz sowiecki, Jurij Żukow, poświęcił ogromny artykuł w miesięczniku *Znamia* książce Zb. Brzezińskiego pt.

„Between two ages — America's role in the technetronic era”. Cytując najwyżej dwa zdania na raz, i do tego robiąc jeszcze skróty, Ju. Żukow udowadnia z niebywałą łatwością, że amerykański profesor, dyrektor Instytutu do Spraw Komunizmu, był i jest „antykomunistą i antysowiecki”, że marzy on o wprowadzeniu reżymu „żelaznej ręki” itp., itd. Omawianie książki Brzezińskiego przez Żukowa jest na tyle nieuczciwe i fałszywe, że łatwo można uwierzyć w prawdziwość podanej przez niego rozmowy z Brzezińskim (dziennikarz sowiecki jest niezmiernie dumny, że „osobiście” zna tak zajadłego wroga komunizmu): „Brzeziński powiedział: — 'Gdy czytam wasze artykuły o moich pracach to rośnie moje ciśnienie'...”. Żukow zarozumiał dodaje: „No cóż, jestem gotów by i tym razem przydać się dyrektorowi od spraw komunizmu”. Nie ulega wątpliwości, że po przeczytaniu kolejnego opusu Żukowa, prof. Brzezińskiemu znów podniesie się ciśnienie, chociaż odważnie oświadczył: „Doktorzy mówią, że to jest dla mnie pożyteczne”.

Aleksander Krywickij, jest dziennikarzem mniej znanym niż Żukow, ale również zaufanym. Serię jego szkiców publikuje *Litieraturnaja Gazieta*. Krywickij zaczyna mówić o Brzezińskim już w San Francisco. W Berkeley rozmawia z prof. Paul Zinnerem i gdy z miejsca, z pamięci, cytuje mu artykuł Brzezińskiego z angielskiego periodyku *Encounter* (możliwe, że obecnie w Moskwie wymaga się od wyjeżdżających do USA zdawania „egzaminów” z Brzezińskiego), prof. Zinner z rozpaczą wykrzyknął: „Ależ dał się wam we znaki Brzeziński! Zrobiliście z niego diabła...”. Ale Kriwickij wie co robi: po przybyciu do New Yorku „osobiście” wysłuchuje odczytu Brzezińskiego (widać, że mimo wszystko nie jest on jednak tak zaufanym jak Żukow, gdyż nie otrzymał pozwolenia na „osobiste” poznanie Brzezińskiego). Posiadając — jak widać — ukryte literackie ambicje, Kriwickij daje artystyczny portret „diabła”: „Chudy, blade, z drobnymi, ptasimi rysami twarzy, Brzeziński równo, prawie bez pauz, wygłosił odczyt...”. Trzeba przyznać, że w tym portrecie jest nutka niezwykłej dla sowieckiego dziennikarza męskiej zawiści: „antysowiecki” i „trubadur konwergencji” jest szczupły, a zwolennicy odprężenia obrośli tłuszczem.

Najlepszy jednak jest wniosek Krywickiego: „Oni (to jest Brzeziński, Zinner, sowietolodzy) znajdują się w czołowej grupie reakcji, w roli „teoretyków”. Ale jednocześnie „środowisko, w którym poruszają się działacze typu Brzezińskiego czy Zinnera, to przede wszystkim inteligencja liberalna i studenci”. Innymi słowy — inteligencja liberalna i studenci są reakcją.

Dobrze wiadomo, że tam gdzie jest reakcja nieuniknienie istnieją i siły postępu. Siły postępu, ci których dzisiaj dziennikarze sowieccy kochają bezgranicznie, to „dalekowidzący kapitaliści”, np. prezydent Bank of America, Thomas Klausen, albo — powiedzmy — „mister Kendall — wielki biznesman, który posiada interesy w licznych sferach handlu i przemysłu (to on właśnie handluje w USA sowiecką wódką!). Kriwickij rozpił

z Mr. Kendallem butelkę wódki, przywiezioną z Moskwy i wyszedł od biznesmana uspokojony: „Sprawa pokoju i przyjaźni znajduje się w dobrych rękach” (*Litieraturnaja Gazieta*, Nr 33).

Korespondenta moskiewskiej telewizji i radia w Waszyngtonie, Jurija Soltona, uspokoił osobiście prezydent amerykańsko-sowieckiej handlowo-ekonomicznej Rady, Harold Scott (do Rady tej wchodzi, jak pisze korespondent, „tak znane w świecie *business*’u osobistości jak: David Rockefeller, Armand Hammer, przewodniczący General Motors, przewodniczący Spółki Dupont). Prezydent Harold Scott oświadczył moskiewskiemu korespondentowi wyraźnie: „Amerykańscy byznesmeni są do tego stopnia opanowani ideą ekonomicznej współpracy ze Związkiem Sowieckim, że w ich głębokim przekonaniu nic nie może przeszkodzić postępowi w rozwoju tej współpracy”. Prawda, ku żalowi Harolda Scotta, którym podzielili się z moskiewskim korespondentem, w USA „istnieje opozycja przeciwko takiej współpracy, w Kongresie i jeszcze gdzie indziej” (Brzeziński?). Ale sfery przemysłowe są za. To „opętanie amerykańskich biznesmenów” do tego stopnia zachwyciło sowieckiego dziennikarza, że triumfalnie zakończył: „Takie są nastroje dzisiejszej Ameryki, albo ściślej — większości Amerykanów...” (*Litieraturnaja Gazieta*, Nr 34).

Zupełnie nie wykluczone, że z początkiem nowego roku szkolnego sowieckim uczniom zaczną się wbijać do głowy, że właśnie David Rockefeller, General Motors i Dupont — reprezentują rzeczywiste interesy narodu amerykańskiego. Tym bardziej że, jak pisze ten sam Jurij Solton, „namiętności wywołane dymisją Richarda Nixona bardzo szybko uległy uspokojeniu. Życie toczy się normalnym torem”. Ostatnią nadzieją państwa sowieckiego są amerykańscy miliarderzy „opętani pragnieniem budowy komunizmu”.



Kolejnym krokiem w tym kierunku — w kierunku budowy komunizmu — jest opublikowanie w USA 2-go tomu *Pamiętników Nikity Chruszczowa*: pt. „Chruszczow wspomina. Ostatni testament” (nawiasem mówiąc nie jest to ostatni tom, bo przygotowuje się trzeci). Sprawa materiału wykorzystanego w książce została — jak mi się wydaje — wyjaśniona: pamiętniki składają się z tekstu nagranych przez Nikitę po jego dymisji. Nagrywał on nie za dużo i nie za mało — bo 180 godzin. We wstępie do książki mówi się jak rozpoznawano głos byłego pierwszego sekretarza przy pomocy chytrej maszyny „Voice Print” (taką maszynę mieli skonstruować bohaterzy „Pierwszego Kręgu” w szarazce — ale widocznie im się to nie udało, gdyż sowieckie organy chcą ją teraz zakupić w USA). Głos był rzekomo dokładnie rozpoznany w 175,5 godzinach, a prawdopodobnie — w ostatnich 4,5 godzinach. Jak tam jest z tą maszyną — nie wiem, ale kompilatorzy 2-go tomu zamieścili 30 stron tekstu rosyjskiego, spisane go z taśmy. I tu, myślę, że nikt nie będzie miał wątpliwości: tylko Chruszczow mógł mówić tak niekulturalnie, tak chaotycz-

nie, gubiąc się i powtarzając, a jednocześnie przejawiając nieprzeciętną chłopską chytryść i spryt w obchodzeniu wszystkich drażliwych zagadnień. Załączony tekst rosyjski pozwala z jednej strony stwierdzić autentyczność chruszczowowskich wypowiedzi, a z drugiej przekonać się, że te wypowiedzi były preparowane, przełożone i przedstawione tak, by wytworzyć określone wrażenie nie tylko o Chruszczowie, ale i o innych wodzach Związku Sowieckiego.

Ze stronic książki — rozbitej na tematyczne rozdziały i przełożonej bladym i postnym językiem — wyłania się portret dobrodusznego, mądrego, ostrożnego, chociaż skłonного do pewnego nieopanowania męża stanu, który lubi pożartować, pośmiać się, zabawić. Główną troską tej postaci to pokój i odprężenie, dobrobyt własnego narodu i kraju. Czytelnik, który nie zna historii, może dojść do wniosku: jeśli Chruszczow — pierwszy postalinowski leader, a do tego czasami krytykujący niektóre postęпки Stalina — był tak dobrym człowiekiem, to następni leaderzy muszą być jeszcze lepsi.

Dla czytelnika znającego historię ostatnich 55-ciu lat, książka ta jest również interesująca. Przede wszystkim dlatego, że pozwala zrozumieć w jaki sposób i jakie informacje otrzymuje sowiecki przywódca, na których opiera się potem podejmując decyzje. Pamiętniki demaskują wąskość i uprzedzenia w poglądach na świat zarówno zewnętrzny jak i na swój własny kraj. Przysłowie rosyjskie mówi: „To co u trzeźwego w myślach, u pijanego na języku”. Chruszczow nawet trzeźwy mówi czasami niezmiernie ciekawe rzeczy, po prostu nie podejrzewając, że może być inaczej. Opowiadając np. o najwybitniejszym sowieckim konstruktorze samolotów, A. Tupolewie, Chruszczow wspomina, że Tupolew przesiedział w więzieniu 5 lat pracując przez cały ten czas nad projektami samolotów dla armii sowieckiej. Chruszczow nie potępia Stalina — po prostu mówi, że nie zna powodów dla których Stalin kazał aresztować konstruktora. Pragnąc jednak zaznaczyć różnicę pomiędzy sobą a zmarłym dyktatorem dodaje, że już w latach 50-tych przyszedł do niego Tupolew z prośbą, by skreślono jego wyrok z rejestru kar. Na co dobry Nikita odpowiedział: „Dobrze, towarzyszu Tupolew, my tę sprawę zbadamy. Myślę, że możemy zarządzić, by zniszczono dokumenty o waszym aresztowaniu, tak abyście w przyszłości nie musieli o tym wspominać w ankietach”. W ten sposób konstruktor znakomitych TU otrzymał odpowiednią nagrodę: Pozwolono mu nie wspominać o latach, które niewinnie spędził w więzieniu.

Znaczna część książki poświęcona jest światu zewnętrznemu, krajom satelickim, Chinom, państwu zachodnim i tzw. „trzeciemu światu” — krajom, w których Chruszczow był, lub o których słyszał.

Wydaje mi się, że specjalnie interesujące w *Pamiętnikach* są stronic (jest ich ponad 50), poświęcone Polsce i stosunkom polsko-sowieckim. Wynika to nie tylko z tego, że Chruszczow, jako wieloletni sekretarz KC sąsiedniej Ukrainy, znał Polskę ale

i dlatego, że „wydarzenia które miały miejsce w Polsce (Chruszczow ma na myśli wydarzenia 1970 roku) są dla nas lekcją”. Polsko-sowieckie stosunki są przedstawione w książce jako swoisty model stosunków między ZSSR i uzależnionymi od niego krajami.

Nie są to stosunki takie jak między bratnimi narodami, są one oparte na bezpośrednim kontakcie pomiędzy wodzem (Stalinem a potem Chruszczowem) a zaufaną osobą w tym czy innym kraju. Zaufaną osobą nigdy nie jest pierwszy sekretarz „bratniej partii”, jest ona jednak zawsze albo bardzo blisko źródła władzy, albo dążąca do władzy. W rozmowach Stalina z pierwszymi sekretarzami były i takie, z których wódz nie zawsze był zadowolony; tak było nie tylko z Mao Tse-tungiem. Nawet Bierut w czasie rozmowy ze Stalinem (w obecności Chruszczowa) zaczął „głośno myśleć czy nie moglibyśmy zwrócić Polsce Lwowa: naród polski, a specjalnie nasza inteligencja byłoby szczęśliwi, gdyby Lwów stał się z powrotem częścią naszego państwa”. Jednak Chruszczowa takie „głośne myślenie” irytuje, tym więcej, że — jak twierdzi — „nie ma żadnych podstaw etnograficznych i historycznych do roszczeń Polaków w stosunku do Lwowa”.

Innym razem Bierut poprosił o Panoramę Raclawicką. I znów Chruszczow był przeciwny, chociaż Stalin się zgodził. Cytując ten epizod Chruszczow dodaje: „Miałem rację, w 1968 roku moje obawy potwierdziły się. Wystawiono w Warszawie historyczny dramat Mickiewicza, który wywołał antyrosyjskie okrzyki i hasła”. Tego rodzaju rozmów nigdy nie było z „zaufanymi osobami”, ich rola sprowadzała się jedynie do dostarczania „informacji”.

Informacji o Chinach, tj. o działalności i zamiarach Mao, dostarczał Stalinowi członek chińskiego Politbiura Kao Kang, którego z jakichś powodów Stalin wydał Mao Tse-tungowi (Kao Kang został otruty czy uduszony). O Albanii donosiła Lira Beliszowa (zamordowana przez Enwer Hodżę), w Rumunii „naszym całkowitym zaufaniem i szacunkiem cieszył się Emil Bodnara”, itd.

„W Polsce naszym najbliższym i najbardziej oddanym nam przyjacielem był w tym czasie w kierownictwie (Chruszczow mówi o latach 50-tych) towarzysz Zawadzki”. Za Stalina najwierniejszym i najbardziej oddanym informatorem była Wanda Lwowna Wasilewska. Po śmierci wodza narodów stała się ona informatorem Chruszczowa. Złowieszcza rola tej kobiety w historii powojennej Polski czeka na swego historyka. Jej informacje, jej charakterystyki, w wielu wypadkach wpływały na politykę Stalina, a później Chruszczowa.

Byłoby jednak niesprawiedliwe całkowite niedoceniecie dyspozycyjności i oddania pierwszych sekretarzy. Chruszczow wspomina z zadowoleniem „dobre czasy Bieruta”, Kadara, który „szczerze oświadczał”, że węgierski naród jest zadowolony z pobytu sowieckich wojsk na Węgrzech i nie chce aby ich kraj opuścili. Nawet marsz. Tito przyjemnie rozczarował Chruszczowa żądając natychmiastowego wprowadzenia wojsk sowieckich na

Węgry dla zdławienia kontrrewolucji. Ale Chruszczow, tak jak i Stalin, woli mieć do czynienia z tajnymi agentami. Szczerostwo byłego pierwszego sekretarza nie powinna dziwić: wykorzystywanie „zaufanych osób” jako głównej bazy wpływów sowieckich w podległych im krajach, wydaje mu się tak naturalne, że problemy, powiedzmy, ideologiczne czy moralne nie przychodzą mu zupełnie do głowy. Zagadnienia moralne wysuwa natomiast Chruszczow w tych wszystkich wypadkach gdy mówi o sowieckiej „pomocy” dla innych krajów. Cała jego książka jest przeniknięta jedną myślą: naród sowiecki bezinteresownie i z poświęceniem pomaga innym narodom. W rozdziale o Indiach czytelnik znajduje świetną formułkę, która wyjaśnia wszystko: „Zaproponowaliśmy Indiom pomoc ekonomiczną i technologiczną. Może ktoś zapytać: 'A co Hindusi dadzą nam w zamian? Ma się rozumieć oni nic nam w zamian dać nie mogą — z wyjątkiem wdzięczności'”. W swoim cynizmie to zdanie może konkurować z najbardziej bezwstydnymi wypowiedziami Stalina. Ale Chruszczow coraz to do tej myśli nawraca. Okazuje się na przykład, że po wojnie „gdy Ukraińcy puchli z głodu, a nawet były wypadki kanibalizmu, Związek Sowiecki dostarczał zboża Polsce”. Wanda Wasilewska wracając z Warszawy potwierdziła, że Polacy jedzą rosyjski czarny i biały chleb i — niewdzięcznicy — jeszcze skarżą się, że im przysyła się za mało białej mąki. Chruszczowa irytuje ta niewdzięczność narodów korzystających z hojności Związku Sowieckiego, dochodząca do tego, że nie rozumieją one iż dla Związku Sowieckiego „utrzymywanie swoich wojsk za granicą jest rzeczą bardzo kosztowną, ale za to wygodną dla tych państw, na których terytoriach nasze oddziały się znajdują. Wygodną, gdyż państwo sowieckie zapłaciło Polakom za koszary, które dla nas wybudowali”.

Nie ma wątpliwości, że przez 10 lat przebywania u władzy Chruszczow wiele zrobił kierując się przede wszystkim zasadami walki o władzę. Ale także nie ulega wątpliwości, że *Pamiętniki* nie dają żadnych podstaw do budowania kultu „skruszonego komunisty”, dobrego, serdecznego bolszewika. Bardzo często wśród ostrożnych stwierdzeń, w niektórych osobistych niedopatrzeniach, w nie mniej ostrożnych oskarżeniach wysuwanych pod adresem Stalina, objawia się Nikita Sergejewicz Chruszczow z 1938 roku — drapieżny, stalinowski wilczek, który twierdzi: „Nasza ojczyzna idzie bez zatrzymywania się stromą drogą do komunizmu... My, towarzysze, zniszczyliśmy dostatecznie wielu wrogów, ale jeszcze nie wszystkich”. Ten miraż szczęśliwej przyszłości, do której „my” dojdziemy „zniszczwszy wszystkich wrogów” stał przed oczami Chruszczowa do ostatnich chwil jego życia.

Spotyka się jeszcze niezycliwych ludzi, twierdzących, że w Związku Sowieckim jakoby nie ma swobody dyskusji. W rzeczy-



wistości istnieje temat, który swobodnie porusza się już od pół wieku: Co zrobić z alkoholizmem, który stał się narodową plagą? Od czasu do czasu dyskusja taka wybucha, gazety i czasopisma otwierają swe łamy dla listów świata pracy i dla wypowiedzi lekarzy. Dwa lata temu, w 1972 roku, Rada Ministrów powzięła nawet specjalną uchwałę: „Wytyczne w sprawie wzmocnienia walki z alkoholizmem i pijaństwem”. Niektóre jej rezultaty już dzisiaj znamy. W niedawno wydanej przez Biuro Statystyczne ZSSR pracy pt.: „ZSSR w cyfrach w 1973 roku” podane są — o dziwo! — cyfry konsumpcji napojów alkoholowych w ZSSR. Za punkt wyjścia przyjęto rok 1940. Po 25-ciu latach sprzedaż zwiększyła się o 283 %, w 1970 — o 439 %, a w 1973 — o 534 %. Można by z dumą powiedzieć, że i w tej dziedzinie Związek Sowiecki prześcignął rozwinięte kraje kapitalistyczne. Listy publikowane w gazetach (w chwilach kiedy wydaje się polecenie rozpoczęcia swobodnej dyskusji) zawierają wielką ilość recept do walki z alkoholizmem. Niedawno wystąpiono z wnioskiem zorganizowania specjalnych „trzeźwych osad”-kolonii, w których byłaby wprowadzona prohibicja. Proponuje się i środki mniej radykalne: nauczenie narodu rosyjskiego picia wódki rozwodnionej (tak jak to robią niekulturalni Amerykanie czy Anglicy), obniżenie przez państwo mocy wódki i stopniowe doprowadzenie jej do 15-25 %, itd. Ale wśród listów potępiających alkoholików znalazłem sprzeciw jednego z tych, który nie potrafi patrzeć trzeźwym wzrokiem na świat. W odpowiedzi na stawiane mu zarzuty odpowiedział: „A dlaczego wódkę sprzedają?” Pytanie to nie jest tak naiwne, jak mogłoby się wydawać. Rewolucja Październikowa zwyciężyła w kraju, w którym istniała prohibicja, wprowadzona przez rząd carski zaraz po rozpoczęciu 1-szej wojny światowej. Ale jak tylko skończyła się wojna domowa bolszewicy, którzy bezlitośnie potępiali reżym carski za „pijany budżet”, oskarżający caryzm o „rozpijanie narodu” postawili z miejsca sprawę wprowadzenia monopolu spirytusowego. Sam Lenin, osobiście domagał się tego latem 1920 roku. W październiku 1924 roku zaproponował wprowadzenie monopolu wódczanego Stalin. I monopol został wprowadzony. W owym czasie niektórym wydawało się to rzeczą wstydliwą i zadecydowano, by w pierwszym okresie produkować wódkę niskoprocentową — o mocy 20 %. Nazywano ją „rykowka” od nazwiska przewodniczącego sovietu komisarzy ludowych, Aleksieja Rykowa, który podpisał dekret. I który w wielkich ilościach sam konsumował ten produkt. Jak widzimy, propozycja wprowadzenia „lekkiej” wódki jest propozycją powrotu do zaruconego eksperymentu, gdyż bardzo szybko zaczęto produkować wódkę normalną — 40 %-ową. A w marcu 1927 roku Stalin jasno przedstawił pogląd władzy sowieckiej na wódkę: „Co lepsze: wyzysk kapitału zagranicznego, czy wprowadzenie wódki — taki problem stanął przed nami. Jest zrozumiałe, że zdecydowaliśmy się na wódkę, gdyż uważaliśmy, i nadal uważamy, że jeśli dla zwycięstwa proletariatu i włościństwa trzeba troszeczkę ubrudzić się błotem, to

zdecydujemy się i na ten radykalny środek w imię interesów naszej sprawy”.

Zdawałoby się, że dzisiaj „wyzysk kapitału zagranicznego” nie przestrasza już sowieckich przywódców. Ale nadal z wielkim powodzeniem kontynuują oni błocenie się — sprzedaż wódki rośnie z dnia na dzień. Można przypuszczać, że rozpijanie narodu jest w interesie jeśli nie państwa, to jego kierowników.

Adam KRUCZEK

## Kronika białoruska

### BIAŁORUSKIE CZASOPISMA NAUKOWE NA ZACHODZIE (1)

W ciągu ostatnich lat 60-ciu białoruski ruch kulturalno-narodowy zrobił olbrzymie postępy. W okresie pierwszej wojny światowej jedynym bodaj wydawnictwem białoruskim na Zachodzie była wydana przez Związek Wyzwolenia Ukrainy w Wiedniu 30-stostronicowa broszurka M. Bogdanowicza *Białoruskie Wiodrodżenne*. Obecnie, w szeregu krajów na trzech kontynentach istnieją białoruskie związki, kluby, ogniska, chóry itp., wydawane są różnego rodzaju druki jednorazowe lub periodyczne, powstają biblioteki i czytelnice, oraz mniej lub więcej zasobne fundacje popierające te poczynania.

Do znalezienia się na Zachodzie tysięcy narodowo uświadomionych Białorusinów w znacznej mierze przyczynili się mniej lub więcej świadomie Niemcy i Polacy. Pierwsi przez masowe wywożenie ludności z okupowanych terenów; część jej następnie uzyskała status *Displaced Persons*. Drugi przez umożliwienie znalezienia się na Zachodzie pewnej ilości Białorusinów, deportowanych na Wschód. Pomimo zasadniczych sprzeciwów władz sowieckich, generał Anders nie zamykał przed Białorusinami dostępu do swego korpusu. Cmentarz w Monte Cassino i inne cmentarze włoskie stwierdzają, że lojalnie spełniali oni swe obowiązki żołnierskie. Po wojnie jednak drogi wielu dawnych towarzyszy broni się rozeszły. Współczesne wydawnictwa białoruskie raz po raz określają działaczy narodowo-kulturalnych jako „andersowców”. Wobec natężenia nastrojów szowinistycznych po obu stronach, należy się obawiać, że ich związki z dawnymi kolegami Polakami uległy znacznemu rozluźnieniu. A przecież, poza formą językową, różnice w ich poczynaniach i pracy są minimalne, czy nawet żadne. I jedni i drudzy urządzają obchody w rocznice Kostusia Kalinowskiego, Kościuszki czy Mickiewicza oraz cieszą się ze światowych sukcesów Olgi Korbutówny, rodaczki z Grodzieńszczyzny. I jedni i drudzy nienawidzą Sowiety i przeciwstawiają się moskiewskiemu zakusom imperialistycznym. Niestety jednak, w poczuciu wielu Białorusinów różnice pomiędzy „nowoczesnymi Polakami” a Moskalami nie są duże i nie zawsze wypadają na korzyść pierwszych. Szczególnie wśród Białorusinów prawosławnych. Jeśli nawet istnieją jakieś obiektywne podstawy takiego poczucia, nie należy zatracać skali porównawczej oraz historycznej perspektywy.

Nie ulega wątpliwości, że przeciętny Białorusin więcej wie o sprawach

polskich, niż przeciętny Polak o białoruskich. Dla wielu czytelników *Kultury* wiadomość o białoruskich wydawnictwach NAUKOWYCH będzie rewelacją, a przecież omawiane w nich zagadnienia często interesują Polaków nie mniej niż Białorusinów. Weźmy dla przykładu ostatnio ogłoszony zeszyt *Zapisów Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuki\**. Instytut ten, podobnie jak jego polskie odpowiedniki, walczy z trudnościami materialnymi i jego *Zapisy* wychodziły niezbyt regularnie. Pierwsze sześć zeszytów, o ogólnej objętości 24 arkuszy druku, ukazały się w latach 1952-54 w Nowym Jorku. Po ośmiolatej przerwie, w latach 1962-70, wyszło dalszych pięć zeszytów w Monachium o ogólnej objętości 130 arkuszy druku. Obecny, 10-cioarkuszowy, zeszyt jest kontynuacją obu poprzednich serii i nosi kolejny numer 12. Ukazał się, przy poparciu finansowym fundacji im. Piotra Kreceuskiego w Nowym Jorku, pod redakcją kolegium złożonego z Ant. Adamowicza, Jana Zaprudnika i Wit. Kinela, z Wit. Tumaszem na czele. Zawiera cztery rozprawy; szereg wspomnień i not; studium dokumentarne o krzyżu wykonanym w 1161 w Połocku przez miejscowego złotnika na zlecenie księżny Efrosinii-Pradsławy, a na początku lat 30-tych „zagubionym” w Sowietach; poradnik bibliograficzny dla studiów białorusoznawczych w nowojorskiej bibliotece publicznej; oraz recenzje z kilkunastu prac ogłoszonych na Białorusi lub zagranicą o zagadnieniach białoruskich.

Z rozpraw — na zupełnie przyzwoitym poziomie — czytelnika polskiego zainteresują szczególnie dwie: redaktora naczelnego o prawdopodobnej konfiskacie w 1520 (po wydaniu przez Leona X bulli, potępiającej herezję Lutra) przez Inkwizycję we Wrocławiu egzemplarzy Biblii, wydrukowanych przez Franciszka Skorynę w języku starosłowiańskim (białoruskim) w Pradze Czeskiej i przesyłanych do Wilna, i R. Maksimowicza o zatargu dyplomatycznym, powstałym w Warszawie w 1646 z powodu użycia w nocy do Moskwy formy „Samodzierzcy”, a nie „Samodzierzcu”:

Posłowie moskiewscy twierdzili, że forma „Samodzierzcy” implikowała liczbę mnogą, czyli zaprzeczała autokratycznemu charakterowi władzy carskiej, i domagali się ukarania śmiercią osoby winnej takiej zniewagi carskiego majestatu. Senatorowie Rzplitej zaklinali się, że zwrot „Samodzierzcy” został użyty bez żadnej ubocznej myśli, a tylko z powodu niedostatecznej znajomości przez pisarza języka *ruskiego*, i dla uniknięcia dalszych nieporozumień proponowali aby na przyszłość noty do Moskwy pisane były w języku polskim. Posłowie moskiewscy na to się nie zgodzili, twierdząc, iż od dawna zostało przyjęte, że listy królewskie do „wielkiego gosudaria pisane są *białoruskim* pismem” i zmieniać tego zwyczaju nie należy. Ostatecznie zatarg jakoś załagodzony i język *białoruski* — zwany w Rzplitej „ruskim” — był w dalszym ciągu używany w korespondencji dyplomatycznej z Moskwą.

Trzecia rozprawa J. Zaprudnika omawia sowiecką koncepcję historii W. Ks. Litewskiego. W czwartej Olga Arechwa pisze o ideach niezależności narodowej w poezji Janki Kupały.

Ze wspomnień najobszerniejsze i bodaj najbardziej interesujące są wyjątki z większej pracy Adama Warłygi o ludowej tradycji i obyczajach w niezbyt odległym od stron rodzinnych Floriana Czernyszewicza, zakątku powiatu borysowskiego, „Koreńszczyźnie”. Dowiadujemy się z nich, że pańszczyzna została tam wprowadzona dopiero po rozbiorach Rzplitej i ludność miała nadzieję, że Napoleon ją zniesie. Pamięć o Francuzach, czy nawet Szwedach, była tam wciąż żywa do początków bieżącego stulecia. Przywiązana do swej mowy ludność wyśmiewała zarówno polonizmy jak rusycyzmy, przy-

\* *Zapisy* wydaje Białoruski Instytut Nauki i Mastactwa (Byelorussian Institute of Arts and Sciences). No. 12, N. York 1974 (3441 Tibbett Avenue, Bronx, New York, N.Y. 10463), str. 160. Cena dol. 5,00.

swajała jednak niektóre nowe wyrazy, zniekształcając je dość ucieśnie. Po jubileuszach „lat świętych” 1800 i 1825 pozostały „bialewusz” i „bialewuszowe krzyże”. Z wyprawy któregoś z Zygmunatów na Smoleńsk przetrwała do początku XX wieku zabawa ludowa „Zalimon”. Starcia między kulturą polsko-katolicką a rosyjsko-prawosławną uległy zaostrzeniu po 1905, następnie zaś sprawy się skomplikowały z powodu rozwoju ruchu białoruskiego. Zakładanie szkółek białoruskich było popierane przez niektórych księży katolickich „Żmujdzinów”, zwalczane przez innych. Interesująca i w pewnym stopniu zabawna była historia szkoły w Koreniu, na którą, jak pisze Warłyga, „polscy 'endecy’, siedzący z partyjnymi legitymacjami w Mińsku”, mieli już oko od 1923 roku. Pod pretekstem, że miejscowa ludność była przeważnie „polsko-katolickiej wiary”, spolonizowali oni tę szkołę na początku lat trzydziestych i dopiero w 1935 „z mowy polskiej znów przeszła ona na białorusko-rosyjski żargon”.

Interesujące i zabawne są również wspomnienia Jazepa Maleckiego o poszukiwaniu latem 1942 wraz z Niemcami z Ostlandu w Rydze, Litwinów na Oszmianszczyźnie. O kilkanaście kilometrów na wschód od Wilna miała mieć miejsce wówczas następująca rozmowa z dwoma chłopcami, pracującymi przy drodze:

— „Jak wasze nazwisko?” — po rosyjsku zapytał von Baumgartel.

— „Łabaczy”.

— „Jakiegoście wyznania?” — „Katolicy”.

— „A jakiej narodowości?” — „Tutejsi”, powiada jeden, „Polacy” poprawia drugi.

— „A jak rozmawiacie w domu?” — „Po prostemu”.

— „A jak modlicie się w kościele?” — „Po polsku”.

— „Czy wiecie coś o Litwinach?” — „Wiemy, do naszego sąsiada przyjechało dwóch policjantów”.

— „A czy koło was mieszkają Litwini?” — „O tym nie słyszeliśmy”.

W dalszym ciągu wspomnień jest opisany szereg innych rozmów, m.in. z „ojcem błagoczynnym Juzwiakiem” w Holszanych, z córką Ferdynanda Ruszczyca w Bohdanowie, oraz wieśniakiem na targu w Oszmianie. Ten miał powiedzieć:

„Litwinów szukacie? Na całej Oszmianszczyźnie nie o nich nie słyszałem i ich nie widziałem. Podobno w Oszmianie jest jeden szewc 'Litwin'. Możecie go poszukać i z nim pogadać, aby się dowiedzieć skąd jest rodem. O innych nie wiem”.

Po powrocie do Wilna, wspomina Malecki, „Niemcy podziękowali mi za współpracę i dobry wynik naszej wyprawy”, ale w niecałe dwa miesiące później rejonj Krewa, Oszmiana, Swir i Smorgonie zostały oficjalnie włączone do Komisariatu „Litauen”.

Następna po tej historii krótka nota o chrześcijańskich świątyniach w Wilnie, podpisana kryptonimem R. M. [aksimowicz?], jest mniej zabawna i raczej przykra. Po ustaleniu, że w 1511 było w Wilnie 14 cerkwi prawosławnych oraz 8 kościołów katolickich (w tym dwa dla Niemców), nie nie wspominając o Unii Brzeskiej, autor pisze, że za Rzplitej wzrastała w Wilnie ilość kościołów, zaś po rozbiorach — cerkwi, i w końcu z wyraźną satysfakcją stwierdza:

„Ostatecznie przed pierwszą wojną światową stosunek powrócił do stanu z początku XVI wieku. Z chrześcijańskich świątyń, których było wówczas w mieście około 50, dwie trzecie były cerkwiąmi prawosławnymi a jedna trzecia kościołami katolickimi”.

Sądzę, że nie trzeba być wojującym katolikiem czy wrogiem prawosławia, aby po przeczytaniu tej noty odczuć pewien niesmak.

Wrzesień 1974.

Wiktor SUKIENNICKI

## Kronika czeska i słowacka

### *Katyń w oczach czeskich*

O Katyniu pisano już wiele. W prasie polskiej i niepolskiej. Zbrodnia na polskich oficerach jest na ogół znana opinii na Zachodzie, nie ulega wątpliwości wina, i nad tymi sprawami nie zamierzam się rozwodzić. Mimo to wydaje mi się, że w sprawie katyńskiej nastąpił pewen przełom. Nie dlatego, by wyszły na jaw pewne nowe, nie znane dotąd fakty, rzucające nowe światło na losy polskich oficerów w Rosji w okresie 1939-1940. Nowością jest raczej to, że sprawa katyńska znalazła swe odbicie w czeskiej prasie emigracyjnej. Pismo *Kanadske Listy* zamieściło w numerze kwietniowym 1974, w specjalnym dodatku do tego pisma, obszernie opracowanie pióra Tadeusza Walkowskiego i Martina Skaly, poświęcone zarówno historii tej niezwyklej zbrodni jak i pewnym analogiom jej ze zbrodniami popełnionymi przez hitlerowców.

W oparciu o znane na ogół źródła opisują autorzy opracowania losy wziętych do niewoli przez wojska sowieckie oficerów polskich — ich przetrzymywanie z jednego obozu do drugiego, traktowanie ich w tych obozach przez władze, wreszcie specjalną „pracę kadrową”, której skutkiem było wymordowanie tysięcy ludzi i to przy zastosowaniu metod tak perfidnych, że historia ludzkości niewiele zna podobnych przykładów.

Autorzy opracowania zwracają szczególną uwagę na wspomnianą wyżej „pracę kadrową” polegającą na prowadzeniu rozmów politycznych z jeńcami, studiowaniu ich postaw, warunków rodzinnych itp., m.in. przez czytanie korespondencji. *Nota-bene* podkreślają oni, że zezwolenie na utrzymywanie korespondencji z bliskimi przebywającymi często poza granicami Związku Sowieckiego nie było bynajmniej aktem humanitaryzmu, lecz częścią składową *razrobotki* prowadzonej przez specjalnie wyszkolonych śledczych. Po tym etapie następowała selekcja, transport, wreszcie...

Podobny tryb postępowania we wszystkich trzech obozach, gdzie mieścili się polscy jeńcy, wskazuje — zdaniem Walkowskiego i Skaly — na istnienie jakiegoś specjalnego ośrodka kierującego całą tą akcją, podlegającego resortowi Spraw Wewnętrznych a nie Obrony.

Zbrodnię katyńską porównują autorzy opracowania do hitlerowskiego „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”. W odróżnieniu jednak od tej ostatniej — zamiast fizycznego wytopienia całego narodu, co niewątpliwie napotkałoby na duże trudności, „rozsądny” Beria wybrał metodę likwidacji selektywnej, niszcząc najbardziej cenne kadry zdolne do pokierowania ewentualnym ruchem oporu.

Co do motywów — Walkowski i Skala zwracają uwagę, że w przeciwieństwie do Lidic nie chodziło w wypadku Katynia o jakiś konkretny akt zemsty — cały przebieg akcji katyńskiej dowodzi wyrachowania. Walkowski i Skala nie bez racji wskazują, że zbrodnia katyńska przyniosła jej sprawcom również polityczny (choć w roku 1940 z pewnością nie zamierzony) zysk, ponieważ w roku 1944 zabrakło 14 tysięcy oficerów, co ułatwiło włączenie Polski w ramy imperium sowieckiego. Autorzy nie szczędzą zachodnim demokracjom słów wyrzutu za przemilczanie sprawy katyńskiej: w czasie wojny było to jeszcze zrozumiałe, po wojnie jednak nie znajduje w oczach autorów opracowania żadnego usprawiedliwienia. Katyń powinien, ich zdaniem, jednoczyć Czechów i Słowaków z jednej strony a Polaków z drugiej,

śmierć polskich oficerów powinna im przypomnieć tragiczne epizody z własnej historii.

Dla polskiej opinii artykuł Walkowskiego i Skaly wydaje się mieć jeszcze inne, bardziej ogólne znaczenie. Stanowi on bowiem jeszcze jeden gwóźdź do trumny czeskiego panslawizmu. Jeśli jeszcze w grudniu 1943 mógł Edward Benesz w rozmowie ze Stalinem wysuwać różne, niezbyt przychylnie wobec Polski sugestie, licząc na łaski gospodarza, którego uważał za gwaranta wolnej Czechosłowacji, to obecnie — po z górą 30 latach — nikt nad Wełtawą czy w południowych Tatrach złudzeń takich nie ma. Sami Rosjanie o to się postarali.

### *Testament Josefa Smrkovskiego*

Jest rzeczą normalną, że śmiertelnie chory człowiek, zdający sobie sprawę, że w każdej chwili może odejść z tego świata, chce podsumować swe życie, swe dzieło, pozostawić potomności jakiś ślad po sobie. Czyni to najczęściej w formie pamiętników.

Nie wiemy, czy zmarły w styczniu tego roku jeden z najwybitniejszych działaczy Praskiej Wiosny, Josef Smrkovsky, pozostawił po sobie pisane pamiętniki. Jeśli jednak tego nie uczynił, jego wywiad udzielony na krótko przed śmiercią człowiekowi ukrywającemu się pod pseudonimem Jan Teren i opublikowany w kwartalniku *Svedectvi* pt. „Noce rozmowy Josefa Smrkovskiego”, z pewnością wypełnia w dużym stopniu ewentualną lukę.

Co właściwie powiedział Smrkovsky? Na wstępie uwaga zasadnicza: Smrkovsky nie jest pesymistą. Twierdzi, że nic na świecie nie jest wieczne, że nawet reżym Husaka, który swą działalność ogranicza głównie do zatrzaskania społeczeństwa — że i ten reżym kiedyś zniknie. W tym stanie rzeczy — podkreśla Smrkovsky — nie ma potrzeby wyrzekania się własnych zasad i poglądów, nie należy padać na kolana, ale zarazem trzeba mieć oczy otwarte na rzeczywistość, nie ulegać fanatyzmowi, nie być zaślepionym.

Smrkovsky rozróżnia system obecnej władzy oraz ludzi system ten tworzących. O reżymie wypowiada się jako o systemie władzy totalitarnej, nie respektującej ani swobody myśli czy wypowiedzi, ani swobody poruszania się, ani nawet swobody wyboru miejsca zatrudnienia — nie mówiąc o takich „drobiazgach” jak swoboda przyjmowania informacji czy swoboda wybierania własnych kandydatów do władz. Nie znajdując najmniejszego oparcia w społeczeństwie reżym ten wyraża się w szeregach wąskiej grupy biurokratów osadzonych przez sowieckie czołgi. Smrkovsky jest przekonany, że reżym ten rozleciałby się nazajutrz po wycofaniu się tych czołgów.

O ludziach tego reżymu wyraża się Smrkovsky ostrożnie. Wskazuje, że nawet z Novotnym współpracowali ludzie, którzy w roku 1968 stali na czele ruchu i byli popularni. Dla ludzi obecnego reżymu charakterystyczne jest to, że Moskwa im nie ufa, co nie jest niczym zaskakującym, bowiem w stolicach poszczególnych republik sowieckich siedzą ludzie, do których Moskwa także nie żywi zbytniego zaufania. Ale ten stan rzeczy należy wykozystać. Każdy reżym totalitarny — powiada Smrkovsky — musi się dostosować do pewnych, choćby najmniejszych postulatów społeczeństwa, jeśli chce się umocnić i przetrwać. Systemy socjalistyczne działają na polu gospodarczym, niektóre z nich na przykład w Rumunii, a w pewnym stopniu także na Węgrzech i w Polsce — idą naprzeciw niektórym nacjonalistycznym aspiracjom społeczeństwa. W Czechosłowacji jednak sprawa jest bardziej skomplikowana. Jeśli reżym pragnie osiągnąć jakiś kompromis z własnym społeczeństwem — musi podjąć kroki, które by przynajmniej w pewnym stopniu rehabilitowały dumę narodową, które by stworzyły wrażenie suwerenności narodowej, w minimalnym choćby stopniu wskrzesiły demo-

kratyczne tradycje. Tu jednak nie uczyniono dotąd nic — stwierdza Smrkovsky. A najdobitniej przejawia się to na odcinku kultury, gdzie reżym chciałby pozyskać twórców, a tymczasem na palcach jednej ręki policzyć można tych, którzy poszli na współpracę.

System rządów partii uważa Smrkovsky za zacofany, konserwatywny. Mówi to człowiek, który w partii spędził wiele lat swego życia, i to na różnych szczeblach. Obecny system nazywa po prostu gwałcicielem swobód ludzkich i praw obywatelskich. O partii zaś mówi, że nie jest ona reprezentantką interesów klasy robotniczej, tylko organizacją systemu władzy, która posłużyła się klasą robotniczą dla realizacji rządów absolutystycznych, wbrew interesom tej klasy.

Czy jest jakieś wyjście z sytuacji? Smrkovsky notuje zmiany w świecie, zmiany w samym Związku Sowieckim, gdzie opozycyjne głosy stają się coraz donośniejsze. Notuje ruchy narodowościowe w republikach nierosyjskich. Widzi rosnący kompleks chiński. Uważa jednak, że nadzieje na niepodległość dla krajów Europy Wschodniej wskutek konfliktu z Chinami są raczej płonne. Najważniejsze jest jednak zdaniem Smrkovskiego to, że ludzie pozbywają się iluzji, przestają traktować partię komunistyczną jako ucielesnienie walki o postęp społeczny. Związek Sowiecki (dla Czechów jest to chyba stwierdzenie epokowe) nie jest już identyfikowany z postępem, pokojem i socjalizmem. Ludzie mają o tych sprawach inne wyobrażenia. Smrkovsky ubolewa, że brak jest właściwie programu akcji. Program z roku 1968 oraz materiały do przygotowywanego na jesień tegoż roku nie są już dziś najbardziej odpowiednie — noszą one taktyczne piętno swego okresu. Trzeba zatem opracować program oddziaływania na system.

Jaka ma być koncepcja polityki zagranicznej przyszłej Czechosłowacji? Smrkovsky przypomina, że Czechosłowacja w swej krótkiej historii miała dwie koncepcje polityki zagranicznej. Jedna była francuska, druga sowiecka, przy czym obie zawiiodły: pierwsza doprowadziła do Monachium, druga do 21 sierpnia, a właściwie jest skutkiem lutego 1948. Obie koncepcje doprowadziły do klęski, do długotrwałych zakłóceń w psychice narodu. Smrkovsky jest zdania, że *gdyby* nastąpiła wewnętrzna demokratyzacja w Rosji, a zatem zmiana w stosunkach między Rosją a pozostałymi krajami członkowskimi RWPG, wówczas nie byłoby może celowe niszczenie wspólnoty, która mogłaby się okazać korzystna. Istnieje wiele koncepcji: koncepcja dunajska, koncepcja stanów zjednoczonych Europy i wiele innych. Jakiej się trzymać? Absolutna niezawisłość Czechosłowacji jest mrzonką. Trzeba więc szukać ścisłych i bezpiecznych związków, i to takich przede wszystkim, które by zagwarantowały wymknięcie się spod zależności Moskwy. Oczywiście, związki takie to przede wszystkim z krajami sąsiednimi. Smrkovsky nalega na kontakty z opozycyjnymi siłami w Związku Sowieckim.

Na ostatek problem kolaboracjonizmu. Smrkovsky nie uważa każdego, kto z reżymem współpracuje, za kolaboracjonistę. Tylko ten jest wedle niego kolaborantem, kto służąc obcej mocy działa na szkodę własnego narodu. Ale sprawa nie jest taka prosta, i dzieje Protektoratu dostarczają licznych przykładów na ten temat. Działacze reżymu mogą swą działalnością sprzyjać procesowi demokratyzacji, humanizacji.

W sumie Smrkovsky liczy na nawrót procesów demokratyzacyjnych. W nowej sytuacji Związek Sowiecki będzie napotykał coraz więcej trudności w powtórzeniu operacji sierpniowej. Tym razem byłoby to ryzyko starcia zbrojnego, a zważywszy międzynarodową sytuację Rosji, władcy Kremla woleliby tego uniknąć.

„Nocne rozmowy” kończy Smrkovsky nawiązaniem do ostatniego wywiadu Aragona w ostatnim numerze *Les Lettres Françaises*: „Przegrałem swe życie”. Smrkovsky przyznaje, że ciężko znieść uczucie zawodu po tylu próbach. Apeluje jednak do przemyśleń i analiz, bo tylko one pozwalają na

wyciągnięcie wniosków. Na przykład dlaczego w roku 1968 społeczeństwo czechosłowackie nie stawilo oporu, dlaczego zakazano armii podjęcia czegokolwiek! Ale nie wolno pograżać się w samych tylko analizach. Trzeba wszystkie siły, wszystkie tendencje i kierunki wykorzystać do rozbicia totalitarnej dyktatury, która spętała kraj.

*Czy Kafkowska wizja świata jest fałszywa?*

Ukazujące się w Kanadzie czeskie pismo *Telegram* swój ostatni numer poświęca 50-tej rocznicy śmierci Franza Kafki. O Milenie Jesenskiej, kobiecie która wywarła przemożny wpływ na twórczość Kafki, pisze redaktor *Telegramu*, znany pisarz czeski Josef Škvorecký. Polskie wydanie *Listów do Mileny* poskapiło nam wielu informacji o samej Milenie. Artykuł J. Sz. w dużej mierze wyjaśnia, dlaczego.

Kim zatem była Milena? Dowiadujemy się, iż pochodziła z „dobrej rodziny” — jednym z jej przodków był doktor Jan Jessensky, pan czeski stracony po Białej Górze na Rynku Staromiejskim, jej ciotką była pisarka Rużena Jessenska, zaś ojciec jej był profesorem medycyny na Uniwersytecie Karola. Młodość Mileny przebiegła wedle znanych wzorców: pruderyjne środowisko mieszczańskie zapędziło ją na łono bohemy. Niezbyt ucieścić musiało ojca — który obok poglądów już wówczas uznawanych za wsteczne, był także antysemitą — przewodnictwo Mileny w kręgu literackim wokół Franza Werfla, a już chyba całkiem wyprowadziło go z równowagi zamążpójście Mileny za Ernesta Pollaka, który był Żydem i przed którym na próżno starał się uchronić Milenę, pakując ją do domu obłąkanych.

Z Pollakiem wyjeżdża Milena do Wiednia, gdzie po raz pierwszy styka się z rękopisami tekstów Kafki. Przetłumaczyła kilka tych opowiadań — jej znajomość z Kafką nastąpiła więc poprzez literaturę. Nadszedł okres krótkiej, acz intensywnej miłości. Gdy Kafka zmarł, Milena — znana już wtedy dziennikarka — napisała o nim w nekrologu: „Świat przedstawiał mu się jako miejsce niewidzialnych demonów, zagrażających bezsilnej ludzkości. Był przenikliwy: zbyt mądry aby walczyć... Napisał najwybitniejsze dzieła nowej literatury niemieckiej. Jest w nich nagość prawdy: oddziałują one realistycznie choć mówią symbolami. Jest w nich sucha ironia i wrażliwa wizja człowieka, który świat widział z taką niezwykłą jasnością, że nie był w stanie go znieść i musiał umrzeć, albowiem niezdolny był do kompromisów i intelektualnych oszustw, nawet jeśli ludzki szlachetnością”.

Słowa te napisała Milena o Kafce, ale dotyczyły one również jej samej. Pod wpływem własnej rewolty przeciw ojcu — pod wpływem atmosfery epoki, ale także pod wpływem poczucia socjalnego jakie cechowało Kafkę w stopniu większym niż niejednego realistę — wstępuje Milena w latach trzydziestych do partii komunistycznej, rozpoczyna pracę w tygodniku partyjnym *Tvorba* w czasie gdy jej redaktorem był Julius Fuczik. Później, już w Ravensbrück, zwierzyła się Milena swej przyjaciółce, że ledwo rozpoczęła pracę w *Tvorbie* a już opuściła ją zdolność pisania. Usiłowała uczciwie wykonywać zadania stawiane jej przez Fuczika, to znaczy własnymi słowami przetwarzać oficjalne hasła; była jednak zanadto uczennicą Kafki, by to robić. Zaproponowała kiedyś Fuczikowi wydanie satyrycznego numeru *Tvorby*, w którym wszystko byłoby na odwrót: socjaldemokracja na przykład traktowana byłaby jako sprzymierzeniec a nie jako główny przeciwnik. Fuczika na tę propozycję o mało szlag nie trafił — wspominała Milena.

Ponieważ *Tvorba* nie dawała Milenie możliwości wypowiadania się, pisywała zatem pod piórciami różnymi pseudonimami do socjaldemokratycznego *Prava Lidu*. Pod wrażeniem procesów moskiewskich — podobnie jak wielu

jej przyjaciół — opuszcza partię. Przez jakiś czas współpracuje z pismem *Przitomnost*, prowadzonych przez Peroutkę, a po aresztowaniu tego ostatniego przez Gestapo kieruje pracą redakcji a jednocześnie współdziała w ruchu oporu. Była to grupa, na czele której stał niemiecki antyfaszysta, hrabia Joachim von Zedwitz, a należeli do niej także czterej angielscy nauczyciele języka. Grupa ta musiała być dość efektywna, skoro udało jej się przerzucić przez granicę szereg wybitnych osobistości praskiego świata kulturalnego. W końcu jednak Milena zostaje aresztowana i osadzona w Ravensbrück. Tam nawiązuje przyjaźń z Margaretą Buber-Neumann — swoją ostatnią przyjaciółką. Los Margaretę także był typowy dla osaczonego przez demony świata kafkowskiego: jako żona byłego przewodniczącego Komunistycznej Partii Niemiec, który ośmielił się przekonywać Stalina iż jego polityka wobec socjaldemokracji nie jest słuszna, bowiem wrogami nr 1 są naziści, po podpisaniu umowy Ribbentrop-Mołotow przekazana została wraz z 500 innymi komunistami niemieckimi z obozu pod Karagandą wprost do Ravensbrück. Milena była tam jedyną więźniarką, która nie tylko sprzeciwiła się jakimkolwiek próbom bojkotu Neumann, ale przeciwnie — sama stała się przedmiotem akcji ze strony komunistycznych fanatyków. Jedną z tych fanatyczek, niejaka Paleczkova, doznała wstrząsu psychicznego i popełniła samobójstwo po zetknięciu się z więźniarkami z terenów Związku Sowieckiego, które bez wyjątku nienawidziły Stalina.

Sama Milena nie przeżyła Ravensbrück. Przeżyły ten obóz niektóre jej przyjaciółki, co wszak nie oznacza, by kafkowski świat je ominął. Do grona jej przyjaciół należała na przykład Toma Kleinerowa, aresztowana za pracę w praskiej YWCA, której mąż został zamordowany przez Gestapo. Po wojnie Kleinerowa prowadziła towarzystwo opieki nad wdowami wojennymi. W roku 1949 została ponownie uwięziona i następne 12 lat życia spędziła w czechosłowackich obozach koncentracyjnych.

W Ravensbrück zetknęła się też Milena z innym czeskim więźniem — także i on stanowił żywy argument kafkowskiego widzenia świata — Zawiśzą Kolandrá. Kolandra przeżył Ravensbrück. Nie przeżył jednak stalinizmu: został stracony w roku 1949 w Pradze.

Liczni krytycy z sowieckiej sfery zarzucają Kafce nieuzasadnione przenoszenie własnych ponurych przeżyć, subiektywnego widzenia świata na świat obiektywny, który według nich jest nieskończenie piękny, podlegający ustawicznie odnowie, w którym zatem smutek — zwłaszcza w dziedzinie literatury — jest w zasadzie nieuzasadniony. To prawda, że problemy, z którymi zetknął się Kafka, miały charakter osobisty, niektóre nawet wręcz wyjątkowy. Jednakże ten genialny pisarz, choć nie dotknęła go bezpośrednio ręka tajnych policji, widział jaśniej i przenikliwiej niż tzw. zdrowy. Po jego śmierci ręka tajnych policji nie tylko dotknęła ale wręcz zniszczyła osoby mu najbliższe — kobietę którą kochał oraz ludzi twierdzących często, iż wizja Kafki nie odpowiada obiektywnej rzeczywistości.

Karol SZWEDOWICZ

## Wrażenia z Pragi

Na lotnisku w Pradze uderza przybysza z Zachodu, że celnicy (bardzo młodzi) są w mundurach do złudzenia przypominające wojskowe i są uzbrojeni. W Pradze tłumy turystów, głównie Niemcy, Rosjanie, Polacy i dużo kolorowych. W samym mieście wielka zmiana na niekorzyść. Bardziej zaniedbane, w toaletach nagminny brak papieru i ręczników (czego przedtem nie było). Czesi robią wrażenie zgorzkniałych i zobojętniałych na wszystko. Turystów traktują jak konieczne zło ale starannie ich segregują. Grupy rosyjskie (bo chodzą tylko stadem) jawnie ignorują i okazują im niechęć: w lokalach, sklepach i na ulicy. Rosjanie kupują obuwie, płyty, naczynia, Ekspedienci udają, że nie rozumieją po rosyjsku, wruszają ramionami lub „nie widzą” w ogóle Rosjan. Dziś Rosjanie nie mają tego tupetu co kiedyś, starają się jak najmniej mówić i rzucać się w oczy.

Polacy nie są dobrze widziani, faworyzuje się Niemców, a wręcz entuzjastycznie witają Czesi Amerykanów lub kogoś mówiącego po angielsku. Żalił mi się student-Rosjanin, że nie może Czechów „pojąć”. Bo Niemców, którzy ich trzymali w obozach — lubią a ich, „sowieckich grażdan”, co wcióż im pomagają — nie lubią i szykanują. Kiedy kupował płyty — Niemcy-klienci byli załatwiani z uśmiechem i dostawali plastikową torbę do niesienia płyt, a jemu zalecili nieść pod pachą. Dodał też ze smutkiem, że będąc na Łotwie u krewnych też zauważył wielką niechęć do Rosjan. Na moją uwagę o wolności odparł, że małe narody nie mogą same istnieć (przykład Holandia!), która nie ma przemysłu a żywi się tylko serami! A Rosja uprzemysławia małe kraje, pomaga). I padło pytanie, czy Amerykanie też nas tak nie lubią? Raczej nie — odparłem, biorąc pod uwagę, że nie zetknęli się z wami bezpośrednio. Zauważył, że czuje się w Pradze jak „biała wrona”, coż, był starannie ostrzyżony, oraz niemodnie ubrany.

Na dworcu kolejowym w Pradze kilkakrotnie były zamazywane napisy, które jednak przeświecają: „Moskwa jest tyle kilom.(etrów) stąd — wracacie”, „Zabierajcie się” itd.

Szukałem ulicy „im. Olega Kaszowoja (komsomolec sowiecki). Pytałem nobliwie wyglądającego przechodnia. — Tego rosyjskiego durnia? — zapytał i wskazał. Jeszcze zapytał: — A wy ruska? — Nie, Polka. Machnął ręką i dodał: „Mało co lepsi”... i szybko oddalił się.

Zaprowadzono mnie na cmentarz, na mogiłę Palacha. Jest rzekomo usunięty, a na tym miejscu stoi teraz nagrobek z napisem „Maria Jedliczkowa” i nic więcej, nawet daty zgonu. Jednak u stóp nagrobku, gdzie kiedyś leżał Palach — dalej stawiają kwiaty: okazałe, skromne, w wazonikach i cięte. Jest nawet kartka: „Nie usuwajcie tych kwiatów, są od matki”. Ludzie przychodzą i przez chwilę zatrzymują się przy nowym nagrobku. Czesi są pamiętliwi i uparci, nie wierzą, że zwłoki Palacha są usunięte. W sierpniu w przeddzień rocznicy najazdu — w gmachu Archiwum ważnych dokumentów wybuchł ogromny pożar, niszcząc całe skrzynie dokumentów. Po-dejrzewają podpalenie. Czesi słuchają Wolnej Europy. W języku czeskim jest kompletnie zagłuszana, słuchają po polsku.

Husak wziął pożyczkę od Rosji, żeby wyglądało, że z ich przyjsciem wszystkiego jest dużo. W sklepach dużo towaru importowanego, głównie z Niemiec Wschodnich i Węgier (oraz zatręśnienie szampana rosyjskiego). Ale jak się bliżej przypatrzeć zaopatrzeniu — są ogromne braki i w stosunku do lat ubiegłych — podrożało wszystko. Rosjanie pomagają Czechom

budować Metro, na wzór moskiewskiego. Czesi mieli swoje wagony, ale Rosja zmusiła do kupienia rosyjskich, które są zbyt ciężkie i gorsze. Musieli umocnić most żeby się nie zawalił. Już jeden odcinek metra gotowy. Buduje się dalej.

(„Wrażenia” zostały nam nadesłane przez jednego z naszych czytelników. Nazwisko znane redakcji).

## Kronika litewska

Niezadowolenie Moskwy z powodu niepokoju na Litwie objawiło się mało uroczystym pogrzebem zmarłego w styczniu wieloletniego sekretarza litewskiej partii komunistycznej Snieczkusa. Do Wilna nie przybył na tę uroczystość żaden członek politbiura, natomiast wielu generałów i admirałów. Nikt nie wyraził kondolencji rodzinie zmarłego, a jedynie partii. Również w wyborach do Najwyższego Sowietu Litwę reprezentowało paru generałów o nazwiskach rosyjskich i jeden Gruzin.

Nowym sekretarzem partii został P. Grizkiewiczius, rodowity Litwin, ostatnio sekretarz partii miasta Wilna. W ub. roku partia liczyła 135 tys. członków, w tym 94 % ze średnim i wyższym wykształceniem. Udział chłopów i robotników jest w niej znikomy. Toteż zastępca sekretarza, Charazow, zarzucał partii litewskiej burżuazyjność, nacjonalizm i brak ideowości.

Sekretarzy komórek partyjnych jest 5.300, zaś komsomolców 322 tys., przywodzi im Litwin, ale ma zastępcę przysłanego z Moskwy.

Z Litwy dochodzą wieści, że bilans rozruchów, całopaleń itd. jest tam oceniany raczej negatywnie. Wzmogły one czujność Moskwy i ucisk. Ilościowo napływ Rosjan się nie zwiększa. Przyrost ludności republiki w ciągu roku wyniósł zaledwie 24 tysiące. Przyrost naturalny spadł do 0,79 %. Rosjanie usiłują obsadzić swymi ludźmi więcej wyższych stanowisk. Reakcja Litwinów na to jest ciekawa — wzmógłony napływ Litwinów do partii komunistycznej celem skuteczniejszego współubiegania się o wyższe stanowiska nie tylko w partii, ale poprzez partię — i w administracji. Może wzorem węgierskim, po rozruchach, kraj uzyskał pewną nieznaną poprawę warunków materialnych. Z podatku obrotowego Litwa przekazuje do Moskwy mniejszy odsetek wpływów, niż np. Łotwa czy Estonia. Dżdżyste tegoroczne lato może odbić się ujemnie na zbiorach i sytuacji ekonomicznej kraju, posiadającego już co prawda 53 % ludności miejskiej, ale też rolnictwo pracujące wydajniej niż przeciętna dla Związku Sowieckiego.

Wzrost urbanizacji dotyczy głównie mniejszych miast, bowiem roczny przyrost ludności Wilna spadł z 15 tysięcy do 9 tysięcy.

Litewska prasa emigracyjna wciąż przynosi nowe szczegóły o fali rewizji i aresztów w listopadzie i grudniu ubiegłego roku, zmierzających do zlikwidowania tajnej *Kroniki Katolików Litewskich*.

Rewizje te były dokonane w wielu miejscach, zaczynając od Wilna i okolic a kończąc na dalekich zakątkach Żmudzi. *Kronika* Nr 8 podawała o stawianiu tradycyjnych krzyży na pagórku w Mieszkaciach, o nocnym pochodzie, który niósł te krzyże aż z Szawel, o ciągłym ich obalaniu przez władze itd. Działo się to jednak jeszcze w roku 1973. Czy *Kronika* jeszcze się ukazuje? Dochodzą też sporadyczne wieści, że czterech Litwinów, żołnierzy sowieckich, zostało przechwyconych, gdy usiłowali uciec ciężarówką do Finlandii itd.

Dochodzą wieści o pouczeniach i represjach w stosunku do intelektualistów. Po raz pierwszy, prócz zarzutów nacjonalizmu, także zarzut poddawania się wrogiej propagandzie klerykałów.

Wileński reżyser i dramaturg Jonas Juraszas popadł w niełaskę i stracił posadę za odmowę przerobienia, według nakazanych instrukcji, swego dramatu pt. „Barbora Radvilaite”, czyli Barbara Radziwiłłówna.

W Wilnie zmarł nagle jeden z najwybitniejszych naukowców, fizyk atomowy Adolfas Juczys. Jako chluba nauki litewskiej miewał on kontakty z Zachodem.

W latach 1970/73 dokonano tłumaczeń na język litewski 169 utworów literatury rosyjskiej, 77 innych narodów sowieckich i 271 z innych języków. Utwory z krajów nie-komunistycznych są bardzo selekcjonowane, np. w latach powojennych przetłumaczono około 60 utworów pisarzy Ameryki łacińskiej, wyłącznie marksistów, ale np. Borges został pominięty.

We współpracy litewsko-niemieckiej firma drezdeńska wydaje obszerny i ozdobny album prac malarza Czurlonisa.

Kontakty z Litwą są nadal utrudnione, ograniczają się głównie do 5-ciodniowych wizyt turystów w Wilnie i czasem w Kownie. Prowincja jest nadal niedostępna, z wyjątkiem gości uprzywilejowanych i godnych zaufania. Łatwiej jest tam dostać się z Polski, ale odwiedziny w Polsce krewnych z Litwy są połączone niekiedy z kilkuletnimi zabiegami i to nie zawsze skutecznymi.



Znany szwedzki publicysta Andres Küng, znający język estoński, który odwiedzał kilkakrotnie kraje bałtyckie wydał książkę pt.: „Van hander i Baltikum?” (Stockholm, 1973, str. 274) — „Co się dzieje w Nadbałtyce?”. Zdaniem autora kraje bałtyckie są najbardziej zachodnie, najbardziej ekonomicznie rozwinięte i najbardziej niespokojne w Związku Sowieckim. Myślą przewodnią autora jest wykazanie niepokoju i braku stabilizacji w tych krajach. Nacjonalizm i sporadyczne wybuchy wykazują, że Bałtowie nie są zadowoleni ze swego losu. Problemy, wynikające z szybkiego rozwoju gospodarczego przybierają bardziej ostre

formy wskutek konfliktów władz lokalnych z centralą w Moskwie. Wymienia on mało znane fakty, jak ogólnosowiecki zlot „hippisów” w Wilnie, latem 1972 roku, zamknięcie fabryki fosfatów w Rydze, gdyż zatrzymywała otoczenie itd. O tym „niepokoju” litewskie pisma emigracyjne piszą, że na ogół naród przyjął hasła: przetrwania, pracy organicznej i wzorowania się na Gandhim. Bardziej bojowi są katolicy, a władze sowieckie o tyle zmieniły taktykę, że unikają drastycznych środków w obawie rozgłosu, bardzo nie na rękę w okresie rozmów genewskich i udawania, że odprężenie jest obustronne a nie jednostronne.

Przed kilku laty gdy porywanie samolotów jeszcze było mało praktykowane i niezohydzone okrucieństwami palestyńskich terrorystów — dwóch Litwinów zamieszkałych na Kaukazie, porwało sowiecki samolot i wylądowało w Turcji. Rząd sowiecki usiłował wydostać zbiegów drogą presji, a nawet symulował drugie porwanie przez własnych agentów-prowokatorów. Zostało to rozszyfrowane i agenci wrócili do Rosji. Rząd sowiecki przywiązywał do tej sprawy wielką wagę, aby zniechęcić innych potencjalnych delegacji nie miał innych tematów do rozmów z reprezentantem Turcji — jak sprawę litewskich zbiegów, Brazińskich, ojca i niepełnoletniego syna. Brazińscy zostali uwięzieni w Turcji a emigracja litewska wykazała dużo przedsiębiorczości w akcji ich obrony. Kosztem licznych rozjazdów, zaangażowania najlepszych tureckich adwokatów (b. premier) setek depesz, sprawę ich wydania, jak też wyroku przeciągano. Rząd sowiecki obstawał przy wydaniu kryminalistów. Turcy uznawali ich za uchodźców politycznych. Brazinski zeznał, że na Kaukazie i w Turkiestanie organizował ruch oporu wśród narodów muzułmańskich.

Wreszcie zmieniły się role. Brazińscy zostali uznani za kryminalistów i turecki prokurator zażądał 15 i 10 lat więzienia. Sprawa została ponownie odroczone, a w maju br., z okazji 50-lecia Republiki Tureckiej ogłoszono wielką amnestię dla... kryminalistów, i Brazińscy wyszli na wolność. Zdawałoby się, że wysiłki i koszt kilkudziesięciu tysięcy dolarów wreszcie zostały uwieńczone sukcesem. Ale w momencie konfliktu na Cyprze, gdy Turcja była specjalnie podatna na sowieckie naciski Brazińscy jeszcze pozostawali w Turcji. Jest to więc tymczasem historia bez ostatniego rozdziału.

Sprawa marynarza sowieckiego Simasa Kudirki zbiegłego na okręt amerykański i wydanego Sowietom też przybrała niespodziewany obrót. Wyszperano bowiem, że jego matka urodziła się w New Yorku i przeto ma prawo do obywatelstwa amerykańskiego. Była ona jedną z wielu Litwinek amerykańskich, które przed laty wróciły na Litwę, gdzie wówczas uznawano podwój-

ne obywatelstwo. Została ona zaproszona do ambasady USA w Moskwie, gdzie wreszcie dotarła z Kowna, po przewycięzeniu wielkich trudności. Otrzymała obywatelstwo amerykańskie i poprosiła o takież dla syna, czemu chętnie uczyniono zadość. Sowiety nie uznają podwójnego obywatelstwa, a Amerykanie nie uznają *de jure* inkorporacji państw bałtyckich, więc pretendują do swej obywatelki, dawniej Litwinki a teraz Amerykanki. Ambasada domagała się również możliwości nawiązania kontaktu z Simasem Kudirką, który odbywa swój 10-cioletni wyrok na Syberii.

(*Le Monde* z 1-2 bm. donosi, że fizyk Andriej Sacharow podał do wiadomości, iż władze sowieckie zwolniły marynarza Simasa Kudirkę, skazanego na 10 lat więzienia za usiłowanie ucieczki do Stanów Zjednoczonych w 1970 roku, kiedy to wyskoczył ze statku sowieckiego przy brzegach amerykańskich i dostał się na pokład amerykańskiego statku patrolującego brzeg. Wydanie Kudirki Sowietom przez kapitana tego statku wywołało w swoim czasie wielkie oburzenie w Ameryce. — *Red.*.)

W Chicago w maju br. odbyła się IV konferencja studiów bałtyckich, z czterema sekcjami: językoznawczą, literatury, bibliografii i nauk społecznych. W tej ostatniej wygłoszono m.in. referaty: „Rola republik bałtyckich w Związku Sowieckim”, „Ewolucja litewskiej polityki neutralności”, „Problem dwujęzyczności na Litwie”, „Problemy transportu w dzisiejszej Litwie”, itd. Uzupełnieniem były uroczystości stulecia urodzin Czurlonisa — malarza i muzyka. Znamienne, że tej konferencji, odbywającej się w języku angielskim, poświęciła uwagę prasa moskiewska wyrażając na dezinformację szerzoną przez emigrantów.

Pewien litewski profesor dzieli emigrację na trzy kategorie: 1) kolonistów, 2) emigrację zarobkową, 3) wygnańców — emigrację polityczną. Dwie pierwsze kategorie osiedlają się na stałe i nie mają większych problemów z następnym pokoleniem. Emigranci polityczni walczą o zmianę sytuacji w kraju pochodzenia i chcą do niego wrócić — jeżeli nie osobiście, to poprzez swoje dzieła, jak Mickiewicz, Słowacki, Balmont, Bunin czy Berdiajew. Jeżeli emigracja polityczna przeciąga się na dłuższy okres, głównym jej zadaniem staje się pielęgnowanie twórczości kulturalnej.

Dnia 4 kwietnia 1974 w New Yorku, na posiedzeniu Naczelnego Komitetu Wyzwolenia Litwy, przewodniczący oświadczył, że rząd Stanów Zjednoczonych nadal nie uznaje inkorporacji państw bałtyckich do Związku Sowieckiego, i w tymże kierunku używa

swych wpływów w państwach zachodnio-europejskich. Drugim pomyślnym objawem jest stanowisko rosyjskich dysydentów, którzy nie pretendują do rządzenia innymi narodami, wchodzącymi obecnie w skład Związku Sowieckiego, ale że „przeżywamy teraz moment krytyczny, bowiem obiegają pogłoski, że w Genewie już osiągnięto porozumienie w sprawie uznania wszystkich granic powojennych”. Postanowiono zwrócić się do senatora Carla Curtis (Nebraska) o przeprowadzenie w Kongresie amerykańskim uchwały, że USA nigdy nie uznają inkorporacji państw bałtyckich.



W Australii w przededniu wyborów i wobec zapowiedzi wizyty premiera w Moskwie, Bałtowie zakrzętnęli się koło swoich spraw i m.in. uzyskali zapewnienie, że rząd australijski nadal nie uznaje inkorporacji państw bałtyckich do Związku Sowieckiego. Było to w końcu kwietnia br., a 3 sierpnia ogłoszono, że rząd australijski uznał *de jure* inkorporację państw bałtyckich do Związku Sowieckiego, i ambasador australijski w Moskwie udał się w oficjalnym charakterze do Tallina.

Zaczęły się liczne protesty i demonstracje Bałtów, przy poparciu innych uchodźców z państw komunistycznych, w tym również Polaków. Uzyskano poparcie opozycji parlamentarnej, posyłały się listy do redakcji, artykuły, ostre wystąpienia w senacie, ale naturalnie wszystko to było bezskuteczne. Po trzech tygodniach w ślady Australii poszedł też rząd partii pracy w Nowej Zelandii.

E. ŻAGIELL

### POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

7970 SUMMERDALE AVE., PHILADELPHIA, Pa. 19111, USA.  
Tel.: (215) RA 5-9723.

Posiada na składzie książki w języku polskim, m.in. wydawnictwa Instytutu Literackiego w Paryżu. Przyjmuje prenumeraty *Kultury i Zeszytów Historycznych*. Prowadzi antykwariat. Kupuje stare polskie książki, obrazy, monety i wszelkie *polonica*. Katalogi, informacje, premie — bezpłatnie.

## Straty kultury polskiej

### Na grób Marii Ossowskiej

Jeśli można do kogo odnieść na serio wyrażenie „bez skazy”, to do niej właśnie. Maria z Niedźwiedzkich Ossowska, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wdowa po Stanisławie Ossowskim, była jednym z tych autorytetów moralnych, bez których życie polskiej inteligencji musi wydawać się okaleczone i niepewne. Jej badania semantyczne, historyczne i psychologiczne nad różnymi stronami zjawisk moralnych — nad językiem, w jakim się osądy moralne wypowiada, nad przemianami obyczajów i zależnością opinii obyczajowych od procesów społecznych, nad powstawaniem i upadkiem wzorów osobowych, nad związkiem emocji przeżywanych z ocenami moralnymi — prowadziły nieodmiennie, z różnych stron, do wyników sceptycznych i relatywistycznych: nie ma żadnych sposobów, aby sądom, w których afirmujemy wartości, nadać status twierdzeń, o których prawdę lub fałsz można by się spierać; nie ma przejścia logicznego od zdań empirycznych do ocen; nie ma wartości, które bądź dałyby się ugruntować jako „ważne” w sensie naukowym, bądź były choćby historycznie niezienne. Ale, jak to nieraz bywa, jej teoretyczny relatywizm moralny sąsiadował z nieomylną wiedzą — której ona by „wiedzą” nie nazwała, więc może „umiejętnością” — odróżniania dobra od zła, moralnych uników i samo-zakłamania od wyraźnego opowiadania się w sprawach, gdzie prawdziwie moralne postawy się ważyły. Powiadając, że była autorytetem moralnym, tyle mam na myśli, że ludzie się jej wstydzili robiąc świństwa, że pamiętali o niej, gdy trzeba było coś uczynić lub czegoś zaniechać w sytuacjach moralnie obligujących i że wiedzieli, że ona ma rację. Autorytet moralny bowiem to ktoś taki, czyja obecność ciąży niemile tym, którzy, choćby nie wiem jak oszukiwali własne sumienie, wiedzą przecież, że ze świństwa zyją.



Jakoż o tym wszyscy wiedzieli, że od sądu pani Marii nie ma odwołania, chociaż sądy te nigdy nie miały formy gwałtownej, eksplozywnej, nienawistnej. Żyły w niej najlepsze cechy duchowej arystokracji, w szczególności organiczna odraza do wulgarności. Najbardziej nelitościwe oceny lubiła ubierać w formę zabawnych, acz jednoznacznych eufemizmów. Kiedy mówiła o kimś „ach, jego książki są teoretycznie tak mało atrakcyjne”, chodziło o to, że to są śmiecie. O jednej pani, pamiętam, powiedziała „ależ ona uprawiała erotykę za pieniądze!” — zdanie, które mogłoby się znaleźć w jej książce jako przykład kłopotów z jasnym odróżnieniem zdań opisowych od oceniających.

Ale jej rygorizm moralny nigdy nie był świętoszkowaty, pedantycznie złośliwy, wsparty na samo-zadowoleniu; ludzie, którzy biorą sprawy moralne na serio, nie zwykli upajać się własną świętością ani szukać okazji do zgorznięcia; wiedziała, co jest ważne, a co mniej ważne, a tolerancja była jedną z najbardziej uderzających cech jej charakteru. Tolerancja ograniczona: nie logiczna i nie moralna w sprawach istotnie znaczących. Wybaczała ludziom wiele, lecz nie wszystko i nieomylnie w ustanawianiu granicy między tym, co wybacalne a tym, co niewybacalne, stanowiła o tym, że skłanialiśmy się przed jej zdaniem; a granicy tej nie podobna wyznaczyć w ogólnoteoretycznej formule, ale tylko na przykładach od porządných ludzi trzeba się uczyć, jak ją nakreślać.

Nie była człowiekiem o temperamentem politycznym (może dlatego, że brakowało jej zupełnie zdolności do demagogii), ale w potrzebie nie odmawiała nigdy udziału w poczynaniach, które, przynajmniej w polskich warunkach, miały wyraźny sens polityczny, a nieraz sama takie poczynania inicjowała. Zarówno w Polsce niepodległej, jak w Polsce podziemnej lat okupacji, była zawsze po stronie demokracji przeciw wszelkim formom faszyzmu, po stronie uniwersalizmu humanistycznego przeciw nacjonalistycznej parafianiszczyźnie, po stronie wartości demokratycznego socjalizmu przeciw wszystkim formom zniewolenia i tyranii. Miała przeciwko sobie faszystów, komunistów, szowinistów. Przechowała te wartości bez zmiany w latach powojennych. W ciągu ostatnich dziesięciu lat pamiętam kilka wypadków, kiedy miałem sposobność uczestniczyć obok niej w przedsięwzięciach, których polityczny sens nie budził wątpliwości: raz, gdy przygotowywaliśmy wspólnie z nią i z Tadeuszem Kotarbińskim rodzaj ekspertyzy semantycznej na użytek obrońców sądowych Kuronia i Modzelewskiego w czasie ich pierwszego procesu; innym razem, gdy pani Maria występowała jako adwokat przed komisją dyscyplinarną Ministerstwa Szkół Wyższych w obronie trojga młodych ludzi usuniętych z uniwersytetu za współpracę z Kuroniem i

Modzelewskim i gdy zmusiła oskarżyciela do przyznania, że oskarżeni mają być ukarani za to, że zaniedbali złożyć donos na swoich kolegów; innym razem jeszcze, gdy w 1968 roku inicjowała list profesorów warszawskich do premiera przeciwko dławieniu resztek swobód akademickich (list ten przeszedł bez echa, gdyż jego wysłanie zbiegło się z początkiem pogromu marcowego; stąd został przysłonięty przez widowisko bardziej dramatyczne). Czytelnikom *Kultury* znane są jej wystąpienia w sprawie kodeksu karnego. Tam, gdzie jej głos był potrzebny, nie brakowało go. Na żadnym zgromadzeniu, akademickim czy innym, nie milczała, gdy chodziło o sprawy ważne: swobody obywatelskie i akademickie, krzywdę jednostek, kłamstwo polityczne, uczciwość publiczną. Ten głos był zawsze elegancki w formie i zawsze jednoznaczny w treści.

Brałem udział w seminariach pani Marii i słuchałem jej wykładów na Uniwersytecie Łódzkim od początku swoich lat studenckich, tj. od końca 1945 roku. Odnosiła się z humorem i pobłażliwością do naiwnie marksistowskich wywodów 18-letniego zarozumialca. Tylko jej wyrozumiałości zawdzięczam, że przechodziliśmy przyjazne stosunki w późniejszych, gorszych latach, gdy maszerowałem w sztafetach partyjnych ideologów, ona zaś, podobnie jak Stanisław Ossowski, została usunięta z pracy nauczycielskiej na Uniwersytecie Warszawskim (należy w tym miejscu oddać sprawiedliwość niejkiej połowiczności i niekonsekwencji polskiego stalinizmu: profesorowie, których w początku lat 50-tych usunięto z uczelni z powodów „ideologicznych” nie zostali jednak zmuszeni do kopania rowów, ale zachowali swoje skromne pobory i mogli zajmować się pisaniem książek, które w kilka lat później, w pomyślniejszej koniunkturze, wydawali; dotyczy to m.in. obojga Ossowskich, Ingardena, Tatarkiewiczza).

Książki Ossowskiej pisane są w stylistyce charakterystycznej dla wychowanków szkoły analitycznej; ich przedmiotem są zachowania, przeżycia i opinie moralne, doktryny etyczne, język moralności, badane z należytą wstrzeźliwością historyka, socjologa, logika. Nie ma tam prawie w imieniu autorki wypowiedzianych ocen moralnych i zaleceń. Ale każdy czytelnik wie natychmiast, że są to pisma nauczyciela moralności, nie tylko jej badacza. Konfrontacja różnych wzorów osobowych nie pozostawia wątpliwości co do tego, które z nich cieszą się sympatią autorki, chociaż nie składa ona żadnych w tej sprawie deklaracji. Na pozór opisuje tylko, lecz zawsze wiemy, po której stronie stoi. Toteż w jej opisach wszystko daje się odnieść do sytuacji i konfliktów znanych czytelnikowi z doświadczenia własnego, również jeśli przedmiotem rozważań jest antyczna Sparta lub Anglia XVIII-wieczna. Na moim egzemplarzu pierwszej jej powojennej książki *Podsta-*

wy nauki o moralności (1946) widnieje dedykacja w postaci ostrzegawczego życzenia, aby podstawy moralności (nie zaś podstawy nauki o moralności) autorki i właściciela nie znalazły się w kolizji. Jej ostatnia książka *Ethos rycerski i jego odmiany* (1973) jest analizą różnic i podobieństw w rozmaitych ideałach rycerza i dżentelmana — poczynając od Grecji starożytnej, kończąc na współczesnej Ameryce. Na pozór — tylko opisy z doskonałe wybranych i przejrzyście zestawionych przykładów. Ale książka podszyta jest melancholią na widok upadku tych wartości, które historycznie wykształciły się w różnych formacjach arystokratycznych i nieraz splecione były z odpychającymi cechami klas uprzywilejowanych, ale bez których współzycie ludzi może się stać nie do zniesienia: wartości honoru, godności osobistej, dyskrecji, wielkoduszności wobec pokonanych, odrazy do mściwości. Z pewnością podpisuje się pod cytowanymi przez siebie słowami Bertranda Russella: „Wiara w ważność honoru osobistego, choć jej przejawy były często absurdalne, a czasem tragiczne, ma poważne zasługi i jej upadek nie stanowi bynajmniej czystego tylko zysku... Gdy uwolni się koncepcję honoru od arystokratycznej buty i od skłonności do gwałtu, zostanie w niej coś, co pomaga człowiekowi zachować osobistą prawość i szerzyć wzajemne zaufanie w stosunkach społecznych. Nie chciałbym, aby ten legat wieku rycerstwa został dla świata całkowicie zaprzeczony”.

Jak wielu uczonych o silnej tendencji pozytywistycznej, Maria Ossowska nie uważała się za filozofa, ani nawet za moralistę; raczej za „etologa”. Ale ilekroć jej książki ujawniają wyraźnie jej stanowisko moralne, można być pewnym, że we wszystkich wypadkach jest to stanowisko przyświadczone praktycznie, nie tylko werbalnie zachwalane; nie podobna w tym była do Maxa Schellera, który zapytany, czemu sam nie uprawia cnót przez siebie sławionych, odrzekł pono, że drogowskazy nie chodzą szosami, tylko je ukazują. Żył w niej ów „ethos rycerski” w najlepszej odmianie: niezawodna lojalność w stosunkach osobistych, dyskrecja, bezkompromisowość w sprawach podstawowych i tolerancja w sprawach błahych, solidarność z pokrzywdzonymi, zupełna nieobecność zawiści, mściwości, intryganctwa, małostkowości. Tak żyła, jak gdyby — co nie podobna — zła w niej nie było, nawet w postaci nieumiaru w dobrym, albo w postaci poczciwości popolitej, rozleniwionej i zatrwożonej.

Nie wierzyła w Boga ani w zbawienie wieczne. Nie wierzyła też w zbiorowe zbawienie doczesne środkami instytucjonalnymi; wierzyła jednak, że w związkach osobowych pewien rodzaj perfekcji czy niezawodności jest osiągalny, a nawet umiała udowodnić, że tak jest.

Odchodzą niepowrotnie, z niezawodną pewnością, nauczyciele naszego pokolenia, a wraz z nimi — cała formacja intelektualna i moralna, której ciągłość przechować nam trzeba pod grozą ruiny polskiej kultury.

Tyle kwiatów na grób pani Marii.

Leszek KOŁAKOWSKI

## Kraj

# Śladami mitu

(W odpowiedzi Panu Stefanowi Kisielewskiemu)

W świetnym, jak zwykle, artykule pt. „Polska wymaga reklamy”<sup>1</sup> Stefan Kisielewski stawia między innymi pytanie, dlaczego Polska jest krajem komunistycznym bez marksistów, bez komunistycznych ideologów. I wyjaśnia, że stało się tak dlatego, bo zabrakło Żydów, rzeczywistych nosicieli marksizmu w powojennej Polsce.

Jest to tłumaczenie bardzo proste i jak to zwykle bywa z prostymi tłumaczeniami przekonywujące. Jeśli bowiem Żydzi importowali marksizm ze Wschodu, a nigdy się on w narodzie tak naprawdę nie przyjął, to skoro ci Żydzi wyjechali (albo porzucili doktrynę, co na jedno wychodzi), musiał zniknąć i marksizm, a wraz z nim i antymarksizm wszelkich odcieni. Pisze więc Kisielewski:

„...oto po wojnie zjawiała się w zburzonej Warszawie grupa pogrobowców KPP, którzy jęli się pracy nad zasadzaniem na niewdzięcznym polskim gruncie rośliny czystego 'internacjonalistycznego' marksizmu. Ale ludzie ci nie tylko objęli uniwersyteckie katedry filozoficznego marksizmu: wierni dialektycznej zasadzie łączenia teorii z praktyką stali się szefami tajnej policji, cenzury, prokuratury i sądownictwa, nie zabrakło ich też na szczytach władzy w postaci Bermana, Minca, Zambrowskiego. Sądzili, że niesie ich wiatr historii, nie widzieli podwójnego niebezpieczeństwa jakie im grozi: z jednej strony wzbudzili bowiem wtórny antysemityzm społeczny, antysemityzm tym razem narodowo-ideologiczny, z drugiej strony ich losy w samym Związku Radzieckim były już przesądzone. Procesy Rajka, Kostowa, Słan-ski'ego powoli otwierały im oczy, lecz dopiero jawnie antyżydowska i anty-izraelska polityka Rosji w latach sześćdziesiątych przypieczętowała sprawę. W Polsce intryga wewnątrzpartyjna, której ukoronowanie przypadło na lata 1967-1968, wyzyskując utajoną dotąd ksenofobię partyjnych dołów, wyrzu-

1. Stefan Kisielewski, *Polska wymaga reklamy*, „Na Antenie”, maj 1974 i czerwiec 1974.

ciła ich ze stanowisk, zarzucając im na dodatek, że zrażeni do Stalina wypierali 'liberalizm'. Dalsze ich losy są znane: rozgoryczeni porzucali marksizm lub Polskę, niektórzy jedno i drugie, złorzecząc nieraz, w dziwnym zaślepieniu czy niezrozumieniu sytuacji samemu, równie nie rozumiejącemu krajowi. Cała ta złożona, tragiczna nieraz i perfidna epopea — nie miejsce tu na dokładne jej opisanie, jeden skutek wyniknął z niej na pewno: znów zmaląła w Polsce kadra przekonanych marksistów na rzecz coraz to potężniejszej grupy mało ideologią zainteresowanych technokratów-pragmatyków”<sup>2</sup>.

Zastrzec tu trzeba, że Stefan Kisielewski nigdy nie należał do ludzi akceptujących rodzimy antysemityzm: dał temu wyraz i w omawianym artykule. I nawet nie uważa, że posucha na marksistów jest sama w sobie zjawiskiem pozytywnym, na odwrót, z właściwą mu przekorą wyraża wątpliwość, czy nie lepsze już marksistowskie rządy niż rozwielenione cwaniactwo, jakie się w Polsce szerzy obecnie. Jeśli rozumowanie Kisielewskiego skłania do polemiki, to przede wszystkim ze względu na zawartą w nim stereotypizację, która staje się powoli częścią składową nowego politycznego mitu.

Zacznijmy od przeprowadzonego przez Kisielewskiego podziału: z jednej strony ocaleni z hitlerowskiej hekatombi Żydzi w kraju, „związani z polską kulturą i obyczajem, ci co nie poszli do gett, lecz przetrwali wśród polskiego społeczeństwa w liczbie około 100.000”<sup>3</sup>. Z drugiej — Żydzi — marksiści, przybyli po wojnie z Rosji. Ci pierwsi otaczani powszechną sympatią, antysemityzm gospodarczo-klasowy musiał bowiem po wojnie zaniknąć, ci drudzy wzbudzający poprzez swe związki z komunizmem antysemityzm tym razem ideologiczno-narodowy.

Jak to zwykle bywa w przypadku stereotypów stwierdzenia powyższe zawierają w sobie potężny ładunek uproszczeń i jeszcze więcej nieuzasadnionych generalizacji. Wedle bardzo starannie zweryfikowanych danych, zawartych w artykule Lucjana Dobroszyckiego, w okresie między wyzwoleniem a sierpniem 1946 roku przebywało na terenach polskich około 218 tysięcy Żydów, z których tylko 22 % było w kraju w chwili wyzwolenia, pozostałe 78 % powróciło zaś do Polski z obozów, z Zachodu, indywidualnie ze Wschodu i ze Wschodu w ramach repatriacji. Jak rozkładało się owe 22 % dowiadujemy się pośrednio na podstawie dokonanego przez Dobroszyckiego szacunku. Poddając analizie skład 38 tysięcy Żydów zarejestrowanych w Łodzi i Województwie Łódzkim w okresie od 1. stycznia do 31 grudnia 1945 roku stwierdza on, że wśród nich<sup>4</sup>:

2. „Na Antenie”, czerwiec 1974, str. 17.

3. *Tamże*, str. 17.

4. Lucjan Dobroszycki, *Restoring Jewish life in post-war Poland*, „Soviet Jewish Affairs”, no. 1, 1974, str. 59-60.

- 17.311 przeżyło obozy koncentracyjne;
- 10.227 powróciło z ZSSR przed rozpoczęciem oficjalnej repatriacji;
- 6.479 ukrywało się po aryjskiej stronie;
- 1.440 przetrwało walcząc w jednostkach partyzanckich;
- 1.025 ukrywało się w lasach i bunkrach;
- 887 pozostało w getcie łódzkim;
- 754 było żołnierzami w Polskiej Armii w ZSSR.

Jak z tego wynika i wśród tych, których wyzwolenie zastało w kraju i wśród tych, którzy przybyli ze Wschodu i Zachodu musieli być ludzie bardzo różni i w obyczajach, i w tradycji i w poglądach na komunizm<sup>5</sup>. Pogromy w Kielcach, Kraśniku, Działoszycach, Krakowie, Chełmie (a wyliczenie to nie jest bynajmniej pełne) trudno jest zaklasyfikować jako wyraz antysemityzmu ideologiczno-narodowego. Trudno się też dziwić, biorąc pod uwagę straszliwe doświadczenia lat wojny, wielkim falam emigracji Żydów z Polski w latach 1945-46 i 1949-50. Wyjeżdżali zaś i ci, co przetrwali w kraju i ci, co z komunizmem zeknęli się w Rosji. Wśród tych, co zostawali byli też ludzie bardzo różni: marksiści i niemarksisci, Żydzi całkowicie zasymilowani i ci, co trzymali się swego języka, obyczajów i religii, choć tych z każdą kolejną falą uchodźstwa ubywało coraz bardziej.

Prawdą jest, że pośród pogrobowców KPP-inteligentów, którzy przeżyli wojnę i powracali ze Wschodu dominującą grupę stanowili Żydzi, ale nie to określało sposób, w jaki przeprowadzano sterowany w Moskwie program rewolucji proletariackiej. Program ów realizowany był z żelazną konsekwencją we wszystkich krajach Europy Wschodniej, gdzie stacjonowały wojska sowieckie, niezależnie od składu etnicznego wcielających go w życie partii komunistycznych. Prawdą jest również, że pośród tych Żydów, którzy pozostawali w Polsce, większość garnęła się do nowej władzy, która otwierała im szanse społecznego i politycznego awansu i odpowiedzialnych stanowisk, o jakich nie mogli marzyć w przedwojennej Polsce. Nieprawdą jest natomiast, jakoby Żydzi stanowili jedyną grupę, na którą liczyć mogła nowa państwowość. Wystarczy przestudiować życiorysy ludzi należących dziś do elity partyjnej by zrozumieć, że lata powojenne były, jak nigdy przedtem ani potem, latami awansu Polski powiatowej. Końskie, Sokółka, Kielce, Ciechanów czy Piotrków, oto skąd rekrutowały się zastępy urzędników, funkcjonariuszy, instruktorów, aktywistów partyjnych i młodzieżowych ideologów

5. Na Dolnym Śląsku osiedliło się ok. 50 % ludności żydowskiej kraju. Wedle szacunków przybyło tu prawie 85 tysięcy Żydów. Patrz: „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego”, nr 75, lipiec-wrzesień 1970, str. 35.

uzupełniając szczupły aparat z importu, na jakim wspierała się w początkach komunistyczna władza. Wśród pierwszej generacji z naboru partyjnego spotykamy synów drobnych urzędników, chłopów, robotników, rzemieślników i nauczycieli. Byli oni nie mniej żarliwi w swym świeżo przyswojonym komunizmie i nie mniej gotowi łączyć praktykę z teorią na zasadzie służby w tajnej policji, prokuraturze i cenzurze, niż ich starsi stażem towarzysze. W miarę zaostrzania się kursu i zwiększonego nacisku na czystość ideologiczną rosło znaczenie owego pierwszego pokolenia komunistów z Polski powiatowej. Że byli w stosunku do swych KPP-owskich kolegów ciut spóźnieni, zajmowali stanowiska referentów czy naczelników wydziałów, gdy tamci piastowali już funkcje dyrektorów departamentu czy ministrów, startowali jednak w warunkach tak sprzyjających, jakie nie były udziałem żadnej chyba generacji i nie wykazywali cienia ksenofobii gdy o awansach ich decydowali sprzyjający ich słowiańskim karierom niearyjscy zwierzchnicy.

Pisze dalej Kisielewski, że pogrobowcy KPP pozajmowali katedry filozofii, choć poza Schaffem i jednym czy dwoma innymi nazwiskami trudno się owych pogrobowców w filozofii doliczyć. Chyba, że dodamy socjalistę Hochfelda, neo-pozytywistę Nowińskiego, rozmiłowanego w Heglu Krońskiego, kontynuującą tradycje Czarnowskiego i Krzywickiego Assorodobraj, ale wówczas zmieniają się zasady rachunku. Jeśli idzie bowiem o ludzi usuwanych z wyższych uczelni w ramach czystek marcowych, to należeli oni w olbrzymiej większości do innego już pokolenia, które zaczynało swój start zawodowy i ideologiczny w Polsce powojennej. Znaczna ich część należała do partii czy ZWM w okresie studiów na Uniwersytecie Warszawskim czy Łódzkim, później znaleźli się w kuźni profesorskich kadr marksistowskich IKKNie. Nieco młodszy z nich, jeśli nie wiekiem to stażem politycznym, to absolwenci magisterskiego kursu filozofii na UW z 1952 roku. Prawdą jest, że przed ludźmi tymi otwierały się zawrotne kariery, ale były to, o czym się na ogół dziś nie wspomina, kariery pierwszych pokoleń komunistów z dyplomami, a nie awanse wedle narodowego klucza. Wśród IKKN-owców spotykamy nazwiska: Jagielskiego, Jaroszewicza, Jędruszczaka, Kępy, Kołakowskiego, Kuzińskiego, Krzemienia, Ładosza, Madajczyka, Macuzanki, Werblana i Wojnar-Sujeckiej, co już samo w sobie jest świadectwem, że marksizm fascynował nie tylko ludzi, których z takim upodobaniem wyliczała marcową propagandą, że wspomnimy tu Baczkę, Bialera, Brusa, Laptera, czy Helenę Eilstein. Wśród marksistów-magistrantów UW mamy obok Bauma — Kuczyńskiego, Kuczyńską, Wesołowskiego, Wiatra i Żandarowskiego, a nieco później Kociołka. Ofensywa ideologiczna

kierowała się przy tym w pierwszych latach nie tyle ku nauczaniu filozofii, ile ku rozbudowywaniu sieci katedr i kursów marksizmu-leninizmu (historia WKP(b)). Mobilizowano na nie przede wszystkim posiadających jakie takie wykształcenie b. KPPowców, co wobec składu KPPowskiej inteligencji określało w pierwszym okresie tej akcji strukturę narodowościową kadry nauczającej. Tylko że co z tego wynika dla dziejów ideologii w PRL? Krzewienie marksizmu odbywało się na tych samych zasadach co we wszystkich innych krajach demokracji ludowej: marksiści z ukończonym kursem szkolenia partyjnego w przedwojennym więzieniu czy w wojsku uczyli adeptów marksizmu z naboru 1948/49, ci z kolei następnych marksistów z roczników 1950/51 i tak to szło dalej, przy czym młodzi Słowianie wykazywali nie mniej zapału i gorliwości w akceptacji i krzewieniu doktryny, niż ich niearyjscy nauczyciele.

Tyle o doborze kadry filozoficznej i ideologicznej w ogóle. Rzecz to wstydliva dla dzisiejszych profesorów-pięćdziesięcio- i czterdziestolatków, bo któż chętnie przyznaje się do tego, że zaczynał swój staż teoretyczny w okresie stalinowskiego naboru. Tłumaczy się więc ludzie mojego pokolenia niedoświadczeniem, młodością, tym że ich oszukano, ale najchętniej wskazują na innych, tych obcych, jako odpowiedzialnych za partyjne wypaczenia i błędy. A gdy już mowa o dogmatyzmie i niszczeniu kulturalnej spuścizny to z reguły nie wspomina się tego, że w przededniu 1956 dziesiątki i setki młodych asystentów uczestniczyło już w walce przeciwko niemarksistowskim naleciałościom we wszystkich możliwych dyscyplinach, włączając fizykę, językoznawstwo i biologię, że pracujące pełną parą partyjne wydawnictwa liczyć mogły na rosnące zastępy autorów gotowych wykonywać propagandowe zamówienia i że cała Polska partyjna, centralna i powiatowa, zajęta była tropieniem wrogów ideologicznych i denuncjowaniem nieprzekonanych. Jeśli przeto Kisielewski mówi mi, że Polacy to naród pragmatyczny i wobec marksizmu oporny, to mając na uwadze tamten okres i tamto pokolenie z poglądem tym trudno mi się zgodzić.

Przejdźmy do dalszej części tych rozważań, a mianowicie do pytania, kto i kiedy rozczarowywał się do marksizmu. Kisielewski porównuje Czechosłowację i Polskę nie uwzględniając tego, że mamy tu dwa odrębne ciągi rozwojowe i dwie różne chronologie. Marksowski rewizjonizm w Polsce przypadał na okres październikowy i popaździernikowy; wtedy to właśnie rozliczano się ze stalinowskich praktyk, kwestionowano dogmaty i szukano formuł pozwalających godzić komunizm z marksowską tradycją i z programem socjalizmu o ludzkim obliczu. Wtedy też zachodnia prasa rozpisywała się z niemniejszym zainteresowaniem o pol-

skim rewizjonizmie, niż czyniła to w latach sześćdziesiątych w stosunku do rewizjonizmu czeskiego. Ewolucja Kołakowskiego i rozgłos, jaki uzyskała jego twórczość w tym okresie, są tu chyba przykładem najbardziej znamienym. Intensywność i zasięg ideologicznych rozrachunków okresu polskiego października nie były jednak wyznaczone przez podziały etniczne, lecz związane były z czynnikami zawodowymi, instytucjonalnymi i generacyjnymi.

Okres gomułkowski nie był przy tym okresem dominacji ani marksizmu ani rewizjonizmu — w pierwszych latach rządów Gomułki dochodził do głosu właśnie pragmatyzm połączony ze swoistym liberalizmem, jakiego próżno by szukać dzisiaj w życiu ideologicznym.

W wyniku października polikwidowano katedry marksizmu-leninizmu na polskich uniwersytetach, zniesiono katedry materializmu dialektycznego i historycznego zastępując je normalnymi katedrami z zakresu filozofii i socjologii, gruntownie przerebiono programy nauczania w naukach społecznych i powołano nowe czasopisma i wydawnictwa sprzyjające zachodzącym zmianom. Mnożyły się więc różne socjologie pracy, rodziny, prawa i miasta, rozwijały się badania terenowe, rosły zastępy studentów na wydziałach filozoficznych, ukazywały się w masowych nakładach prace Tatarkiewicza, Ossowskiego i Ossowskiej, a wszystkiemu patronowali zarówno Schaff jako pogrobowiec KPP, jak i kształcone kiedyś przez niego w dialektyce pokolenia funkcjonariuszy PZPR, dyrektorów ministerstw i młodych partyjnych docentów. W miarę zmniejszania się popytu na marksistów i ideologów kurczyła się wyraźnie ich podaż, a w miarę odchodzenia od okresu stalinowskiego i zmięszczenia ortodoksji tracił też sens marksistowski rewizjonizm, o którego istnieniu przypominało sobie najwyżej z lektury prasy sowieckiej i w ramach rytuału partyjnych zjazdów.

Jeżeli przejdziemy z kolei do „partyjnej intrygi” uwieńczonej wydarzeniami marcowymi i pomarcowymi 1968 roku, to naiwnością jest twierdzić, że ofiarą jej padli Żydzi-marksiści (na odwrót, zaznaczała się tendencja by tych nielicznych, do których ów przymiotnik „marksistowskiego uczonego” jako tako by jeszcze pasował, przechować na ich stanowiskach). Przedmiotem ataków byli Żydzi w ogóle, ze szczególną zjadłością jednak tropiono Żydów-liberałów, zarówno tych starszych, z partyjną przeszłością jak i najmłodszych, pokolenie Michnika i komandosów, z apatatem władzy nie mających nic wspólnego.

Warto pamiętać, że w latach sześćdziesiątych zaczęły się rysować wśród partyjnej inteligencji nowe podziały wynikające ze zróżnicowanego stosunku do autokratycznej władzy i do prób wzmocnienia policyjnej kontroli nad społeczeństwem. Upadek

Chruszczowa i zmiana kursu w Rosji zapoczątkowały w całym bloku tendencje do powrotu do rządów twardej ręki. Druga połowa lat sześćdziesiątych otwierała przy tym liczne alternatywy: jedną z perspektyw była droga czeska, drugą polityka rumuńska, trzecią — wariant na przeczekanie i ostrożne koncesje dla strony mocniejszej, czwartą wreszcie — przyjęcie bezwzględnej dominacji Moskwy. Nie ulegało wątpliwości, że pierwszy z tych wariantów był szczególnie popularny wśród młodzieży akademickiej i wśród inteligencji twórczej. Gdy rosnący ferment na Uniwersytecie Warszawskim spowodował powołanie specjalnej komisji partyjnej badającej przyczyny kryzysu, okazało się, że nosicielami opozycji demokratycznej w łonie organizacji partyjnej byli przede wszystkim ci z najdłuższym i najkrótszym stażem partyjnym. Gdy z kolei zaczęto poddawać opornych bliższej analizie personalnej, co już wówczas polegało na liczeniu Żydów, i gdy okazało się że tych ostatnich jest w obu wymienionych grupach znaczący odsetek, koncepcja spisku żydowskiego, lansowana przez niektóre klikę partyjne, wydawać się mogła elitom władzy darem niebios. Wojna izraelsko-arabska ułatwiła argumentację: cóż prostszego, jak tłumaczyć niepokój wśród studentów i rosnącą aktywność ideologicznej opozycji — której nosicielami była młodzież skupiona wokół Kuronia i Modzelewskiego — poprzez odwołanie się do koncepcji „syjonistycznej dywersji”. Można było więc poczynać sobie śmiało w tłumieniu demokratycznego ruchu studenckiego, tłumacząc, że chodzi „tylko o Żydów”, można było eliminować najbardziej aktywnych przywódców tego ruchu, uzasadniając to odkryciem inicjowanego jakoby przez Zambrowskiego spisku, można było neutralizować bezpartyjną opinię publiczną wyjaśniając, że pomarcowe rugi są przejawem i następstwem rozrachunków wewnątrzpartyjnych i można było kanalizować narastający niepokój wśród mas robotniczych poprzez organizowanie wieców i demonstracji pod szeroko propagowanymi przez środki masowego przekazu hasłami w rodzaju „Moški do Dajana”. Współzawodniczące z sobą klikę miały oczywiście różne interesy, różnie też rozkładały się propagandowe akcenty w kolejnych etapach policyjnej kontrofensywy przeciwko uczestnikom ruchu marcowego, w każdym jednak przypadku zaznaczała się tendencja do stosowania amnestii politycznej wobec tych, co łączyli słowiańskie pochodzenie z deklaracją lojalności.

Paradoks sytuacji polegał na tym, że program „odnowy” i oczyszczenia aparatu z ludzi pochodzenia żydowskiego wypadł na okres, kiedy w całej Polsce pozostawało już nie więcej niż około 25 tys. Żydów, z których znaczny odsetek przypadał przy tym na województwa śląskie. Nawet jeśli uwzględnić koncentrację osób pochodzenia żydowskiego w stolicy, w pewnych zawo-

dach i w pewnych instytucjach (w miarę rugowania Żydów z wielu sektorów w latach 1954-1966 skupiali się oni tam, gdzie — jak w wydawnictwach czy na Uniwersytetach — widzieli dla siebie szanse normalnej egzystencji) to i tak proporcje te były coraz mniej znaczące, że podam tu dla ilustracji jeden ze skrajnych przykładów „zagęszczenia”, o którym tak rozpisywała się marcowa prasa:

Ministerstwo Handlu Zagranicznego (Centrala):	ok. 800 prac.
Liczba zatrudnionych	W tym Żydów
na 4 wiceministrów .....	1
na 12 dyrektorów departamentu .....	1
na 4 radców ministra .....	2
na ok. 40 naczelników wydziałów .....	3
na ok. 100 radców handlowych .....	1
na setki referentów .....	1

Technika propagandowego kłamstwa polegała jednak na unikaniu dokładnych danych i statystyk. Na ich miejsce podawano „przykłady”, których efektem było to, że zapytywani przeze mnie uniwersyteccy koledzy, ilu, ich zdaniem, jest Żydów w Polsce podawali cyfry od 50 tysięcy do 600 tysięcy (autentyczne!).

Masy, które na to patrzyły, rozumiały chyba, że coś nie tak, bo starannie przygotowywane antyżydowskie kampanie nie budziły narodowych zrywów. Efekt tych kampanii polegał przede wszystkim na rozbudowywaniu aparatu władzy, na intensyfikacji ideologicznej kontroli, na stopniowym rozszerzaniu zasięgu politycznego nadzoru, na eliminowaniu ze wszystkich ogniw partyjnych ludzi nie dość uległych i zastępowanie ich bardziej posłuszną kadrą. Była to jednocześnie demonstracja siły ze strony władzy i kto wie czy nie na tym właśnie polegała główna funkcja pomarcowych represji, zastraszone bowiem polską inteligencją na długo i skutecznie. To, że w tym czasie przygotowywane już były plany interwencji w Czechosłowacji, nie docierało do świadomości mas, cóż się zresztą temu dziwić, jeśli nawet profesorowie wszech nauk, w tym nauk socjologicznych, raczyli się uwagami na temat klikowych rozgrywek, do których uczciwi bezpartyjni Polacy nie powinni się mieszać.

I wreszcie sprawa ostatnia, a mianowicie relacja między komunizmem a marksizmem, Utało się mianowicie przekonanie, któremu daje wyraz i Kisielewski, że marksizm jest doktryną partii komunistycznej: zanika marksizm i oto mamy partię bez ideologii, partię pragmatycznych przywódców, funkcjonariuszy i managerów.

W istocie rzeczy jednak doktryna komunistyczna podlegała od początku niemal zasadniczej ewolucji zasadzającej się na stopniowej erozji tradycji marksistowskiej z jednej strony, rozwoju tendencji nacjonalistycznych (a w przypadku Rosji także wielkomocarstwowych) z drugiej. Różnice między pragmatyzmem Stalina a pragmatyzmem jego następców wydają się polegać przede wszystkim na tym, że pierwszy dbał o „teoretyczne” uzasadnianie swych posunięć wykorzystując przy tym autorytet doktryny, z której uzasadnienia owe jakoby czerpał. W przypadku Chruszczowa, a później Breżniewa i innych współczesnych przywódców partii komunistycznych troska o stosowanie spójnej doktrynalnej fasady jest mniejsza, bezpryncypialność stanowi naczelną zasadę działania, miejsce teorii zajmuje natomiast frazeologia nacjonalistyczna, wedle której największym wrogiem jest już nie rewizjonista, ale nie-patriota, ten co oskarżając ustrój kała własne gniazdo.

Dlatego właśnie trudno się zgodzić z twierdzeniem Kisielewskiego, że Polska jest krajem komunistycznym bez komunistycznej ideologii. Ideologią była bowiem propaganda lansująca tezę o zagrożeniu Polski ze strony osi Izrael-Bonn i uzasadniająca tezę, że cały świat sprzysiągł się by szkalować nas-Polaków. Ideologią jest również obecne nawoływanie do politycznej uległości w imię obywatelskiej odpowiedzialności, straszenie rosyjskimi czołgami i przyłączanie się do inicjowanych przez Moskwę kampanii przeciwko Sołżenicynowi i innym politycznym dysydentom. Że nie cytuje się zaś zbyt często Marksa? Nie może być inaczej, skoro Marks stał się dzisiaj bożyszczem nowej lewicy, patronem zbuntowanych anarchistów, wyrocznią dla tych, którzy głoszą konieczność powrotu do rządów robotniczych przeciwko wszechwładzy partyjnych biurokracji.

Żydzi wyjechali, pozostał natomiast w Polsce mit, który po dziś dzień panuje nad umysłami i skutecznie uniemożliwia rozsądne dyskusowanie na temat najnowszej historii Polski. Mit ten jest produktem sytuacji, w której analizie i ocenie powojennych dziejów Polski pełne są wykrętnych tłumaczeń i niedomówień. Wielkomocarstwowe interesy Rosji, stalinowskie metody budowania aparatu władzy, formowanie się partii kadrowej i mechanizmy jej działania w warunkach importu rewolucji, ewolucja doktryny i przystosowywanie jej do aktualnych potrzeb elit rządzących, wbudowywanie treści nacjonalistycznych w oficjalną ideologię i manipulowanie tymi treściami w zmieniających się układach — wszystko to są sprawy wymagające szczegółowej analizy. Nawykły do porządkujących świat generalizacji umysł ludzki przyjmuje, w braku wyjaśnień poprawnych, tłumaczenia oparte na pojęciowych zbitkach, okrucinach doświadczeń, stereo-

typach i etnicznych przesądach. Gdy zaś zdarzy się — jak to miało miejsce w Polsce — że tłumaczenia takie są przez jakiś czas częścią oficjalnej propagandy, jesteśmy świadkami utrwalania się mitu, który przestaje niemal poddawać się racjonalnym zabiegom. Utrwala się on na zasadzie bezwładu, siły przyzwyczajenia, myślowej wygody, wzmacnia zaś w przypadku osobistego zaangażowania w obronę bzdur, których później wypada się albo wypierać albo wstydić.

Milczenie jakim pokrywa się obecnie w Polsce wydarzenia lat 1967 i 1969 stanowi samo w sobie jeden z czynników utrwalania się owego mitu. Cóż prostszego, jak uznać, że właśnie Żydzi wnieśli do Polski stalinowski komunizm, wbrew wysiłkom patriotycznych krajowców walczących solidarnie w imię narodowych tradycji. Cóż bardziej wygodnego, jak twierdzenie, że rok 1968 przyniósł odnowę w wyniku walki przeciwko pozostałościom stalinizmu, którego uosobieniem byli pozostający jeszcze w aparacie władzy Żydzi. Jeśli zaś przyjmujemy ów pogląd, możemy kwitować wyjazdy po 1968 roku twierdzeniem, że porzucali Polskę ci, którzy z narodem polskim nie mieli nic wspólnego, możemy dziwić się tym, którzy z uwagi na wyznawane przez nas poglądy zarzucają nam antysemityzm i możemy abstrahować od ideologicznych sporów uznając, że masowy *exodus* komunistów-marksistów doprowadził do stworzenia pragmatycznej Polski gierkowskiej, wyzwolonej od ideologicznego balastu.

Stefan Kisielewski tę interpretację, jak to się mówi, kupił. Kupił nie on jeden, ale olbrzymia większość polskiej inteligencji, tej najlepszej i na wskroś postępowej. Przyjęli wyjaśnienia, jakie dawała prasa, bo były logiczne i proste. Odcinając się od antysemickiej hecy, czynnie ją potępiając, nie dostrzegali procesów, jakie zachodziły w łonie inteligencji partyjnej, bo od procesów tych byli hermetycznie niemal odcięci. Zachowując swój stereotyp partii komunistycznej i roli Żydów jako jej czołowych ideologów nie zauważali i zauważać nie mogli zmian, jakie dokonywały się w składzie inteligencji partyjnej i aparacie władzy, nie widzieli nowych podziałów i nie rozumieli związanych z nimi konfliktów i sprzeczności. Gdy przyszedł często przeciw antysemickiej hecy nie zdając sobie sprawy, że ta właśnie heca jest częścią mechanizmu odwracania uwagi opinii publicznej od spraw znacznie ogólniejszych. Do spraw tych należało pytanie, jak przeciwstawić się politycznej kontrofensywie? Jakimi metodami bronić naruszonych praw obywatelskich? Jak wspierać wiosnę praską? Jak reagować na niszczenie jednostki poprzez używanie metody publicznych oszczerstw, na które w warunkach cenzury nie ma odpowiedzi. Jak ustosunkować się do prób zniesienia resztek auto-

nomii uniwersytetów polskich i ubezwłasnowolnienia organizacji młodzieżowych? Na antyżydowską kampanię, firmowaną przez najwyższe władze PRL, reagowali ludzie różnie, jedni aprobując ją, inni potępiając, jeszcze inni (a tych była bodaj olbrzymia większość) śledząc jej przebieg na zasadzie zwykłej osobom postronnym ciekawości, ale nawet w tej ostatniej funkcji kampania ta zrobiła swoje, skoro po dziś dzień utrzymują się skutki ideologicznej mistyfikacji, jakiej poddano wówczas społeczeństwo.

Historiozofia, która polega na sprowadzaniu dziejów komunizmu do kwestii żydowskiej, nie sprzyja oczywiście społecznej edukacji. Stereotypy, o których mowa, odcisnęły się jak blizna na politycznej myśli Polaków. Warto by wreszcie z nimi skończyć, takie są też intencje moich uwag, w których nie zarzucam panu Kisielewskiemu niczego więcej, jak uległość wobec schematu, któremu poddało się wraz z nim tak wielu inteligentnych ludzi w Polsce.

Maria HIRSZOWICZ

**“ AN  
EKS ”**

kwartalnik polityczny

**A N E K S**  
do ocenzonej prasy w Polsce  
**TŁUMACZENIA**  
**ARTYKUŁY WŁASNE**  
**POLITYKA - IDEOLOGIA**  
**NAUKA**

Cena rocznej prenumeraty (4 numery) ANEKSU wynosi:  
w Europie i gdziekolwiek na świecie pocztą zwykłą F.40,00;  
dol. US 9,00; S.kr. 36,00.

Cena prenumeraty dla bibliotek, instytucji oraz organizacji jest  
wyższa o 50 %.

Prenumeraty i zamówienia prosimy kierować na adres  
redakcji:

BOX 23057, S-750 23 UPPSALA 23, SUEDE (SWEDEN)

## Sprawy i troski

### List z Londynu

Szanowny Panie Redaktorze!

Wśród niedzielnych brukowców tej Wyspy (gdzie z szacunku dla szabasu dotąd nie wolno otwierać teatrów i urządzać zawodowych meczów sportowych) rekordy poczytności bije *News of the World* o nakładzie ponad 6 milionów egzemplarzy. Nieświadomi rzeczy srodze by się jednak zawiedli, gdyby spróbowali znaleźć na tych łamach przyręczone „wiadomości ze świata”, bo wbrew tytułowi nader ich tu małe. Znajdziemy za to obfitą kronikę skandali, zbrodni, sadyzmu i wyczynów kryminalnych opisanych ze wszystkimi pikantnymi i obrzydliwymi szczegółami, aczkolwiek w tonie ubolewającym, że jaka to natura ludzka jest zdeprawowana. Jak bowiem twierdzą wydawcy, *Wiadomości ze świata*, są pismem umoralniającym, którego naczelnym zadaniem jest demaskowanie Zła w całej jego brzydocie i wpajanie w czytelników przekonania o nieuchronności kary za grzechy. Na dobrą sprawę to umoralniające pismo powinno więc nosić nadruk „*Imprimatur. Nihil obstat*”. Tym bardziej, że jeśli chodzi o obfity materiał z dziedziny sadyzmu, śmiało wytrzyma konkurencję nawet *Żywotów świętych* Skargi.

Wbrew obyczajom tubylczej inteligencji, która demonstracyjnie brzydzi się tym brukowcem dla plebsu, wcale się nie zapieram, że lubię go czasem poczytać. Czynie to całkiem bezinteresownie bo, w odróżnieniu od niektórych tu naszych Pisarzy i Dziennikarzy, nie mogę się usprawiedliwić narodową manią łowienia „poloników” w najnieprawdopodobniejszych nawet miejscach. Bo tych tu nader skąpo, tak że mielibyśmy dobry powód zgłosić jeszcze jeden protest przeciw tubylczym „masmediom”, że ignorują Sprawę Polską i Nasz Wkład — do czego, Panie



Redaktorze? Żeby jednak oddać sprawiedliwość *Wiadomościom ze świata*, wypada przyznać, że nasza Emigracja niewiele ma im do zaoferowania, taka jest nudna i szara. Nie stać nas ani na imponujące wyczyny kryminalne, ani na rozpustę w wielkim stylu, tylko co najwyższej na pokątne świństwo. Ale nie gratulujmy sobie, że pochodzi to ze świeckiego czy religijnego umiłowania Cnoty, u źródeł tej nudy leżą bowiem nawyki życia codziennego na poziomie muła, ubóstwo wyobraźni i narodowy zwyczaj robienia rzeczy przez pół. Jak to obrazowo ujmuje Pismo Święte: „Znam sprawy twoje, iż nie jesteś ani zimny, ani gorący. Ale iżżeś letni i ani zimny, ani gorący, pocznę cię wyrzucać z ust moich”.

W tych warunkach dostanie się Rodaków na łamy *Wiadomości ze świata* jest nie lada osiągnięciem i polonikiem pierwszej kategorii, choć zjawiają się tu niestety nie w postaci imponującej, tylko — zgodnie ze swym charakterem — niesmacznej. Świństwo i oszukaństwo to nasza specjalność. Takie smutne refleksje nawiedziły mnie ostatnio z okazji porządkowania moich archiwów, które wyrzuciły ze swych czeluści zapomniany polonik. Jest on wart uwagi, dotyczy bowiem spraw ciągle jak najbardziej aktualnych.

22 marca 1970 *Wiadomości ze świata* wreszcie zauważyły Nasz Wkład w życie Brytanii i oddały mu sprawiedliwość w artykule: „Mężowie na sprzedaż. £ 100 od sztuki”. Pod tym frapującym nagłówkiem czytamy: „Do wszystkich mężczyzn do wzięcia, którzy ukończyli 18 lat i są w stanie dojść o własnych siłach albo być przyniesieni do ołtarza: pilnujcie się, gdy jesteście w tym mieście! W Slough łatwo może się zdarzyć, że zaproponują wam małżeństwo z wyrachowania (*marriage of convenience*). Na pozor rzecz wygląda zachęcająco, gdy ktoś wam zaoferuje £ 100 i śliczną dziewczynę zza granicy za żonę, która musi wyjść za mąż żeby zdobyć brytyjskie obywatelstwo i zostać tu na stałe, gdy skończy się jej okres pozwolenia pracy. Ale nie liczcie na miodowy miesiąc. Po ślubie prawdopodobnie nie zobaczycie więcej swej małżonki i na dodatek możecie mieć kłopoty z wydobyciem obiecanych £ 100”.

Miasto Slough pod Londynem od początku naszej kolonizacji Zielonej Wyspy zwabia licznych Rodaków swym rozbudowanym przemysłem: uboższych do fabryk, a zamożniejszych do zaopekowania się tamtymi przez dostarczenie im „komfortowych pokoiów z wygodami i używalnością”. Wyroił się przy tym zwykły bukiet stowarzyszeń i lokali, a także przedsiębiorstwa. Wśród ostatnich znalazła się firma zajmująca się sprawami, które ogólnie można określić jako finansowe: według *Wiadomości ze*

*świata* są to pożyczki na domy, ubezpieczenia oraz „załatwiamy ludziom jeszcze inne rzeczy” — jakie? Pożyteczna ta placówka nosi odpowiednio patriotyczną nazwę Przedsiębiorstwo Biały Orzeł (*White Eagle Enterprises*), aczkolwiek prowadzący ją Rodacy zdobyli sobie tubylcze nazwiska, nie zawsze zresztą najszczęśliwsze. Warto tu zaznaczyć, że w tym kraju gdzie palcem nie tknąć, tam sterczy dumnie jakiś Biały Orzeł i w tych Orłach każdy coś dla siebie znajdzie, poczynając od piwa, krzepiącej serce akademii i patriotycznej potańcówki (np. Balu Kopernikowskiego z okazji pięćsetlecia Wielkiego Rodaka), skończywszy zaś na zdesperowanej oblubienicy do szybkiego wzięcia. Tak właśnie jak w Białym Orle ze Slough.

Jak nas informuje reporter *Wiadomości ze świata*, wśród mieszkańców tego miasta żył-był sobie Anglosas, Mr John Bonner, z zawodu matrycowy, dwukrotnie żonaty rozwodnik i ojciec czworga dzieci. „W starym brązowym kapeluszu zawadiałko na bakier [fotka: szczupły, dowcipna minka, dzięki łysinie „myślące” czoło], popijając herbatę Mr Bonner opowiedział mi co następuje:

„Ostatniego grudnia Mr Ralph Regan [fotka: tęgi, łysy, z grymasem przypominającym uśmiech], polski kamienicznik z lokatorskimi domami, spytał mnie czy nie potrzebuję forsy. Kto nie potrzebuje? Więc zaraz mi każe iść do Przedsiębiorstwa Orzeł Biały na Slough High Street. Tu spotykam Mr Frank'a Semline'a, jednego z szefów tej firmy, i gromadę Polaków, wśród których jest ładna dziewczyna. Mówią mi, że ta dziewczyna imieniem Barbara jest posługaczką w Domu Ozdrowieńców, właśnie kończy jej się dwuletni pobyt w tym kraju i będzie musiała wyjechać. Czy ożeniłbym się z nią za £ 100? Powiadam: czemu nie? Przecież prócz gotówki zdobyłbym sobie towarzyszkę życia... Zaczynają szwargotać po polsku, zadają mi pytania i tak jakoś wstępna oferta zjeżdża do £ 50. Wreszcie Mr Semline powiada: proszę się zapoznać z narzeczoną! Zrywam się z miejsca, podaję jej rękę i powiadam OK.

„Potem miałem kłopoty, bo w roboczym czasie musiałem trzy razy jechać do Londynu żeby zdobyć świadectwo rozwodu, metrykę urodzenia i inne papierki, a także zapłaciłem £ 3 i 5 szylingów za licencję na małżeństwo. Przez te wszystkie zwalniania wylano mnie z pracy, więc wpadłem niewąsko, co? A powinienem był przewąchać, że mnie robią na szaro, gdy Barbara nawet nie raczyła podziękować za kwiaty i czekoladę, które jej zaniósłem”.

Wreszcie 9 stycznia 1970 w urzędzie stanu cywilnego w słynnym mieście Eton młoda para złączyła się dożgonnym węzłem:

John Edward Bonner lat 45 i Barbara Chrzanowska, panna, lat 20. Ale oddajmy głos oblubieńcowi:

„Po ceremonii.. pojechaliśmy wszyscy do biur Orła Białego. Mr Semline otworzył flaszkę cypryjskiego sherry i zaznaczył, że rozwód też mi załatwi. A moja młoda żonka powiada, że idzie na policję zgłosić swe małżeństwo. I to był ostatni raz, gdy ją widziałem. Dali mi £ 30 i powiedzieli, że resztę wypłaca potem”.

Tu w opowiadanie pana młodego wtrąca się jego 24-letni współlokator, także Anglik: „W tym samym czasie jeden Polak zahaczył mnie, czy nie chciałbym się ożenić. Miałem wątpliwości czy kto mnie zechce, ale on powiada żebym zadzwonił do Białego Orła, a dostanę £ 100 i żonę. Korciło mnie, ale zrezygnowałem i teraz się cieszę”.

Po tym wywiadzie reporter zamarzył o „pogodzeniu nieszczęsnego Mr Bonnera z jego nieuchwytną małżonką”, więc pojechali do Domu Ozdrowieńców, gdzie ta nadal pracowała w kuchni. Na widok męża rzuciła się do ucieczki, więc obaj panowie zawrócili do Białego Orła. Ale i tu niczego nie dało się wyjaśnić, bo był właśnie nowy dyrektor, Mr Semline bawił w Paryżu, a jego partner, Mr Norman Stensel (także Rodak) akurat wyszedł. Reporter zdołał tylko ustalić, że przed wyjazdem Mr Semline oświadczył: „To głupia sprawa. Sprowadziłem Barbarę do tego kraju i załatwiłem jej przedłużenie pobytu o 6 miesięcy. Nic mi nie wiadomo, że wyszła za mąż”. A odnaleziony Mr Stensel dodał znacząco: „Od trzech lat nie miałem do czynienia z małżeństwami z wyrachowania, ale zdarzają nam się szczególne przypadki”. I wreszcie Mr Ralph Regan, który „powitał Mr Bonnera promiennym uśmiechem”, powiedział reporterowi, że woli nie mówić o tej sprawie, która „jest niezwykła, ponieważ nikt nie uczynił niczego przeciwko prawu”. Na zakończenie pan młody wzdycha melancholijnie: „Pomyśleć, że nigdy jej nawet nie pocałowałem. Poczekajmy, niech-no tylko zażąda rozwodu!”.

Jaka szkoda, że nigdy się nie dowiemy ile takich par skojarzył ten jeden Orzeł Biały! A inne...



Otóż właśnie: nikt tu nie naruszył prawa. Według prawa cudzoziemka poślubiająca obywatela brytyjskiego zyskuje jego obywatelstwo i przepisy o cudzoziemcach więcej je nie dotyczą. To samo odnosiło się do cudzoziemskich mężów obywaterek brytyjskich, ale Ustawa o Imigracji z roku 1971 wprowadziła w tym wypadku dyskryminację wobec kobiet, tak że obecnie cudzoziem-

ski mąż tutejszej obywatelki nie nabywa prawa pobytu w Anglii. Ale zagraniczne panie stanu wolnego, pragnące tu zostać na stałe, nadal mają wolną rękę w łowieniu tutejszych małżonków. Cóż więc im pozostaje, gdy kończy się wiza i policja zaczyna się interesować żeby wyjechały w przepisowym terminie? Muszą oczywiście stanąć co prędzej na ślubnym kobiercu z pierwszym lepszym, byle by posiadał prawo pobytu. Z takich nagłych ataków Amora słyną przede wszystkim Panie z Polski na Krótkim Urlopie, które z desperacką nadzieją reklamują na Pocztytnych Łamach swą pospieszną gotowość — istny Bazar Różycykiego: komu żonka — tanio oddam — komu? Jest to najpowszechniej używany sposób na znalezienie Tego Jedynego, choć oczywiście można też zorganizować prywatną nagonkę przy pomocy znajomych, a w ostateczności kupić, z zastrzeżeniem że we właściwym czasie nabytek ma się stawić do rozwodu. Próbowanie szczęścia odwiecznym zwyczajem na potańcówkach, jak u Orzeszkowej w „mieście N”, nie daje większych widoków, a to w skutek przemian obyczajowych, jakim podlegają tutejsi Rodacy pod wpływem angielskiego otoczenia, przyjęło się bowiem, że cały wieczór tańczy się z tym, z kim się przyszło, tak że osoby bez przydziału kłusownictwo mają nader utrudnione i Pani na Krótkim Urlopie może najwyżej liczyć na walczyka z własnym krewniakiem lub jakim czerstwym staruszkim, któremu „te rzeczy” już raczej nie w głowie. Dla pełności obrazu należy jeszcze zaznaczyć, że bywają i panowie na krótkim urlopie, którzy na gwałt poszukują żony, ale o jej kupowaniu nie słyszałam. Panowie z Polski również reklamują się na Pocztytnych Łamach w celach eksportowych — widać biedacy dotąd nie słyszeli o złowrogiej ustawie z roku 1971, bo chyba im przecież nie chodzi o importowanie angielskiej żony do Polski, gdzie kobiet jest w nadmiarze. Tych panów na eksport jest zresztą o wiele mniej niż pań, może dlatego, że mężczyzna musi być przygotowany do pracy zarobkowej w obcym kraju, o którego wymaganiach, a przeważnie i języku nie ma pojęcia, podczas gdy eksportowa pani liczy na życie „przy mężu”, a nawet jeśli przyjdzie pracować, to nie będzie to podstawą jej bytu.

Trudno dociec jaki jest powód tego damskiego szału matrymonialnego. Rzut oka na statystyki demograficzne PRL wskazuje, że w rocznikach nie nadszarpniętych wojną, do lat 40-tu, proporcja płci układa się prawidłowo, do lat 30-tu jest już drobna przewaga mężczyzn, a w grupie dwudziestolatków jest ich nawet o dwa i pół procent więcej. Można więc jeszcze zrozumieć czemu kobiety w wieku średnim i starszym próbują szczęścia za granicą, ale czym się kierują te dekoracyjne kociaki, dwudziestolatki „z maturą” oraz studentki uniwersytetów, których cała przysz-

łość jest w Polsce, a które tu desperacko polują na jaką bądź zwierzynę płci męskiej i pseudomęskiej (o czym dalej)? Może być co bądź, a wszystko piknie byle by prędko: analfabeta, szympan albo dziadunio — jego dane osobiste w hierarchii ważności stoją daleko za kamienicą i samochodem. Słyszysz się nawet o takich, co jadąc tu na urlop czy jako *au pair* na naukę angielskiego likwidują w Polsce wszystkie swe sprawy, zdeterminowane wyjść tu za mąż. Czemu Panie na Krótkim Urlopie tak desperacko chcą tu zostać? Czy cierpią w kraju prześladowania polityczne? Skądże znowu, co je obchodzi polityka! A może po raz pierwszy w życiu zakosztowały na Zachodzie swobody intelektualnej i już nie potrafią się jej wyrzec? Ależ gdzie, nigdy im nie była potrzebna i może nawet nie wiedzą, że coś takiego istnieje. No więc czemu? Jako osobnik tej samej płci od lat próbuję to rozgryźć i w żaden sposób nie potrafię. Jak można, jeśli się nie musi, wyrzec się rodziny, przyjaciół, warsztatu pracy i znajomych kątów i w obcym kraju, odcięta od wszystkiego, próbować zapuszczać korzenie? Dla kogo i w imię czego? Dla pierwszego-lepszego faceta z ogłoszenia, którego nawet nie miało się czasu poznać, a co dopiero polubić? Dla towaru za £ 100, na widok którego trzeba się rzucić do ucieczki, jak ta Barbara przed Mr Bonnerem? Po co ta dwudziestoletnia Barbara tak tu chciała zostać? Żeby pracować w kuchni, jakby już w kraju nie mogła marzyć o takiej karierze? A może po prostu dlatego, że sklepy tu pełne ciuchów i, w odróżnieniu od Polski, cena np. przyzwoitego palta jest kilkakrotnie niższa od paromiesięcznego zarobku posługaczki kuchennej, a modny sweterek kupi sobie za dniówkę? Chyba tu właśnie jest pies pogrzebany. A dodatkowe zalety? Czy nie rozkosznie jest zaimponować rodzinie w Polsce, znajomym i koleżankom — niech-no zobaczą, co ta Barbara jest naprawdę warta: przyszła, zobaczyła i zwyciężyła! Nic więc dziwnego, że w kraju pełni się mit o Pięknych Polkach, które na Zachodzie mają takie oszałamiające powodzenie, mężczyźni rzucają się na nie jak tygrysy, ani się opędzić. Mało kto tam słyszał — bo i od kogo? Przecież nie od heroin tych romansów — o smutnych, brzydkich i poniżających realiach tego nachalnego wystawiania własnej osoby na sprzedaż.

Jak łatwo zgadnąć, Panie na Krótkim Urlopie łowią przede wszystkim Rodaków. Gdy zaczęły pojawiać się po Październiku, nasza kawalerka przyjęła je z aplauzem — taki tu był brak Polek, a nie każdy przecież reflektował na Angielkę. Polski Amor rozhulał się po Wyspie, przy ołtarzu kraj byle jak i prędko bratał się z emigracją, nie zważając że przez dzielące nas lata rozwinęły

się między nami różnice psychiczne i obyczajowe, wynikłe z życia w różnych środowiskach. Toteż wkrótce zaczęło zgrzytać, okazywało się coraz częściej, że wiele z tych małżeństw trzeszczy w szwach. I nic dziwnego: przecież Panie ciągnęły tu jak do Eldorado i poślubiając w oszałamiającym tempie kamieniczników i samochodziarzy były olśnione swą bogatą karierą. Ale po-grążywszy się po wstępnych uniesieniach w prozę codzienności musiały zauważyć, że posiadanie tych luksusów nie jest tu niczym wyjątkowym i nikt za to nie podziwia. I że, co gorsza, często to nawet nie luksus, skoro mąż latami buli zań ciężkie raty, a w wolnych chwilach pochłaniają go, oczywiście własnoręcznie, reperacje i remonty. No i dom jak dom, ma to do siebie, że pełno w nim babskiej roboty. Wybuchają więc kwasy: czy Pani z Polski po to wyrzekła się Ojczyzny, żeby tu zostać służącą i wieść nudny żywot przy zagonionym i w gruncie rzeczy obojętnym jej mężu? Czemu nie ma gosposi? Znajdź mi przynajmniej dochodzącą sprzątaczkę, prачkę do pieluch, a jak cię na to nie stać, to czemuś taki niedojda? A co dopiero jeśli kamienicy w ogóle nie ma i przyszło żyć w podnajętym! I jeszcze ten zmęczony emigrant, cały dzień w pracy, często nadgodziny — ani mu w głowie kawiarnie, dancingi i „bywanie”. Czemu tu ludzie tacy nietowarzyscy? Tacy jesteście zmaterializowani, że tylko gonicie za pieniądzem! Okazywało się, że to wymarzone małżeństwo za wszelką cenę, to wątpliwy interes, żona z krótkiego urlopu nie rzadko czuła się oszukana i wykorzystana, za jedyne zadośćuczynienie mając doroczny wypad do rodziny w Polsce. Tu zstępowała jak św. Mikołaj, obładowana ciuchami i prezentami, na które swego tyrana wykrwawiła na białą, robiąc mu przy tym wyrzuty, że dotąd nie kupił domu, a jeśli kupił, to czemu taki marny, a jeśli nie marny, to czemu tylko jeden, jak Antosiowie mają dwa i targują trzeci? Ale o tym, bawiąc w Polsce, oczywiście milczała, niech zazdroszczą, niech koleżanki szlag trafi, że co ona w tej Anglii musi mieć, jeśli tu zjeżdża tak okazale. A po powrocie kwasy i pretensje, tym bardziej że żona z Polski często wyzwała łańcuchową reakcję: zdobywszy tu przy-czołek, ciągnie za nią rodzina, krewni, koleżanki, znajomi, znajomi znajomych i tacy sobie z pozdrowieniami od cioci z Wołomina, którzy liczą w zamian na kwaterę i oprowadzanie po Anglii. Ciągłe ktoś obcy w domu, wszystko by chciał włącznie z pośrednictwem w sprzedaży przywiezionych z Polski wódek / grzybów / sowieckich aparatów fotograficznych / krajoznawczych kobył-albumów, oraz w „okazyjnym” nabyciu tutejszych towarów na handel w Polsce. Nic dziwnego, że mężowi z emigracji resztki włosów stają dęba i małżeństwo jełczeje. Stąd wzbogaceni w doświadczenie kandydaci do żeniaczki ogłaszający się na Poczytnych

Łamach lubią zaznaczyć, że „panie z Polski wykluczone” (i z tych samych powodów co sprytniejsze Panie na Krótkim Urlopie podkreślają, że są „skromnych wymagań”). Panowie ci, zagadnięci o powód swych zastrzeżeń wyjaśniają, że z żoną tutejszego chowu przynajmniej wiadomo jak się stoi: nie ma przewrócone w głowie i wie, że nie warto bredzić o gosposiach, że pieniądze nie znajduje się na ulicy i że w ogóle nie ma cudów.

O tarapatach tych małżeństw krąży wiele anegdot. O udanych oczywiście się nie mówi, bo nic w tym ciekawego, a przecież jakiś procent musi być udany. O jednym z tych ostatnich opowiem, bo znów podniesie się larum, że wywłóczę wszystko co najgorsze, jak ten pies ze śmietnika. Otóż do mych londyńskich znajomych, pp. Zenków, przyjechała na urlop siostra p. Zenka, wdowa po pięćdziesiątce, wyglądająca o wiele starszej przez ogólne zaniedbanie i zrujnowane uzębienie, jak to z kraju, gdzie na głowę ludności przypada jedna szczotka do zębów na cztery lata, a chodzenie do dentysty uważa się za rzecz ekskscentryczną. W ramach wyposażania szwagierki p. Zenkowa zaprowadziła ją do dentysty po nowoczesne protezy i rozpoczął się generalny remont. Sprawa się przeciągała, a tu policja zaczyna się interesować wyjazdem gościa. Szwagierka w płacz: nie chce wracać, nikogo w Polsce nie ma, no i te zęby. P. Zenkowa płacze razem ze współczucia, a p. Zenek chodzi wściekły na ten babski lament i że nie ma jak siostrze pomóc. I tu, jak dobra wróżka, wkracza kuma żony: trzeba szwagierkę wydać za męża, i to już! Ogólne zdumienie: skąd wytrzasnąć męża?! Zrobi się, kuma ma lokatora Polaka, wprawdzie po starokawalersku rozładaczony, whisky i piśkowe wyścigi, ale jak się ożeni, to się odmieni, dobry z niego elektryk i zarabia ładnie. — Bożeż mój — woła p. Zenkowa — toż z Gieni istna megiera, bez zębów i zapuchnięta od beku! — Nic to — rzecze kuma — przyprowadzę go w niedzielę. — Czeka ją w napięciu, szwagierka furt płacze, że kawaler przestraszy się na jej widok. Nadchodzi wielki dzień, p. Genia dalej zapuchnięta, twarz od konkurenta odwraca, dla kurażu *drinki* na stół i kuma powiada: — Panie Mieciu, no bo się pogniewam! — A więc oświadczyły i przyśpieszony ślub, policjant odchodzi z kwitkiem. I wreszcie *happy end*: p. Miecio rzeczywiście wypryzwoiścił, zarobek oddaje żonie i kupili dom, a p. Genia wyprzystojniała przez te zęby i nowe ciuchy, i nawet nie żąda gosposi. Daj im Boże, amen.



Ale to wszystko, to sprawy między Rodakami. Jest ciekawsze, że Panie na Krótkim Urlopie łowią również Anglików, i to

nie tylko za pieniądze. Jest to dla mnie niezgłębiona tajemnica: ogromna ich większość nie umie ani słowa po angielsku, a jeśli, to bardzo źle, więc nie może wabić konkurenta dowcipem czy sympatyczną osobowością. A zresztą Anglicy nie cieszą się na ogół podrywackimi talentami i wolą być podrywani przez kobiety, co od wieków podkreślają pamiętniki zwiedzających Albion cudzoziemców. Stąd ich własne panie rozwinęły wybitne w tym kierunku talenty. Zresztą Anglicy na co dzień oglądają w sklepach, biurach i na ulicy atrakcyjne, zadbane dziewczęta dostępne zwykłym śmiertelnikom, więc czego mieliby szukać u Pań na Krótkim Urlopie, których ogromna większość nie może się poszczycić wyjątkową urodą? Zwłaszcza że te Panie, według zachodnich kryteriów, bynajmniej nie są zadbane, bo nadwiślańskie wyczipirzenie, to jednak całkiem coś innego. W porównaniu z Angielkami mają kiepskie cery i nieporządne fryzury o włosach zrujnowanych krajową „sztuką” fryzjerską (słynne „polskie głowy”), a te młodsze są często ordynarnie wymalowane, co na Zachodzie od króla Cwieczka niemodne, i trzeba biegłego oka żeby spostrzeżęło, że dopiero po zmyciu całego tego obrzydlistwa można pod spodem znaleźć coś ładnego. Widziałem też takie, które nawet w miejscach publicznych wonieją czosnkiem — dla tubylców szczyt abominacji. A jednak dzieją się cuda i próżno dociekać jak to się robi: tajemnica zawodowa. W każdym razie warto stanąć na głowie, bo złapać zachodniego Europejczyka jest — z perspektywy krajowej — o wiele bardziej prestiżowe niż Rodaka-emigranta, nawet jeśli zaloty i miodowy miesiąc muszą się odbyć na niemo, i dopiero potem się odkrywa, komu właściwie ślubowało się dogonną miłością. Chyba tylko przez tę niemożność dogadania kojarzą się takie stadła jak ta para, którą onegdaj poznałam: ona (Polka) odczytana, dowcipna, wykształcona; on (Anglik) zaspany niedojda o inteligencji grubo poniżej przeciętnej. Albo twarzowa studentka historii sztuki imieniem Agnieszka, która swego czasu kręciła się tu po polskich lokalach, zarabiając dorywczo sprzątaniami i kelnerowaniem. Szalała żeby tu zostać i wreszcie złapała podejrzanego typu z East Endu, który zgodził się z nią ożenić, wszelako z zastrzeżeniem żeby na nic nie liczyła: żony nie potrzebuje, co dzień może mieć inne panie i lubi rozmaitość. Agnieszka była jednak niepełnoletnia, więc musiała napisać do matki w Polsce o pozwolenie na małżeństwo. Matka (podobno inteligentka!) z radością pobłogosławiła młodej parze. To było kilka lat temu. Niedawno znajoma wpadła gdzieś na Agnieszkę i ledwo ją poznała, bo jej wygląd i sposób bycia niedwuznacznie zdradzał, że została adeptką najstarszej profesji świata. Twierdzi, że świetnie jej się powodzi i jest zadowolona. Wracać do domu? Śmiech pusty — a cóż tam za życie! A mama

w Polsce pewno się puszy przed znajomymi córką i angielskim zięciem w Londynie. Zięciów faktycznie ma całe gromady.

Nie wykluczone, że wbrew tym wszystkim prognostykom część tych małżeństw „na niemowę” może być udana, choć nic takiego nie widziałam ani nawet nie słyszałam. Słyszałam za to o zgrzytach, gdy za żoną z Polski ściągają krewni i znajomi, dom ciągle pełen cudzoziemszczyzny, niepojętego szwargotu i egzotycznie woniącego jadła, aż angielski mąż nie wie, w jakim znalazł się świecie. A powinien być rad, że nic nie rozumie, bo mógłby się dowiedzieć (jak w znanym mi wypadku), że spragniona swojskości żona skacze na boki z polskimi dżentelmenami, co w naszych kawiarniach jest publiczną tajemnicą.

Jak już się rzekło, gdy wszystko zawiedzie, męża można kupić i znam takie wypadki nie tylko z *Wiadomości ze świata*. Przez lata honorarium wynosiło £ 100, ale ostatnio — w związku z inflacją — słyszy się o £ 150. Warto podkreślić, że nigdy nie słyszałam o kupowaniu Rodaków, a wyłącznie tubylców rasy białej lub ciemnej, ale nie czarnej. Materiał na kupnych mężów bywa różny. Niektórzy, jak Mr Bonner, szczerze pragną małżonki, ale na ogół są to związki czysto handlowe. Znam przypadek, gdy londyńscy Rodacy kupili dla kuzynki na krótkim urlopie autentycznego hippiesa. Umowa opiewała £ 100 i nowy garnitur, w którym pan młody stawi się w urzędzie stanu cywilnego; ponadto ma się wymyć, ostrzyć i ogolić, bo rodzina oblubienicy nie chce się wstydzić, i wreszcie w przepisowym czasie zgłosi się do rozwodu. Hippies forszę wziął, garnitur sprzedał zaraz po ślubie, kudły szybko odrosły, i zniknął wedle umowy. Ale mam wątpliwości, czy wykona ostatni warunek: w jego sferach zarówno śluby jak i rozwody nie są potrzebne.

Jeszcze egzotyczniejszym materiałem na lipnych mężów bywają panowie o szczególnych gustach, których w Albionie nigdy nie brakło. W tym wypadku, prócz zwykłego honorarium, rolę Amora spełnia Urząd Podatkowy JKM. Dla pana spragnionego ulgi podatkowej na żonę (ale bez żony) Pani na Krótkim Urlopie jest idealnym rozwiązaniem. Z punktu widzenia Pani jest to jednak na dłuższy dystans mniej atrakcyjna propozycja, bo można wątpić czy po odczekaniu przepisowego okresu „rozkładu pożycia” małżonek zgodzi się na rozwód bez hałasu, by umożliwić jej normalne małżeństwo. O jednym takim mariażu słyszałam niedawno. Skojarzyli go sami Anglicy, a mianowicie zamożne małżeństwo na emeryturze, do którego przyjechała jako *au pair* dziewczyna z Polski zdecydowana zostać tu na stałe. Starsi państwo byli tak z niej zadowoleni, że — by nie stracić domowego skarbu, który tu jest na wagę złota — znaleźli dla niej

i opłacili pewnego Anglika. Ślub — jak zawsze w tych wypadkach cywilny — odbył się przepisowo, po czym „żona” wróciła do chlebobawców, a „mąż” do ciepłego gniazdka, które dzieli z oblubieńcem. Zresztą „małżeństwo” wkrótce się zaprzyjaźniło, ona zaprasza go na obiady i czasem porządkuje jego kawalerskie gospodarstwo, a on niekiedy wyprowadza ją do lokalu czy teatru. Ciekawe jak to się ułoży dalej. W międzyczasie jej rodzina w Polsce zapewne puszy się londyńskim małżeństwem córki, i to z Anglikiem z „lepszej” sfery.

I wreszcie, dla pełnego obrazu romansów kraj-emigracja-Albion, warto napomknąć o tym, o czym panuje głucho milczenie: o gigolakach importowanych z Polski przez leciwe „ciocie” i „kuzynki”. Jest to zjawisko marginesowe, o którego zasięgu nie mam pojęcia, choć kilku takich młodzianków oglądałam w różnym czasie. O ile mieli tu zostać na stałe, przed ustawą z 1971 roku „ciocie” musiały ich szybko ożenić z posiadaczkami angielskiego obywatelstwa czy prawa pobytu. Były to zazwyczaj małżeństwa autentyczne, kończące się autentycznymi rozwodami. Zwłaszcza jeden gigolak utkwiał mi w pamięci jako dość typowy okaz swego rodzaju. Złożył mi wizytę w pracy, niby służbowo, choć jej cel do końca pozostał niejasny. Strzygł rżęsami, krygował się, kręcił zadkiem opiętym w cholernie *sexy* bordowe zamsze i falował biustem rozpiętym po pępek i obwieszonym łańcuchami. Powtarza w kółko nazwisko pewnej dość znanej damy po siedemdziesiątce, która go importowała z Polski, upewniając się czy aby na pewno wiem o kogo chodzi i czy zrobiło to na mnie odpowiednie wrażenie — status „cioci” jest oczywiście rzeczą prestiżową.

Świadomi rzeczy mówią, że gigolaka nie musi się koniecznie importować i że w Białych Orłach i innych lokalach matrony znajdują gotowy towar, który się tam wystawia na sprzedaż, a także że gwoli różnaitości podają go sobie z rączki do rączki. Raz nawet obito mi się o uszy, że zdarzają się snobistyczni panowie konkurujący z matronami, ale tu nie mam żadnych bliższych danych, aczkolwiek jeden oblatany bywalec zapewnił mnie o autentyczności tego zjawiska i dodał irytująco: — Oczu nie masz? Jakaś ty dziecinna!

Zebrałam oto co się dało: bliźnim na przestrożę, przyszłym historykom na pożytek, trudu ni czasu nie żałując, i to całkiem bezinteresownie, bo nikt mi przecież nie da Złotego Krzyża Za-

sługi (można kupić w Londynie, ale *tylko w burcie*) ani nawet Dyplomu Uznania na Tradycyjnym Opłatku czy Tradycyjnym Święconym Jajku, ani w uznaniu zasług nie mianuje majorem, legionistą czy choćby komandosem. Przy gromadzeniu materiału odwaliał robotę za trzech — nie darmo krążą wieści, że jestem triumviratem. I dzięki temu ma Pan, Panie Redaktorze, ten — mało być może widoczny z Maisons-Laffitte — przyczynek miłosny do socjologii Emigracji, któremu na imię: PANI (lecz nie tylko) Z POLSKI NA KRÓTKIM URLOPIE POZNA Z BRAKU ZNAJOMOŚCI...

Grażyna NOWAK

## Wizyta w ojczyźnie

„Prawdziwy to dla mnie starzyka już ziemny raj!” — pisze nam w liście czytelnik o polskich książkach i numerach naszego pisma, jakimi „dobre dusze krajańskie” obdarzyły go w szpitalu w Buffalo, USA. „A i zaciekawity mnie i Bóg wam zapłać, Redakcja, te obfite pisanie o rodzinnej Ziemi Białoruskiej” — dodaje, mając na myśli zapewne wrażenia z podróży Ludwika Smoleńskiego (Nr 4/307) i J. Mirskiego (Nr 11/314). „Ja też tam byłem — powiada — i zle i lepsze piłem, gdy uznacie, wydrukujcie, Szanowni”. Spełniamy jego życzenie, uważając ten krótki opis wizyty w stronach rodzinnych za wzruszający przez swoją zwięzłość: z każdego niemal zdania przezierają i dzieje jednego życia i wielowiekowe dzieje całego kraju.

### Z KORESPONDENCJI

Pamięci L. Podhorskiego-Okołowa

Przepłynęły Ziemia Podlaska, przepłynęły smutne iwy nadbużańskie. Graniczny most. Stary Brześć powitał nowym „wakzałem”. Był rok 1971. Wojskowi w innym umundurowaniu. Pod krawatkami oficerstwo i „furażki” tak przypominają formatem tamte jeszcze carskie. Dużo samochodów, więcej jak w Polsce. Znikły tu pocziwe „dryndy”, na których tak rozbijali się po wejściu w 39 „oswobodziciele”. Patrzą, rozrośnięte dziewczyny w służbie kolei piszą kredą na wagonach: „Ziarnowej — Polsce”. Czy nie tylko amerykańska to pszeniczka?

Mikołajowska cytadela-twierdza zamieniona w muzeum 41 roku. Wtedy bomby waliły w nią jak w Westerplatte w 39. Cie-

szyli się wtedy ludzie w „turmie” karmieni „czumizom”, że zaczęło się.

Równina kędzierzawa i kraj Wieszcza przybliżył się. Już nie ten urok. Gdzie te zaścianki, gdzie kapliczki?

Tak w sędziwym Nieświeżu spotkałem swoje dobre dusze. Przypomnieli smak boćwinki, kwaszaninki, kisielku owsianego, kołdunów przednich majerankowych, kwasu chlebowego i oładków najlepszych, smak dzieciństwa nawracających. Przecierpiał ten Nieśwież i stare mury popękały od huku bitwy tankowej co przetaczała się w 44 roku. Zaglądnąłem jeszcze do Mira. Sławny mój Mir! Zamczyśko ani drgnęło od tych lat pożegnania. Zielone wody stawów takie jak przed laty. Tylko ludzi swoich już tak niewiele. Pozostał sędziwy Marek co wiersze przepiękne Leona Podhorskiego-Okołowa tej ziemi poświęcone przechował z dawnych lat. A już dzieci tych pozostałych to inni ludzie. Ich już i w Polsce nie rozumieliby dobrze. Za pieniądzem ruszają na Ałtajski Kraj, gdzieś na Dalekie Wostoki.

Przy wieczery pan Marek opowiadał i o Siebieży, gdzie był kiedyś majątek socjała Limanowskiego. Ten lesisto-jeziorny kraj był do 41 umocnionym rejonem wojska i naszych ludzi dawno wysiedlono. Ale te sławetne głuszce, i słomki, i bekasy zasiedlają dalej te ponure lasy.

Opuszczałem ziemię ojców ze smutkiem, bo już tam ja i inni nasi nie wrócą.

„Wyrzta łopatą jama głęboka,  
Na obczyźnie śmierci czas wybije...”

Sław. STAKOSZ

## Sprawy (nie tylko) wydawnicze

### « Bariera wewnętrznego sprzeciwu »

W prasie fachowej, w sowieckich podręcznikach sztuki edytorskiej najwięcej uwagi poświęca się roli i zadaniom redaktora. Rozbieżności zdań w tej materii — jak się łatwo domyślić — nie są wielkie, ale każda polemika wiele pozwala zrozumieć.

Ostatni numer moskiewskiego czasopisma *W mire knig* (1974, 6), formułuje w sposób wyjątkowo dobitny dwa najbardziej skrajne, ale jeszcze „cenzuralne” stanowiska w sprawie stosunków autor — wydawca w ZSSR. Sekretarz Związku Literatów Łotwy poddaje nieśmiało krytyce praktyki łotewskich wydawców i redaktorów, zgłasza pod ich adresem szereg postulatów; dodajmy, że spełnienie wszystkich tych postulatów dla każdego czytelnika na Zachodzie stanowi elementarny obowiązek — racje istnienia wydawcy. Żali się więc pisarz na zbyt długi okres produkcji; przyjęty już do wydania maszynopis spoczywa w wydawnictwie co najmniej dwa lata; niezdecydowanie ocen, wielość recenzji, zmienność tych decyzji — to dalsze plagi wydawnicze.

Sądy to dalekie od jakiegokolwiek liberalnej, „rewizjonistycznej” krytyki wydawcy. Żaden kandydat do medalu Fadiejewa (o czym niżej) nawet pomyśleć się nie odważy, że wydawca socjalistyczny istnieje po to, by realizować prawo pisarza do swobodnej wypowiedzi, że autor i tylko autor decydować winien o tym co pragnie zaprezentować czytelnikowi.

Ale nawet te nieśmiałe żale na skostnienie i zbiurokratyzowanie, skromne postulaty przyspieszenia i usprawnienia pracy redakcyjnej osłabia autor artykułu jak może, by nie być poświadczonym o „krytykanctwo”. Zabawne wręcz są jego wysiłki, by uniknąć posądzenia o krytykę nie tylko samej instytucji redaktora, ale nawet stosowanych kryteriów redaktorskiej oceny. Przytacza mianowicie wyłącznie takie przykłady wydawniczej zwłoki, gdzie już — jak mu się wydawało — pośpiech był konieczny i dla wydawcy niegroźny: lata całe trwał przekład książki, pozytywnie ocenionej w *Prawdzie*, zwlekano z wyda-

niem publikacji okolicznościowych z okazji Najważniejszych Patriotycznych Rocznic itd.

Powiedzmy tu nawiasem, że nawet w Polsce podobna krytyka wydawców — to chleb powszedni prasy literackiej. Jak długo pamięcią sięgam, nie było chyba zebrania Związku Literatów, na którym by nie poddawano o wiele ostrzejszej krytyce stosunków panujących w światku wydawniczym. Niczego ta krytyka w istocie nie zmienia, ale zawsze można sobie trochę ulżyć. Wydawcy na najbardziej nawet ostre ataki (opóźnienia, koterie, „asekurantyzm”, niechlujstwa redakcyjne, „schlebianie gustom” etc.) odpowiadają rzadko, unikają kontrataków na pisarzy — ale dalej oczywiście robią swoje.

Inaczej w ZSSR. Wróćmy do wspomnianej wyżej wypowiedzi łotewskiego pisarza. Odpowiada mu w tym samym piśmie zastępca redaktora naczelnego łotewskiego wydawnictwa literatury pięknej. Zaskoczony, jak powiada, niespodziewanym atakiem, pan redaktor reaguje z niesłychaną pewnością siebie i zrozumiałstwem, ale szczerze. Rzadko spotyka się nawet w sowieckiej prasie sformułowania tak jednoznaczne, spostponowanie pisarza tak brutalne.

Pan redaktor naczelny zna doskonale reguły gry. A więc na wstępie — znane każdemu czytelnikowi gazet — banalne stwierdzenia o potrzebie uwag krytycznych. Wydawnictwo dalekie jest jeszcze od doskonałości i wiele jeszcze musi w swojej pracy ulepszyć. Odprawiwszy jednak te niezbędne egzorcyzmy przechodzi do ostrego ataku na pisarza. Czego to mu się zachciewa! Pisarze muszą nareszcie zrozumieć, że to nie oni, ale redaktorzy ponoszą całkowitą odpowiedzialność polityczną, ideologiczną za wydanie książki. Na stół redaktora przychodzi dzieło w wysokim stopniu niedoskonałe; dopiero z jego rąk uzyskuje ostateczny kształt, odpowiadający wymaganiom „partii, rządu i czytelnika”.

Autor artykułu przyznaje, że proces redakcyjny trwa długo, że lata mijają zanim książka odnajdzie drogę do drukarni. Usprawiedliwienie tego stanu rzeczy zasługuje na trwałe odnotowanie w historii ruchu wydawniczego. Winę za długi przebieg procesów redakcyjnych ponoszą... pisarze. Jakżeż można skracać okres opracowywania maszynopisu w wydawnictwie, skoro autorzy są nieuzyci, nie od razu zgadzają się na każdą poprawkę redakcyjną. Autorzy przychodzą do redakcji nieprzygotowani psychicznie. Przygotowanie to winno polegać na — tu cytuję dosłownie — „przełamaniu wewnętrznego bariery sprzeciwu”. Wielu jeszcze autorów sądzi, że powinni bronić swego dzieła przed redaktorem, przed recenzentami wszelkiego typu. Wydaje im się — czytamy w artykule — że dobrze służą sprawie wydania swojej książki, jeśli uparcie odmawiają wprowadzania proponowanych poprawek.

Jak długo trwa ten zgubny stan psychiczny autora, jak długo nie wyzbędzie się on swojej „wewnętrznej bariery sprzeciwu” („barier’ wnutriennogo soprotiwlenija”), wydawca jest bezsilny; dzieło pozostanie w szufladzie dopóki wszystkie ważniejsze po-

prawki nie zostaną wprowadzone do maszynopisu. Komentarz tu zbyteczny — jest to żywcem przeniesiona z niesławnej praktyki czystek partyjnych i dochodzeń policyjnych teoryjka o obowiązku „rozbrojenia się” wobec zawsze słusznej aktualnej linii partii, wobec postulatów władzy.

Autor artykułu pisze bez żadnych ogródek: wielu autorów „nie nastawia się” na przyjęcie — i to chętne — uwag redaktora, nie rozumie, że redaktor jest rzecznikiem „partii, rządu i czytelnika”, że ON wie lepiej jaki powinien być kształt ostateczny książki, by zasłużyła na wydanie w ZSSR. Wobec takiego autora pozostaje wydawcy tylko jedno: odesłać mu maszynopis. To działa zbawiennie — jeśli nie za pierwszym nawrotem, to po kilku dalszych. Maszynopis wędruje od autora do wydawnictwa tam i z powrotem. Mijają miesiące, mijają lata — aż autor „skruszeje”, pokona swoje opory wewnętrzne, odruchy obronne i uzna słuszność sądów całego gremium cenzorsko-redakcyjnego.

Czyta się omawiany tu artykuł jak w koszmarnym śnie. Ale nie zajmowałbym się nim gdyby nie stanowił wyjątkowo jasnego określenia powszechnej praktyki wydawniczej obowiązującej w ZSSR i w krajach, które model sowiecki przyjęły. Przykłady, dowody przynosi niemal każdy numer pism literackich z *Literaturnoja Gazietą* na czele. Aż do znudzenia wspomina się każde życzliwe słowo o redaktorach czołowych pisarzy rosyjskich. Wspomina się z uznaniem tych pisarzy, którzy z pomocą redaktora przerabiali gruntownie swoje dzieło. Ustanowienie przez rząd ZSSR złotego medalu im. Fadiejewa (za najlepsze utwory o treści wojskowo-patriotycznej) prasa łączy głównie z jego przenicowaną powieścią „Młoda Gwardia”: zgodnie z postulatami redaktora w drugim wydaniu Fadiejew wprowadził do powieści jako organizatora partyzanckich akcji młodzieży sekretarza organizacji partyjnej.

Czyta się wrzuszające opisy współpracy pisarza z redaktorem. Znakomity pisarz z uznaniem przyjmuje uwagi redaktora (po rosyjsku: „przysłuchuje się” jego sądom), przyjaźni się z nim, bez oporu, na miejscu, pisze wielostronicowe poprawki, by wprowadzić do tekstu jakąś nową myśl, sformułować inną tak, by uniknąć groźących nieporozumień, itd.

Prasa nie przytacza natomiast na ogół nazwisk autorów niesfornych, autorów, którzy nie mają zamiaru wyzywać się swojej „wewnętrznej bariery sprzeciwu”, walczą z redaktorem, „utrudniają mu pracę”. Odważają się nawet odwoływać do różnych instancji nadzoru partyjnego i cenzorskiego (niekiedy to się nawet udaje: przypomnijmy, że zgodę na druk „Jednego dnia Iwana Denisowicza” wyraził SAM Chruszczow). O tej bezimiennej grupie niedyscyplinowanych pisarzy pisze się, że jeszcze nie doceniają społecznej roli twórcy w społeczeństwie; literatura jest przecież podporządkowana ogólnym zasadom partyjnej polityki kulturalnej, a redaktor powołany do tego, by przykrawać te zasady do wymiarów i potrzeb dzieła. Redaktor — jak to się tam pisze — centralna postać ruchu wydawniczego — rozstrzyga

niemal bezapelacyjnie o losach dzieła, a więc również o losach pisarza.

A polska praktyka wydawnicza? W Polsce wiernie został odtworzony model sowiecki. Taka sama jest struktura państwowych i spółdzielczych przedsiębiorstw wydawniczych, niemal identyczne metody planowania i kontroli pracy wydawnictw. Te same są — formalnie — obowiązki i zadania redaktora w wydawnictwie, cenzora w GUKPPIW, urzędnika Zjednoczenia Wydawnictw, czy pracownika właściwego wydziału KC partii.

A jednak odmienne warunki formowania i stabilizacji władzy nie pozostały bez wpływu na instytucje kulturalne kraju. W dużej mierze różny od sowieckiego jest również redaktor prasy, radia, a szczególnie wydawnictw polskich. Najbardziej przy tym charakterystyczne jest nieporównanie większe niż w ZSSR zróżnicowanie roli redaktora w różnych instytucjach wydawniczych. Na przykład w polskiej prasie nie brak przecież gangsterów dziennikarskich spod znaku Machejka i Kąkola. Ale ma rację Daniel Passent, który w polemice (błażej zresztą) z Kisielewskim broni dziennikarzy polskich przed wrzucaniem do jednego worka. Formułuje on swoiste zasady dziennikarskiej przyzwoitości — nie wszystko co dziennikarz napisze, może w Polsce wydrukować, ale wszystko co zostanie wydrukowane z jego podpisem, powinno odpowiadać w pełni jego przekonaniom. Przekonania te — pisze Passent — winien dzielić ze swoim zespołem redakcyjnym i jeśli jest w zespole *Polityki*, to nie może drukować swoich prac na przykład w *Prawie i życiu*.

Nie są to różnice aż nazbyt wielkie, na pewno nie zasadnicze, ale jednak istnieją, a fakt że o nich można *expressis verbis* pisać w organie partyjnym — dobitnie wskazuje na odmienny klimat polskiej prasy.

Podobnie rzecz się ma z redaktorami wydawnictw. Różna jest rola redaktora i jego postawa wobec autora w różnych wydawnictwach. W najbardziej poddanej kontroli partyjnej instytucji wydawniczej KC, w „Książce i Wiedzy” redaktor wyposażony jest w atrybuty władzy, podobne do redaktora w ZSSR. Ale nawet w „Książce i Wiedzy”, nie mówiąc już o innych domach wydawniczych, nikt nie ośmieliłby się tak ostentacyjnie jak w ZSSR głosić sławy redaktora jako wszechwładnego rzecznika Władzy. Przeciwnie — mimo odmiennej często praktyki — rolę redaktora określa się raczej skromnie, podkreśla jego zadania doradcy i recenzenta, osłania milczeniem nakazy realizowania zadań partyjnych.

Dlatego też — jak się wydaje — nie poddano dotąd krytyce sformułowanych po roku 1956 zadań redaktora. Wyniki ówczesnej dyskusji wydawców na ten temat sformułowałem dobitnie w mojej książce, skonfiskowanej w roku 1957. Ale nawet w dopuszczonej do sprzedaży jej wersji drugiej (1958), wystarczająco jasno określa się miejsce redaktora w socjalistycznym wydawnictwie. Główna odpowiedzialność redaktora polega na zapewnieniu druku każdemu wartościowemu dziełu. Chroniąc czytelnika



ka przed grafomaństwem musi on dostrzec każdy przejaw talentu, stworzyć warunki korzystne dla swobodnego rozwoju twórczości. Największe znaczenie ma praca redaktora w stosunku do nadsyłanych maszynopisów debiutantów oraz pisarzy początkujących i nieznanymi, najmniejsze — wobec dzieł pisarzy znanych; po pierwszej konfrontacji z krytyką i z czytelnikiem, pisarz sam odpowiada za swoje dzieło i nie powinien zgadzać się na poddawanie maszynopisu korekcie redakcyjnej. Nie powinien również — co się często zdarza — liczyć na tę korektę i składać maszynopis niedbale przygotowany do druku (słynął z tego na przykład Putrament). „Specyficznie polska” jest więc rola redaktora — różna w każdej instytucji wydawniczej, zależna od charakteru dzieła i od osoby autora. Wobec autora o uznanym już dorobku literackim rola redaktora ogranicza się do tzw. pierwszego czytania, niezbędnego dla podjęcia decyzji wydawcy o publikacji dzieła.

Żaden redaktor w Polsce nie ośmieli się więc napisać — na wzór łotewskiego kolegi — o konieczności „rozbrajania” pisarza wobec wydawcy. Ale konformistyczni pisarze plenią się wszędzie. Spotkać ich można w każdym kraju: wyzbyci „wewnętrznych barier sprzeciwu” i skrupułów moralnych, mają ci rzemieślnicy słowa wszędzie, również w Polsce, łatwość druku, dostęp do przywilejów i zaszczytów.

Ale przyszłość nie do nich należy. Nie do ich dzieł bezproblemowych, gładkich, dla wydawcy bezpiecznych — ale bezwartościowych, nieczytanych, rychło pokrytych kurzem zapomnienia. Tylko ci redaktorzy zasłużyli się polskiej kulturze, którzy zabiegali, walczyli o wydanie dzieł zaangażowanych w konflikty współczesnego świata; dzieł budzących może nawet sprzeciwy, ale zawsze pobudzających do krytycznego myślenia, do płodnej dyskusji. Dzieł wyrażających szczerze myśli i uczucia autora, chronione jak najwyższą „barierą wewnętrznego sprzeciwu” przed niedopuszczalną ingerencją redaktora i cenzora.

Uppsala, 3 września 1974.

Adam BROMBERG

## OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec  
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO  
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:  
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

## Książki

### Krótko o książkach

Ilość książek, poświęconych Związkowi Sowieckiemu, rośnie z każdym dniem. Historycy, filozofowie, działacze polityczni spieszą się z wyłożeniem swoich poglądów na cały szereg zagadnień, tworzących razem całą naukę, noszącą dziwaczną nazwę — sowietologia. Krótkie notatki być może pomogą ewentualnemu czytelnikowi zorientować się w najnowszej „sowietologicznej” literaturze.

Prawie jednocześnie wyszły w Stanach Zjednoczonych dwie biografie Stalina.

1. Adam B. Ulam: *Stalin. The Man and his Era* (The Viking Press, New York, 1973). W jednym, ogromnym tomie autor daje najbardziej pełną, w chwili obecnej, biografię Stalina, na szerokim tle historycznym. Specjalnie cenne według mnie są rozdziały poświęcone kolektywizacji i polityce zagranicznej ZSSR. Adam B. Ulam jest jednocześnie autorem wyczerpującej pracy na temat sowieckiej polityki zagranicznej (*Expansion and Coexistence. Soviet Foreign Policy. 1917-1973*, 760 str.), i doskonale zna swój temat. Wiele stwierdzeń autora wywoła niewątpliwie zastrzeżenia historyków. Sporna wydaje mi się mistyczna odpowiedź na zasadnicze zagadnienie: co było powodem okrucieństw, niezliczonych morderstw i terroru. „Umarli” — mówi Adam Ulam o ofiarach Stalina — „by życie potwierdziło prawdę dogmatu. Życie powinno być stałą walką między siłami światła i ciemności... Stalin — niespokojny, zbuntowany człowiek — wyczuwał religijno-egzystencjalne dążenia natury ludzkiej, gdyż ostro je odczuwał sam”.

2. Robert S. Tucker: *Stalin as Revolutionary. A Study in History and Personality. 1879-1929* (W. W. Norton and Co., New York, 1973, str. 519). To dopiero pierwszy tom — początek wielotomowej biografii. Amerykański dyplomata, który stał się histo-

rykiem, próbuje wnieść nowe elementy do „wiedzy o Stalinie”, wykorzystując psychoanalizę dla rozszyfrowania charakteru woźdza narodów. Lenin przekształca się u Tuckera w postać ojca, którego Stalin próbuje naśladować jednocześnie go nienawidząc. Opierając się na psychoanalizie Tucker rezygnuje z analizy historycznej, przedstawiając wydarzenia na podstawie stalinowskich raportów i pism, tak jakby zasługiwały one na całkowite zaufanie.

3. *Bucharin i rewolucja bolszewicka* (Stephen F. Cohen: „Bucharin and the Bolshevik Revolution. A political biography, 1888-1938”, Alfred A. Knopf, New York, 1973). Pierwsza szczegółowa biografia jednego z najbliższych towarzyszy Lenina i Stalina. Stephen F. Cohen zebrał bogaty materiał i z entuzjazmem opowiada o życiu i śmierci „ostatniego bolszewika”. Dla amerykańskiego historyka Bucharin jest alternatywą Stalina i stalinizmu. Jest to punkt widzenia, z którym można się zgodzić, lub nie. Cohen nie wykorzystuje jednak materiałów i dokumentów, które mogłyby podważyć wiarę czytelnika w „dobrego bolszewika”. W 1925 roku w moskiewskim Komitecie Partii miało miejsce ostatnie spotkanie rosyjskiej inteligencji z przywódcami partii, ostatnie na którym inteligencja mówiła to, co myślała. Partię reprezentował Bucharin. W odpowiedzi na domaganie się wolności twórczej powiedział: „Gdy mówi się, że należy dać wolność twórczości, to natychmiast powstaje problem wolności propagowania monarchizmu, czy w dziedzinie biologii witalizmu, czy w filozofii idealizmu w stylu Kanta. Przy takiej wolności z naszych uniwersytetów wychodziliby pracownicy kultury, którzy mogliby pracować zarówno w Pradze, jak i w Moskwie. A my chcemy mieć takich pracowników, którzy mogliby być zatrudnieni tylko w Moskwie”. Bucharinowi wówczas nawet się nie śniło, że przyjdzie czas, gdy moskiewscy pracownicy będą mogli spokojnie pracować i w Pradze. Doskonale jednak wiedział czego chciał: „Tak, my będziemy sztancować inteligentów, będziemy ich produkować, tak jak w fabryce”.

Tego rodzaju wypowiedzi nie bardzo pasują do oblicza „oświeconego bolszewika”, przedstawionego przez Cohena i tych wypowiedzi w jego książce nie znajdujemy. Nie wspomina on również o tym, że Bucharin nalegał na egzekucję inżynierów oskarżonych o szkodnictwo w 1928 roku. To byli inteligenci jeszcze „nieosztancowani”. W drugim wydaniu swojej książki powinien historyk wykorzystać świadectwa znajdujące się w „Archipelagu GUŁag”, w rozdziale poświęconym Bucharinowi.

4. Praca francuskiego komunisty i socjologa Charles Bettelheim'a *Walka klasowa w ZSSR* („Les luttes de classes en URSS. 1<sup>re</sup> période 1917-1923”, Ed. du Seuil-Maspero, 1974) jest znamiętym przykładem „sowietologicznej” literatury typu marksistowskiego. Zaczawszy uczyć się języka rosyjskiego w 1934 roku, odwiedziwszy po raz pierwszy ZSSR w roku 1936, wydawszy na-

stępnie dużą ilość książek o sowieckim planowaniu, Charles Bettelheim zrozumiał dzisiaj — jak przyznaje w przedmowie — że „specyficzne formy analizy”, które poprzednio proponował są „niezadowolające”. Ewolucja francuskiego ekonomisty (jeśli można mówić o ewolucji) jest niezmiernie charakterystyczna dla znacznej części zachodniej lewicującej inteligencji. Po Stalinie wiarę w socjalizm zapala w nich ponownie XX zjazd, następnie Jugosławia, potem Kuba, a wreszcie „rewolucja kulturalna” w Chinach. Wśród objaśnień charakteru Don Juana jest również następujące: Don Juan jest impotentem i ma nadzieję, że w każdej nowej kobiecie znajdzie tę, która przywróci mu siły męskie. Można by nazwać kompleksem Don Juana gorączkowe poszukiwania uczonych typu Charles Bettelheima takiego socjalizmu, który by im przywrócił wiarę w naukę Marksa. Swoją ostatnią pracę Charles Bettelheim zaczyna od przyznania, że w ZSSR — po prawie 60-ciu latach budowy socjalizmu — istnieją nadal klasy i walka klas. Dodaje, że „wydarzenia w Polsce w grudniu 1970 roku stały się punktem zwrotnym w stosunkach między klasą robotniczą krajów sowieckiego bloku, a władzą polityczną”. Lecz zamiast przystąpić do analizy tych nowych, dzisiejszych stosunków ekonomista francuski powraca do pierwszych lat władzy sowieckiej. Pierwszy tom niestety niczego nowego nie wnosi. Charles Bettelheim analizuje historię „okresu leninowskiego”, starając się dowieść, że wszystkie odstępstwa od czystej teorii marksistowskiej, które robił Lenin, zostały wymuszone okolicznościami. By tego dowieść autor „Walki klasowej w ZSSR” wykorzystuje nieprawdziwe, lub nieścisłe informacje. Np. powtarza wymysł, że po rewolucji październikowej ustalono 8-mio godzinny dzień pracy, chociaż został on wprowadzony zaraz po rewolucji lutowej. Powtarza plotkę, że Lenin planował w 1922 roku „powrót do określonej wolności prasy”. Dobrze wiadomo, że w 1922 roku został już utworzony potężny aparat cenzorski, Gławlit, i jednocześnie ukazał się „Indeks o usunięciu anty-artystycznej i kontrrewolucyjnej literatury z bibliotek obsługujących masowego czytelnika”, podpisany przez żonę Lenina, Nadieżdę Krupską. Wśród zakazanych autorów znaleźli się Platon, Kant, Tołstoj, Leskow itd. Nie wiedząc, albo nie chcąc nic o tym wiedzieć Ch. Bettelheim wszystkie partie socjalistyczne — mieniszewików, eserów — nazywa „demokratycznymi” w cudzysłowach. Jedyną partią proletariacko-demokratyczną są dla niego bolszewicy-leninowcy. Nie miał ochoty wykorzystać w swojej książce świetnej pracy historyka amerykańskiego James Benyana pt. „Powstanie pracy przymusowej w państwie sowieckim — 1917-1921”, a powstanie obozów koncentracyjnych dla robotników przesunął do 1920 roku, wstydliwie zaznaczając, że „w tym czasie nie miały one ani znaczenia, ani tej roli ekonomicznej, jaką zyskały później w okresie planów pięcioletnich”. Wiadomo przecież, że obozy koncentracyjne powstały latem 1918 roku, a od przyszłych — z okresu „planów pięcioletnich” — różniły się tylko rozmachem.

5. Cóż pozostaje posłowi, który przechodził na emeryturę, jak nie pisanie pamiętników. Dr Helmut Allardt, który był posem NRF w Moskwie w latach 1968-1972, zatytułował swoje wspomnienia: *Dziennik moskiewski. Spostrzeżenia, uwagi, przeżycia* („Moskauer Tagebuch. Beobachtungen, Notizen, Erlebnisse”, Ewu Verlag, Düsseldorf-Wien). Niestety w książce jest zbyt dużo banalnych informacji o Związku Sowieckim i Rosji, a zbyt mało osobistych informacji i przeżyć. Nieliczne portrety sowieckich działaczy, z którymi poseł się stykał, są ciekawe i często zaskakujące. Helmut Allardt najbardziej serio porównuje np. sowieckiego ministra Spraw Zagranicznych, Andreja Gromyko z Bismarckiem. Allardt znajdował się w Moskwie w czasie gdy prowadzone były pertraktacje, zakończone zawarciem umowy między ZSSR a NRF, ale nie brał on w nich udziału. Ze strony niemieckiej były one prowadzone przez osobistego przedstawiciela Brandta — Bahra.

*Dziennik moskiewski* jest ciekawy dlatego, że wykazuje jak przestarzała jest dziś sama koncepcja dyplomacji, która narodziła się w początkach XIX wieku.

6. Znacznie więcej od posta może zobaczyć w Moskwie korespondent zagraniczny. Ma się rozumieć jeśli chce patrzeć. David Bonavia miał 29 lat gdy *Times* wysłał go do Moskwy. Przez trzy lata władze sowieckie wojowały z nim, aż wreszcie wydalono go z ZSSR. Książka *Tłusty Sasza i partyzantka w mieście*, w której opowiada swoje przeżycia w czasie trzyletniego pobytu w Moskwie („Fat Sasha and the Urban Guerilla. Protest and Conformism in the Soviet Union”, Hamish Hamilton, London, 1973), to najbardziej uczciwy, przemyślany i interesujący opis środowiska moskiewskich dysydentów. W zasadzie są to portrety twórców Samizdatu i ludzi go kolportujących; Żydów walczących o prawo wyemigrowania; agentów KGB — cały przekrój sowieckiego społeczeństwa, którego — jak dotąd — nikt nie mógł zaobserwować tak dobrze z zewnątrz. Wydalonego ze Związku Sowieckiego Davida Bonavię Chińska Republika Ludowa zgodziła się przyjąć jako korespondenta *Times*'a. Możliwe, że po pewnym czasie dowiemy się o Chinach tego, czego zwykle korespondenci zagraniczni nie piszą.

A. K.

## Nadesłane nowości wydawnicze

- MALIŃSKI (M. Ks.) *Nasz chleb powszedni*. Str. 213 i 3 nlb. (Wyd. „Znak”, Kraków, 1974; cena: zł 52).
- MALIŃSKI (M. Ks.) *To nie takie proste, mój drogi*. Opracowanie graficzne Roman Cieślewicz. Str. 378 i 4 nlb. (Wyd. Editions du Dialogue, Paryż, 1974).
- SKOLIMOWSKI (Henryk). *Zmierzch światopoglądu naukowego*. Str. 207 i 1 nlb. (Wyd. Odnowa Ltd., Londyn, 1974).
- LEWIN (Witold). *Przed potopem*. Powieść. Str. 380. (Wyd. Logos, Monachium, 1974; cena £3.00).
- Niepodległość*. Czasopismo poświęcone najnowszym dziejom Polski. Tom dziewiąty (po wznowieniu). Str. 439 i 1 nlb. (Wyd. Instytut J. Piłsudskiego, Londyn, 1974).
- WEINSTEIN (Jan). *Polska polityka zagraniczna w krzywym zwierciadle historyka*. Uwagi o książce dr. Polońskiego „Politics in Independent Poland, 1921-1939”. (Odbitka z czasopisma *Niepodległość*, tom IX, 1974, Londyn, wyd. Instytut Józefa Piłsudskiego, str. 351-394).
- RINGELBLUM (Emmanuel). *Polish-Jewish Relations during the Second World War*. Redakcja i komentarze Joseph Kermish i Shmuel Krakowski. Tłumaczenie z polskiego Dafna Allon, Danuta Dąbrowska i Dana Keren. Str. 330 i 4 nlb. (Wyd. Yad Vassem, Jeruzolima, 1974).
- ŁYSEK (Paweł, prof.). *Poland's Western and Northern Territories — A Millennium of Struggle*. Str. 23 i 1 nlb. (Wyd. Queens College, Flushing, 1973).
- Absees*. Soviet and East European Abstracts Series. Vol. IV, No. 2 (40), October 1973. Str. 259, 3 nlb., str. XIV i 8 nlb. (Quarterly — Wyd. NASEES at the Institute of Soviet and East European Studies University of Glasgow).
- Absees*. Soviet and East European Abstracts Series. Vol. IV, No. 2 (40). Str. 148 i 2 nlb. (Quarterly — Wyd. NASEES at the Institute of Soviet and East European Studies University of Glasgow).
- VERYHA (Wasył). *Communication Media and Soviet Nationality Policy*. Status of National Languages in Soviet T. V. Broadcasting. Str. 57 i 7 nlb. (Wyd. Ukrainian Congress Committee of America, New York, N.Y., 1972).
- KRZYŻANIAK (Marian). *The Case of Turkey — Government Expenditures, the Revenue Constraint, and Wagner's Law*. (Odbitka z *Growth and Change*, Vol. 5, No. 2, str. 13-19, Wyd. Rice University, Houston, Texas, 1974).
- Lindenfesler Gespräche*. Ein Bericht über fünf deutsch-polnische Symposien 1964 bis 1971. Redakcja, opracowanie i słowo wstępne Jerzy Hauptmann i Gotthold Rhode. Str. 147 i 1 nlb. (Wyd. Edition Atlantic Forum, Bonn-Bruxelles-New York, 1972).
- Sowjetunion 1973*. *Innenpolitik, Wirtschaft, Aussenpolitik*. Analyse und Bilanz. Str. 198 i 2 nlb. (Wyd. Carl Hanser Verlag, Monachium, 1974).
- NOWAKOWSKI (Tadeusz). *Polnische Exilliteratur*. Informationen und Impressionen. (Odbitka z *Deutsche Studien*, Vierteljahreshefte, Heft 46/1974, Str. 149-154; wyd. Otto Meissners, Hamburg).
- LEWANDOWSKI (Józef). *Zum Deutschlandbild in der Polnischen Erziehung*. (Odbitka z *Deutsche Studien*, Vierteljahreshefte, Heft 46/1974. Str. 141-148; wyd. Otto Meissners, Hamburg).

*Ukrainskyj Kalendar 1974*. Str. 360. (Wyd. Ukrainske Suspilno-Kulturalne Towarzystwo w Polsce, Warszawa, 1974; cena zł 35).

SOSNOWSKYJ (Mychajło). *Dmytro Doncow — polityczny portret*. Study in Ukrainian Nationalism. Str. 419 i 1 nlb. (Wyd. Shevchenko Scientific Society, Ukrainian Studies, Vol. 33, Toronto - New York, 1974).

VERYHA (Wasył). *Tam de Dnister kruto wjet'sia*. Istorycznyj narys wychowno-oswytynoi polityki w Halyczyjni na pryklady uczytelskoji seminariji ta himnazji w Zalizczykach, 1899-1939. Str. 278 i 1

nlb. (Wyd. Shevchenko Scientific Society in Canada, Vol. 14, „Sribna Surma”, Toronto, 1974).

FOSTUN (Swiatomyr M.). *Nad Halyczem hrymyt'*. Istoryczna powist' z kniaznych czasiw. Str. 284 i 6 nlb. (Wyd. The Association of Ukrainians in Great Britain Ltd., Londyn, 1973).

WYRWA (Tadeusz). *La función de la inteligencia polaca como clase social dirigente*. (Odbitka z *Revista de Estudios Sociales*, No. 8, Madryt, 1973).

KORNE (Michai). *Randuiala*. Traudit du roumain. Str. 85. (Wyd. C.I.F., Evry, 1974, cena F. 10).

### KSIĄŻKA O PRAKSEOLOGII

W Paryżu ukazała się ostatnio książka dr. Jana Ostrowskiego napisana po francusku pt. „Alfred Espinas, précurseur de la praxéologie (ses antécédents et ses successeurs) z przedmową prof. Jerzego Langroda, Dyrektora Studiów w Centre National de la Recherche Scientifique, naczelnej instytucji badawczej we Francji. Wydana ona została z zasiłku Fundacji Lanckorońskich, Fryburg (Szwajcaria) i przy czynnym współdziałaniu Piotra Espinasa, syna Alfreda, i ukazała się nakładem wydawnictwa „Librairie Générale de Droit et de Jurisprudence (Paris, 1973, 394 s. z portretem Alfreda Espinasa (1844-1922). Cena franco 82,70 F.).

Wychodzący od 1932 roku

## ZWIĄZKOWIEC

1636 Bloor St. W. - Toronto, Ont. M6P 1A7, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

## Komunikaty

### KONKURS NA PRACE HISTORYCZNE

Z FUNDUSZU PAMIĘCI GENERAŁA WAĆŁAWA STACHIEWICZA, POLSKI INSTYTUT NAUKOWY W KANADZIE, OGŁASZA KONKURS NA PRACĘ HISTORYCZNĄ Z OKRESU POLSKI NIEPODLEGŁEJ, ŁĄCZNIE Z II WOJNĄ ŚWIATOWĄ.

1. Praca winna być badawcza, wnosząca nowe elementy historyczne do obranego tematu, będąc brane pod uwagę prace przedsięwzięte, jak też prace już napisane.

2. Praca może być napisana w języku polskim, francuskim i angielskim.

3. Kraj zamieszkania autora pracy — dowolny.

4. Objętość pracy — minimum 10.000 słów, bez ograniczeń wżwyz.

5. Wysokość i ilość nagród zależna będzie od wartości zgłoszonych prac. Do dnia 1 lipca 1974 roku, zbiórka na fundusz przekroczyła kwotę dolarów 2.000.

6. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 1 października 1975 roku. Prace już dokonane mogą być nadsyłane wcześniej i jeżeli któreś z nich byłyby ocenione jako specjalnie wartościowe, mogą one być nagrodzone przed upływem terminu. Ogólna wysokość kwoty przeznaczonej na te nagrody nie może przekroczyć połowy zebranego na ten cel funduszu.

7. Prace należy nadsyłać w maszynopisie lub w druku, pod adresem:

General W. Stachewicz Memorial Fund,  
c/o Polish Institute of Arts & Sciences, Canadian Branch,  
McGill University, 3479 Peel Street,  
Montreal, Canada. H3A 1W7.

8. Komitet Organizacyjny zebrany w dniu 6 czerwca 1974 roku, wyłonił Komisję Konkursową pod przewodnictwem Dyrektora Instytutu prof. Tadeusza Romera oraz honorowym protektorem Rektora Uniwersytetu McGill, dr. Roberta E. Bell.

Skład Komisji: dr Witold Babiński, płk dypl. Olgierd Dunin-Borkowski, prof. Juliusz Stachewicz i p. Bogdan Stachewicz.

Komisja działać będzie w porozumieniu z polskimi Instytutami Historycznymi i panią Wandą Stachewiczową.

## KRAJ — BLOK WSCHODNI

13-8-74

W Warszawie zmarła, w wieku 58 lat, Maria Ossowska, wybitna uczona w dziedzinie teorii moralności i socjologii. Przed kilku miesiącami ukazała się jej praca „Ethos rycerski i jego odmiany” (PWN).

15-8-74

Grupa studentów I roku wydziału polonistyki Wileńskiego Instytutu Pedagogicznego przybyła do Lwowa na kilkudniową wycieczkę celem zapoznania się z polonikami tego miasta. M.in. zwiedziła cmentarz Łyczakowski, gdzie znajdują się groby Gabrieli Zapolskiej, Marii Konopnickiej i Artura Grottgera. ■ W Wileńskim Państwowym Instytucie Pedagogicznym odbyła się uroczystość wręczenia 14-tysięcznego dyplomu ukończenia studiów. Otrzymał go Polak, absolwent wydziału języka polskiego i literatury Edmund Bogdanowicz. Instytut Pedagogiczny kształci m.in. nauczycieli dla szkół z polskim językiem wykładowym. W szkołach tych uczy się obecnie 19 tysięcy młodzieży. Dla tych szkół Instytut przygotował — jak dotąd — około 550 nauczycieli. ■ Redaktorem naczelnym *Nowych Drog* w Warszawie na miejsce Andrzeja Werblana został osławiony Stanisław Wroński.

22-8-74

Zmarł w Krakowie, w wieku 86 lat, inż. Eugeniusz Kwiatkowski, b. wicepremier i minister Skarbu RP w latach 1935-1939.

23-8-74

W Sądzie Wojewódzkim w Warszawie rozpoczął się proces dwóch obywateli NRF i Polaka, inż. Macka, który jest oskarżony o ujawnienie tajemnic technologicznych i handlowych płockiej „Petrochemii” firmie niemieckiej Linde S.A., Niemcy zaś o przekupienie funkcjonariusza państwowego. (30. 8. br. Macek został skazany na 7 lat więzienia). ■ Na odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie wpłynęło dotąd 442.358.856,75 złotych oraz 450.775,49 dolarów.

29-8-74

We Wrocławiu zmarł, w wieku 77 lat, ks. bp dr Andrzej Wronka, sufragan wrocławski. ■ Jezioro Dombkie w Szczecinie — czwarte co do wielkości jezioro w Polsce — zostało zatrute i kąpiel w nim została zakazana.

30-8-74

Prasa francuska donosi o fermentach i strajku w porcie gdańskim spowodowanych przez reformę systemu premiowania. Wojsko musiało rozładowywać statki.

31-8-74

PRL wysłała do Iraku 100-osobową ekipę specjalistów, którzy mają przystąpić do odwadniania bagien nad Tygrysem.

2-9-74

W ZSSR z nowym rokiem szkolnym przeszło się na system obowiązkowego kształcenia młodzieży w zakresie 10-letniej szkoły średniej.

3-9-74

W Warszawie zmarł, w wieku 86 lat, Romuald Gutt, nestor polskich architekτών. ■ Nagrody *Miesięcznika Literackiego* otrzymali: Marcin Czer-

wiński za książkę „Życie po miejsku”, Jerzy Kossak za książkę „Rozwój kultury w Polsce Ludowej”, Feliksa Lichodziejewska za pracę „Twórczość Władysława Broniewskiego” i Marian Serejski za książkę „Naród a państwo w polskiej myśli historycznej” ■ Wzmógł się popyt na artykuły trwałego użytku spowodował dalsze ograniczenie sprzedaży ratalnej. ■ Wstrzymano do końca bieżącego roku sprzedaż dewiz dla osób wyjeżdżających indywidualnie na Węgry i do Czechosłowacji. Również przejściowo ograniczono ilość dewiz sprzedawanych na wyjazdy do Bułgarii, Rumunii i ZSSR ■ Statystyczny Polak spędza przeciętnie przed telewizorem 2 godziny i 30 minut dziennie (w dni powszednie) i 3,5 godziny w niedziele i święta. ■ Na mistrzostwach Europy w lekkiej atletyce w Rzymie Irena Szewińska zdobyła aż dwa złote medale (w biegu na 100 i 200 m). Trzeci złoty medal dla Polski zdobył Bronisław Malinowski (bieg na 3.000 m z przeszkodami), a czwarty — Ryszard Skowronek (w dziesięcioboju).

8-9-74

W szkołach podstawowych w PRL rozpoczęło naukę 4 i pół miliona uczniów. W stosunku do ub. roku liczba uczniów zmniejszyła się o 168.000. ■ Do ZSSR wyjechała na roczny pobyt pierwsza 300-osobowa grupa polskich nauczycieli języka rosyjskiego na studia językowe. Są to nauczyciele szkół średnich. ■ Wydany w ZSSR Informator pt. „Ludność ZSSR” podaje, że w okresie od 1959 do 1970 ludność tego kraju wzrosła o 16 %, w tym Rosjanie o 13 % — tj. ze 114 milionów do 129 milionów. Jednocześnie liczebność narodów Azji Środkowej, a więc ludności mówiącej językiem, tureckim, wzrosła o 50 %. Ludność ta liczy obecnie 32 miliony.

9-9-74

W Toruniu rozpoczął się powszechny zjazd historyków polskich. Bierze w nim udział 1.000 osób. Temat zjazdu: „U źródeł współczesności — dzieje społeczeństwa i kultury”. ■ W czasopiśmie *Światło Komunizmu*, ukazującym się w Czuwaskiej Autonomicznej Republice Sowieckiej ukazał się wybór wierszy polskich poetów — od Kochanowskiego do Herberta. Redaktorem tej antologii jest wybitny poeta Aigi, autor antologii poezji francuskiej w języku czuwaskim.

10-9-74

Zmarł w Warszawie, w wieku 82 lat, Melchior Wańkowicz, znany pisarz i reportażysta, autor m.in. „Szczeniących lat” i „Monte Cassino”.

12-9-74

3.000 obywateli sowieckich pochodzenia niemieckiego wystosowało list do kanclerza, Helmuta Schmidta, który w październiku br. ma odwiedzić ZSSR, by ułatwić im emigrację do NRF. ■ PRL podpisała umowę z angielską firmą Massey-Ferguson-Perkins w sprawie produkcji ciągników. W związku z tym nastąpi rozbudowa i modernizacja zakładów „Ursus”. ■ W Poznaniu wybito medal dla upamiętnienia powrotu do Polski wierszy Mariana Czuchnowskiego, które na początku br. ukazały się w Warszawie pt. „Reporter róż”. ■ Z. Bartoszewska z Państwowego Instytutu Wydawniczego w Warszawie w wywiadzie udzielonym *Polityce* (Nr 36 z 17. 9. 74) zapowiedziała ukazanie się w najbliższym czasie książki pt. „Quod libet i quo libeci”. Są to „dwa pamiętniki — matki i córki: Maryli Wolskiej — czołowej poetki Młodej Polski, zmarłej w 1930 roku oraz jej córki Beaty Obertyńskiej, aktorki i również poetki, zamieszkałej obecnie w Londynie”. ■ Siermion Ignatiew, b. minister bezpieczeństwa i szef KGB, w swoim czasie usu-

nięty przez Chruszczowa, został udekorowany z okazji ukończenia 70 lat, orderem Rewolucji Październikowej. Ignatiew był głównym organizatorem słynnej prowokacji z 1953 roku, tzw. „spisku morderców w białych kitlach”.

## ZACHÓD — EMIGRACJA

**6-7-74**

W lokalu Klubu „Przyszłość” w Lille odbył się obiad dyskusyjny na temat udziału społeczności polskiej we francuskim życiu politycznym. Dyskusji przewodniczył minister Norbert Segard, sekretarz stanu w ministerstwie handlu zagranicznego i deputowany z Lille. Impreza została zorganizowana przez grupę studiów społecznych w Lille, kierowaną przez pp. R. Ptaszyńskiego i E. Kozika.

**15-8-74**

W Brazylii ukazała się broszura opracowana w języku litewskim przez Casimiro Verax'a i przetłumaczona na język portugalski przez Stasysa Vanceviciusa pt. „Lituania”. Broszura ta informuje o historii dawnego państwa litewskiego i o Litwie współczesnej. Nabyć ją można w Kajamar Grafica Editora Ltd., Rua do Hipodromo, 699 - Sao Paulo. ■ Inż. Edmund Gardoliński, prezes komisji koordynacyjnej grupy polskiej w Rio Grande do Sul, wystąpił z projektem wzniesienia obelisku w Sao Marcos w hołdzie emigrantom polskim, którzy tam przybyli w 1890 roku w liczbie 600 rodzin. ■ Ks. Jerzy Mirewicz, T.J., otrzymał tegoroczną nagrodę SPK za książkę „Myśli nieśmiałe”.

**19-8-74**

Zmarł w New Yorku, w wieku 66 lat, Aleksander Janta-Pończyński, literat i reportażysta. Ogłosił przeszło 30 książek powieściowych, podróżniczych i wspomnieniowych oraz szereg tomów poezji.

**22-8-74**

W Towarzystwie Przyjaciół „Kultury” w Sztokholmie prof. Maria Hirszowicz wygłosiła odczyt „O granicach racjonalności społeczeństwa planującego”.

**30-8-74**

W Genewie zmarł, w wieku 71 lat, Władysław M. Besterman, przed wojną współpracownik Agencji Iskra, w czasie wojny attaché prasowy Ambasady Polskiej w Waszyngtonie, po wojnie był wysokim urzędnikiem Kongresu USA.

**31-8-74**

Dwaj współpracownicy Radia Free Europe Andrzej i Wanda Smolińscy powrócili do Polski. ■ W Paryżu zmarł Mieczysław Biesiekiński, b. radca Ambasady RP w Paryżu.

**5-9-74**

W Galerie M. Benezit w Paryżu została otwarta wystawa obrazów i rysunków Jadwigi Lesieckiej.

**6-9-74**

Zmarł nagle w Tel Avivie, w wieku 56 lat, Henryk Dankowicz, członek redakcji pisma w języku polskim *Nowiny-Kurier*. W czasie ostatniej wojny

wywieziony do ZSSR, po wojnie był dziennikarzem w PRL. W 1957 roku wyemigrował do Izraela. Wydał książki: „Siódmy wilk” i „Nieprzezroczyista klepsydra”.

**9-9-74**

Francuski minister Stanu, Michel Poniatowski, oświadczył po powrocie z wizyty w PRL, iż tej jesieni zostaną wydane zarządzenia ułatwiające otrzymywanie wiz wjazdowych do Francji obywatelom PRL.

**10-9-74**

Ks. inf. Władysław Staniszewski ustąpił na własne życzenie ze stanowiska rektora Polskiej Misji Katolickiej w Anglii i Walii; nowym rektorem Prymas mianował ks. prałata Karola Zielińskiego, dotychczasowego proboszcza kościoła na Devonii. ■ Zmarł w Londynie, w wieku 79 lat, Adam Łubowski, dyrektor Instytutu Polskiego i Muzeum im. gen. Sikorskiego.

**12-9-74**

Znany pisarz sowiecki Wiktor Niekrasow przybył do Lozanny.

**15-9-74**

Fundacja im. Anny Godlewskiej zawiadamia o przyznaniu nagród literackich za rok 1974: Kazimierzowi Okuliczowi (Londyn), Aleksandrowi Janta-Pończyńskiemu (New York) i Janowi Kowalikowi (Sunnyvale, Cal.). Wręczenie nagród odbędzie się 13 października br. w Londynie.

## KRONIKA AMERYKAŃSKA

Rządowy amerykański Bank Eksportu i Importu w Waszyngtonie udzielił PRL nowych kredytów w wysokości 2.722.500,00 dolarów. Kredyt ten jest przeznaczony na zakup części do budowy ciężkich traktorów, których montaż będzie robiony w Warszawie. Dodatkowe kredyty w tej samej wysokości przyznał nowojorski bank Bankers Trust Co. ■ W Jersey City State College, w ramach akcji Modern Language Department and Ethnic Studies, otwarto polski program naukowy z inicjatywy prof. dr. Tadeusza Gromady. ■ Dwóch uczestników wyprawy śląskich alpinistów poniosło śmierć w górach Ameryki Północnej. Zginęli Henryk Furmanik i Krzysztof Tomaszewski w lawinie która zasypała obóz ekspedycji. ■ Kościół i plebania w parafii Św. Wojciecha w Chicago zostały uznane przez władze miejskie Chicago za „niebezpieczne”. Powstał specjalny komitet pod kierownictwem bpa Abramowicza, który ma zebrać 170.000 dolarów na niezbędne naprawy. ■ W Detroit, Mich., kościół pod wezwaniem Św. Jana Kantego jest zagrożony. Władze miejskie chcą kościół zburzyć dla przeprowadzenia nowej kanalizacji. Komitet parafialny pod przew. ks. prob. E. Szczygła zapowiedział, że Komitet gotów się odwołać do Sądu Najwyższego. ■ Kolegium Związkowe w Cambridge Springs, Pa. nadało honorowe doktoraty pani Marion Moore Coleman, Florianowi R. Buczyńskiemu i J. K. Taborowi. P. Coleman jest znaną i zasłużoną polonistką, p. Tabor podsekretarzem stanu, a p. Buczyński właścicielem piekarni w Buffalo, który udziela pomocy finansowej różnym polonijnym instytucjom. ■ Na Formozie urządzono jubileusz siostry Br. Szewczyk, która spędziła 50 lat w zgromadzeniu szarytek, z czego 25 lat w Chinach. Po wypędzeniu z Chin Ludowych misjonarzy pracuje ona na Formozie zajmując się dziećmi i młodzieżą.

## KRONIKA KANADYJSKA

W nowym gabinecie premiera Pierre Trudeau nie ma już ministra wielokulturowości. Dział ten jednak pozostał i znalazł się w gestii ministra pracy, Johna Munro. Dr Stanley Haidasz, który był pierwszym ministrem wielokulturowości nie wszedł do gabinetu i ma w niedalekiej przyszłości przejść do Senatu.

Polonia uważa to za stratę dla siebie. Jest to nieporozumienie. Haidasz nie wszedł do poprzedniego gabinetu jako przedstawiciel Polonii ani też z powodu roli Polonii w życiu publicznym Kanady czy jej udziału w partii liberalnej — ale wyłącznie z powodu jego własnej pozycji w partii i w życiu politycznym. Począwszy od objęcia rządów przez liberałów w 1963 roku piastował kolejno szereg odpowiedzialnych stanowisk i bynajmniej nie zszedł z areny politycznej. Trzeba natomiast stwierdzić iż dr Haidasz na stanowisku ministra dla spraw wielokulturowości bardzo wydatnie wspierał wszelkiego rodzaju inicjatywy i imprezy organizacji polonijnych.



Centralny Zespół Artystyczny Wojska Polskiego zaangażowany przez dyrekcję Canadian National Exhibition popisywał się przez 3 wieczory: 23-go, 24-go i 2 sierpnia. Było to olbrzymie i barwne widowisko taneczno-wokalne obrazujące mundury wojska polskiego na przestrzeni wieków oraz towarzyszące żołnierzom piosenki. Sprawozdawcy lokalnej prasy anglojęzycznej nie byli zachwyceni natomiast publiczność polonijna uznała zespół ten jako znacznie lepszy i ciekawszy niż „Mazowsze” lub „Śląsk”. Ten ostatni przybył po 15 latach, we wrześniu br. na występy w kilku miastach.



Dr Jerzy Korey-Krzeczowski, ekonomista i poeta, dziekan wydziału Ryerson Politechnic, będzie również w bieżącym roku akademickim pełniącym obowiązki rektora gdyż nowy rektor (prezydent) Walter Pittman obejmie urząd dopiero w przyszłym roku akademickim.



Z dniem 1 sierpnia br. rozpoczął swą działalność Polski Ośrodek Informacyjny w Toronto. Ośrodek ten został zorganizowany przez Kongres Polonii Kanadyjskiej. Będzie miał na celu udzielanie pomocy nowoprzybyłym Polakom w sprawach związanych z osiedleniem się w Kanadzie. Ośrodek uzyskał ostatnio pomoc finansową rządu federalnego, rządu prowincji Ontario i rady miejskiej Toronto. Adres: 206 Beverley Street, Toronto, Ontario — tel.: 967-52 60.



VIII Kongres socjologów zgromadził w Toronto w dn. 19-24 sierpnia około 3.200 delegatów z 60 krajów. Zjawiono się szereg wybitnych uczonych. Wygłoszono, względnie nadesłano, ponad 500 referatów i niemal wszystkie były do nabycia.

W gmachu, w którym urzędował sekretariat, znajdowały się stoiska wy-

dawców dzieł z zakresu socjologii. Na tarasie, przed wejściem do gmachu, usadowiły się nieoficjalne „reprezentacje”: młodzież akademicka ofiarująca ulotki, książki, zaproszenia na spotkanie „marksistów”, „trockistów”, „maoistów” itp. Najżywszą akcję rozwinęła jednak — co wywołało nawet wielką niespodziankę — grupa antykomunistyczna. Stoisko książek było stale otoczone i cieszyło się powodzeniem. Znajdowały się tam publikacje w językach angielskim, francuskim, rosyjskim, ukraińskim i polskim. Były publikacje „samizdatu” w tych językach oraz dzieła autorów, znajdujących się na emigracji; były publikacje protestujące przeciwko polityce władz sowieckich, w tym w obronie aresztowanych czy prześladowanych intelektualistów — najwięcej w obronie historyka ukraińskiego Walentego Moroza; wybijały się książki Sołżenicyna łącznie z polskim wydaniem „Archipelagu GULag”; rozdawano też ulotki z protestami z powodu utrudniania emigracji Żydów z ZSSR.

Delegacja sowiecka była bodajże najliczniejsza — około 90 osób. W zespole tym było kilku prawdziwych uczonych a pozostali reprezentowali zapewne różne czynniki partyjne. Poziom ich wystąpien zaatakował na łamach dziennika *Star* profesor Lewis Feuer z Uniwersytetu Toronto, wskazując iż stanowią pokaz najtańszej politgramoty. Każdy referat to zbiór wyświechtanych frazesów z powoływaniem się na uchwały partyjne czy zarządzenia władz. Żaden delegat sowiecki nie podejmuje natomiast dyskusji.

W zespole dyskutującym obudzenie świadomości etnicznej (*Resurgences of ethnic and national identity; Réapparition de l'identité ethnique et nationale*) zapytano jednego z sowieckich referentów jak się ustosunkowują władze sowieckie do rozwoju świadomości i odrębności narodowej i do ruchów wywoleńczych tak bardzo popieranych przez ZSSR w innych państwach.

Mówca sowiecki po chwili namysłu odpowiedział, że walkę o wyzwolenie narodowe mniejszości skutecznie przeprowadziły, i obaliły carat, a obecnie mają wszystko czego chciały, do czego zmierzały. Przed dalszymi pytaniami ustrzegł się opuszczając salę, aby udać się na inną sesję.

Referaty sowieckie ograniczały się do recytowania działań czy osiągnięć ZSSR takich jak np. wartość i tryb życia w socjalizmie, wartość socjalizmu w trybie życia, zadowolenie w pracy, technologiczne zmiany a proces pracy. Delegaci ZSSR skrzętnie uniknęli znalezienia się sam na sam z delegatami Zachodu. W komisjach, w których wygłaszali referaty, zawsze znajdowali się także delegaci z Polski, Węgier, Bułgarii, Czechosłowacji lub NRD. Czasami popierali ich delegaci afrykańscy czy azjatyccy. Były sesje wyłącznie sowieckie, względnie z udziałem delegatów jakiegoś państwa bloku sowieckiego. Sesja na temat: „Rewolucja naukowa i technologiczna a kultura duchowa” (*La révolution scientifique et technologique et la culture spirituelle*) obejmowała 8 referatów — 7 sowieckich i jeden bułgarski, a do dyskusji zgłoszono dwóch Czechów, jednego Niemca z NRD, Polaka, który nie przybył (Jan Strzelecki) i Rosjanina. Brakło zupełnie delegatów sowieckich w najbardziej podstawowych sesjach socjologicznych. To że nie zainteresowała ich sesja poświęcona marksizmowi, nie zdziwiło chyba nikogo, ale komentowano ich nieobecność na sesjach poświęconych teoretycznym rozważaniom na temat sił społecznych i kontroli struktury w społeczeństwie, struktury gospodarki narodowej i społeczeństwa, stosunków mieszkaniowych, układu społecznego, problemu alienacji w najszerszym zakresie, a więc w rodzinie, społeczeństwie, pracy, socjologii sztuki itp., itp.

Delegacja sowiecka złożyła kilkakrotnie protest z powodu rozdawania antykomunistycznych ulotek oraz innych aktów „prowokacyjnych” jak stoisko z książkami „szkalującymi ZSSR”.

Natomiast w ostatnim dniu kongresu znalazł się stół z oficjalnymi publikacjami komunistycznymi, obsługiwany przez miejscowych komunistów.

Zgłoszono znacznie więcej polskich uczestników aniżeli przybyło. Nie przyjechali m.in. Szczepański, Nowakowski, Strzelecki, Schaff, ale mimo to delegacja polska była liczna i bardzo aktywna. Członkowie jej przewodniczyli w kilku komisjach i brali udział w wielu pracach, wygłaszając referaty oraz zabierając głos w dyskusjach. Przewodniczącą delegacji była prof. dr Antonina Kłoskowska z Łodzi, a jej zastępcą prof. dr Władysław Markiewicz z PAN'u. Z wybitniejszych socjologów obecni byli m.in. Adam Podgórecki, Jerzy Szacki, Stefan Nowak, Witold Kieżun, Adam Sarapata, Piotr Sztompka, Jacek Kurczewski, Jerzy Kurnal i Włodzimierz Wesołowski.

Polscy uczeni znajdowali się wśród delegatów z USA, Kanady, Belgii, Włoch, Australii i zapewne innych państw. W amerykańskiej delegacji byli m.in. Helena Zaniecka-Lopata i Alicja Iwańska, Aleksander Gella i Al. Szymański. Z kanadyjskiej delegacji najbardziej aktywnym z Polaków był Aleksander Matejko, który wygłosił 5 referatów na różnych sesjach.

Staraniem Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego odbyła się sesja poświęcona problemom Polonii Kanadyjskiej. Złożyły się na nią prelekcje: B. Heydenkorna — „Pamiętniki imigrantów polskich w Kanadzie”, Joanny Matejko — „Polscy farmerzy na preriiach kanadyjskich”, Henry Radeckiego — „Przywódcy i osoby wpływowe w grupie polskiej w Toronto”, Jacka Adolfa — „Problem polskiej emigracji politycznej w Kanadzie” i ks. Piotra Tarasa — „Opieka duszpasterska nad imigrantami”.

## “POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO  
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

## Humor krajowy

- Co to jest prasa, radio, telewizja?
- Środki musowego przekazu...

Było to za czasów Eisenhowera, Chruszczowa i Gomułki. Kosmonauci amerykański, rosyjski i polski wrócili do swoich krajów po 12-dniowym pobycie w kosmosie. Zgotowano im triumfalne powitanie i zostali przyjęci przez głowy państw.

— Czym cię wynagrodzić? — zapytał Eisenhower Amerykanina. — Czy chcesz najwyższe państwowe odznaczenie czy 100.000 dolarów?

— Odznaczenie piękna rzecz — ale ja wolę dolary — odpowiedział kosmonauta.

Chruszczow zaproponował Rosjaninowi do wyboru order Lenina 1-szej klasy albo 100.000 rubli. Kosmonauta odrzucił nagrodę pieniężną oświadczając dumnie, że order Lenina jest tym o czym marzy.

Gdy polski kosmonauta stanął przed pierwszym sekretarzem partii, Gomułka gorąco mu podziękował za wspaniały wyczyn a następnie zapytał:

— Powiedz mi co wolisz — czy te 12 dni spędzone w tym... jakże mu tam... kosmosie mamy ci odliczyć z urlopu, czy potrącić z pensji?...

Zaprogramowany odpowiednio komputer miał badać prawowierność członków partii, określając ich według następującego podziału: — szczerze oddany partii — uczciwy — mądry.

Już przy pierwszym nazwisku komputer zaksztusił się i w końcu wyrzucił odpowiedź: Te trzy cechy wzajemnie się wykluczają.

- W sądzie koledzy pytają sędziego, wracającego z rozprawy:
- Cóż to była za sprawa bez obrońcy?
- Obrońca był, ale za dobrze bronił, więc go usunęliśmy...

Samolotem lecą: Rosjanin, Anglik, Francuz i Polak. Nastąpiła awaria w motorze i trzeba skakać, a są tylko trzy spadochrony. Pierwszy skacze Rosjanin, drugi Anglik, a w tedy Francuz proponuje Polakowi losowanie o pozostały. — Nie trzeba woła Polak — dałem Roskowi gaśnicę.

### O ANGELI DAVIS:

Angela Davis w czasie pobytu w ZSSR bardzo była fetowana i oprowadzana. Przed wyjazdem zapytano ją co jej się najbardziej podobało w Związku Sowieckim.

Film o Czapaiewie — odpowiedziała — a specjalnie ta scena kiedy Czapaiew mówi: „Jak tylko wyróżniemy wszystkich Białych to wtedy od razu będzie dobrze”...

Angela Davis dostała czarodziejskie lustro. Uszczęśliwiona zamknęła się w pokoju i zapytała:

- Lustro, lustro, powiedz mi kto jest najpiękniejszy na świecie?
- Naturalnie, że Królowna Śnieżka, a nie ty głupia czarna małpa — zawołało lustro...

Zebrała Zofia HERTZ



## Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Toronto, sierpień 1974.

W Kronice Kanadyjskiej (nr 6/321 *Kultury*) przeczytałem błędnie podaną wiadomość, że w dniu „13. 3. br. w Toronto odbył się wieczór pisarzy grup etnicznych, w którym wziął udział poeta Wacław Iwaniuk.

Osobiście dziwi mnie niedbałość o rzeczową informację i niedoceniecie ważności samej imprezy. Otóż Canada Council — instytucja prowadząca działalność kulturalną z ramienia Rządu Federalnego zorganizowała osobne wieczory poetyckie dla sześciu najwybitniejszych poetów, tworzących w Toronto w językach innych niż angielski i francuski. — Wacław Iwaniuk miał osobny wieczór. Korespondent mógł się wyczerpująco poinformować w redakcjach pism i organizacjach polonijnych, którym osobiście doręczyłem komunikaty i afisze o tej imprezie.

Łączę wyrazy poważania.

B. KRASUSKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Paryż, 1 sierpnia 1974.

Kilka miesięcy temu protestowałem przeciwko zamieszczeniu w *International Herald Tribune* modnego ostatnio w prasie amerykańskiej *Polish joke*.

W ostatnim numerze *Kultury* przeczytałem w „Humorze Krajowym” dowcip (?) o ludożercach z Uniwersytetu im. Lumumby.

W roku 1965, podczas studiów na Politechnice Warszawskiej, jeden z działaczy ZSP wyraził się o studentach afrykańskich jako „schodzących z drzewa na uczelnię”. Wywołało to oburzenie i manifestację, a incydent skończył się publicznymi przeprosinami.

Wśród osób poszkodowanych byli tam. obecny ambasador swego kraju w Brukseli, wiceminister komunikacji w Bamako, ekonomista z Institut du Niger, architekci w Chartumie i lekarze z Konakry.

Pamiętam także, jak w Kościele Mariackim w Krakowie zakonnica zęgnęła się na widok kolegi z Afryki, a dzieci i dorośli na rynku w Oświęcimiu skandowali „murzynek Bambo” i prześcigali się w dowcipach. Prawdą jest także, że studenci afrykańscy nieraz nadużywali swoich przywilejów, a różne organizacje reżymowe manipulowały nimi politycznie. Dyplomy lekarskie wydawano im „na eksport”, bez prawa praktyki w Polsce.

To wszystko jednak nie upoważnia tak wartościowego pisma do drukowania *Negro jokes*.

Z poważaniem,

Dr Zbigniew WOŁKOWSKI

Czy to nie przesada? (Red.).

Londyn, 15 września 1974.

Szanowny Panie Redaktorze!

Z przykrością znalazłem w Nr. 9 *Kultury* z września 1974 r. informacje nieścisłe i tendencyjne w przedmiocie rzekomo ogromnych sum, które miał otrzymać dla Komitetu Obywatelskiego Pomocy Uchodźcom Polskim, przewodniczący Komitetu, dr Karol Poznański z funduszy gen. Władysława Sikorskiego.

Nie ma w tym słowa prawdy.

Jedynie większe kwoty, które otrzymał Komitet Obywatelski pochodziły ze źródeł amerykańskich, a wypłacone zostały przez Interim Treasury Committee for Polish Questions na podstawie mego zalecenia.

Otrzymał wówczas Komitet Obywatelski sumę £40.000, a następnie dalszych £100.000 jak to objaśnił obecny przewodniczący Komitetu, Andrzej Kamieniecki, w swoim liście otwartym (*Kultura* Nr 9). Przydział taki wydawał mi się wtedy najodpowiedniejszy ze względu na określone charytatywne zadania Komitetu i osobę przewodniczącego, dającego wszelkie gwarancje roztropnej i celowej gospodarki.

Rozsiewanie wiadomości, że śp. Karol Poznański dysponował na jakieś nieokreślone cele kwotę £700.000 ze źródeł polskich posiada cechy znieśławienia, których dr Poznański, gdyby żył, nie przepuściłby bez stanowczej, prawdopodobnie prawnej reakcji.

Wyrazy poważania łączę,

Edward RACZYŃSKI

Mamy wrażenie że list ten został skierowany pod złym adresem. Byłoby zapewne łatwiej wyjaśnić tę sprawę z prof. A. Pragierem, który mieszka w Londynie, a który o tym pisał dość niedawno. Powyższa informacja nie wywołała wtedy niczyjej reakcji. Do tej sprawy jak i do sprawy innych funduszy społecznych, powrócimy w najbliższej przyszłości. (Redakcja).

Canberra, Australia, 3 sierpnia 1974.

Szanowny Panie Redaktorze,

Korzystając z gościnnych łamów Pańskiego pisma pragnąłbym dotrzeć do tych wszystkich instytucji, bibliotek i osób prywatnych, które w ciągu ubiegłych ośmiu lat odpowiedziały na mój apel w sprawie księgozbioru polskiego w Bibliotece Australijskiego Uniwersytetu Narodowego w Canberra.

Odzew na mój apel przeszedł wszelkie oczekiwania. Ze wszystkich stron świata nadeszły dary w postaci książek i w gotówce. Komitet Millennium w Canberra i w pobliskim miasteczku Queanbeyan zebrał \$1.320 na zakup książek i urządzenie wystawy w związku z wręczeniem Uniwersytetowi księgozbioru w listopadzie 1966. Znaczną ilość cennych książek nadeszły: Biblioteka Narodowa w Warszawie, Biblioteka Jagiellońska, Polska Akademia Nauk, Instytut Literacki w Paryżu, Biblioteka Polska w Londynie, Instytut im. Sikorskiego w Londynie, Polski Instytut Naukowy w Ameryce, Polski Instytut Historyczny w Rzymie oraz wiele innych instytucji. Wśród ponad setki indywidualnych ofiarodawców pragnąłbym wyróżnić p. Lecha Paszkowskiego w Melbourne, księdza prałata Jaroszkę w Geelong, p. Tadeusza Bernakiewicza w Sussex i p. M. Żyłę w Londynie, którzy nadesłali książki szczególnie wartościowe.

Praca nad rejestrowaniem i katalogowaniem księgozbioru polskiego pro-

wadzona jest od szeregu lat przez panią Irenę Żywczakową w bibliotece Australian National University. W tej chwili księgozbiór liczy blisko 6.000 tomów i powiększa się nadal z funduszy biblioteki uniwersyteckiej, która systematycznie skupuje nowe pozycje w dziale językoznawstwa, historii, literatury oraz gospodarki polskiej. Ponadto biblioteka płaci prenumeratę kilku dziesięciu polskich periodyków naukowych i literackich.

Akcja rozbudowy księgozbioru polskiego doprowadziła wreszcie do upragnionego celu jakim będzie wprowadzenie języka i literatury polskiej w ramach studiów humanistycznych na Australian National University. Wykłady prowadzić będzie dr Anna Wierzbicka przy współpracy wybitnego znawcy języków słowiańskich profesora Reginalda De Bray (z Department of Slavonic Languages). Sukces tego przedsięwzięcia i kontynuacja studiów polskich zależeć będzie wyłącznie od liczby studentów. W tym miejscu muszę dodać, że język polski (Polish I, Polish II, Polish III) będzie można zaliczyć jako jeden z obowiązkowych przedmiotów w ramach studiów wiodących do stopnia *Bachelor of Arts* (B.A.), *Bachelor of Science* (B.Sc.) lub *Bachelor of Economics* (B.Ec.).

W ramach inauguracji studiów polskich na Australian National University zorganizowano w tym roku cykl wykładów na temat literatury i historii Polski. Wykłady wygłosili: prof. de Bray, Dr Anna Wierzbicka, dr Bogdan Szajkowski i dr Roger Pulvers.

Na zakończenie tego listu-komunikatu chciałbym podziękować za pomoc wszystkim, którzy pomogli w realizacji planów uruchomienia studiów polskich w stolicy Australii. Szczególne podziękowanie należy się osobom, których nazwiska wymieniłem powyżej oraz profesorowi T. H. Rigby z Department of Political Science, wybitnemu znawcy problemów politycznych w Europie Środkowej i Wschodniej. Pamiętać wreszcie należy o tym, że całe przedsięwzięcie nie doprowadziłoby do celu bez solidarnego wsparcia miejscowej Polonii.

Jerzy ZUBRZYCKI

Patricia Blake (26 Washington Square North, New York, N.Y. 10011 — U.S.A.) poszukuje egzemplarza książki Czesława Miłosza *Zniewolony umysł* w języku polskim i prosi ewentualnego posiadacza o skomunikowanie się z nią i podanie ceny wraz z przesyłką lotniczą.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI  
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE  
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.  
Dépôt Légal : 4<sup>e</sup> Trimestre 1974.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
<b>AFRYKA POLUDNIOWA</b> : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002 .....	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
<b>ARGENTYNA</b> : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25 .....	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
<b>AUSTRALIA</b> : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013 .....	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
<b>AUSTRIA</b> : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2. Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762 .....	—	Sch.A250,00	Sch.A. 450,00
<b>BELGIA</b> : Janina Korab Brzozowska-Csakly, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23 .....	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
<b>BRAZYLIA</b> : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 CELIS., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724 .....	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US. 20,00
<b>FRANCJA</b> : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu .....	F. 9,00	F. 48,00	F. 90,00
<b>HOLANDIA</b> : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176 .....	Fl. h. 6,00	Fl. h. 35,00	Fl. h. 65,00
<b>KANADA</b> : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiakowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7 .....	\$ Can. 2,00 DM. 6,00 F. 9,00	\$ Can. 11,00 DM. 35,00 F. 50,00	\$ Can. 20,00 DM. 65,00 F. 95,00
<b>NIEMCY</b> : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —	—	—	—
<b>NORWEGIA</b> : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	—	—	—
<b>SZWAJCARIA</b> : Maria Wasung, 6, r. des Lilas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33-34-20, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F. S. 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
<b>SZWECJA</b> : Norbet Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70 .....	K.S. 9,00	K.S. 50,00	K.S. 95,00
<b>U.S.A.</b> : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009 ; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Ch. M. Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich 48234 ; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave., Philadelphia, Pa, 19111 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. <b>POLONIA</b> , Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706 Tel. 867-1857 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211 .....	\$ US 2,00 £ 0,75	\$ US 11,00 £ 4,00	\$ US 20,00 £ 7,75
<b>W. BRYTANIA</b> : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W 5. ORD. ....	—	—	—
<b>WŁOCHY</b> : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241 .....	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.  
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:  
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,  
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)  
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

## Nowości wydawnicze

TOM 246 — SERIA « DOKUMENTY »

ZESZYT 42

# POWSZECHNA DEKLARACJA PRAW CZŁOWIEKA

w językach: polskim, białoruskim, czeskim, litewskim, rosyjskim,  
słowackim i ukraińskim.

Str. 64.

Cena F. 10 (dol. 2,50)



TOM 247 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

# ARCHIPELAG GUŁag

Tom I-szy

Str. 560.

Cena F. 60 (dol. 13)



TOM 248 — ZESZYTY HISTORYCZNE

# ZESZYT DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

zawiera m.in. prace: J. Garliński: *Polskie państwo podziemne (1939-1945)*; R. Buczek: *Działalność opiekuńcza Ambasady R.P. w ZSSR w latach 1941-1943*; J. Ciechanowski: *Notatki z rozmów z gen. Marianem Kukielem*; Zb. S. Siemaszko: *Niektóre wypowiedzi płk. W. Bąkiewiczza*; *Wspomnienia W. T. Drymmera (3)* i *Z. Borkowskiego* oraz  
RECENZJE, STRATY HISTORII POLSKIEJ, LISTY i POLEMIKI.

Str. 240.

Cena F. 20 (dol. 5,00)